



tablica24.pl



SILENTIUM

DARIUSZ DOMAGALSKI

UNIVERSI

SILENTIUM
DARIUSZ DOMAGALSKI
UNIVERSI

Fabryka słów
Lublin 2012

*Patrząc na każdy przedmiot, przedstawiaj go sobie
jako ulegający rozkładowi, zmianie,
jakby zgniliznie i rozpadnięciu się w pył,
albo jak na rzecz przeznaczoną z urodzenia na śmierć.*

Marek Aureliusz, Rozmyślania

ROZDZIAŁ 1

PROJEKT RAJ UTRACONY

W ogromnej sali światowego senatu wrzało. Czarnoskóry delegat Federacji Afrykańskiej wykrzykiwał swoje pretensje w kierunku szpakowatego mężczyzny, który ze stoickim spokojem stał przy mównicy i znad staroświeckich okularów pobłażliwie spoglądał na zebranych.

Zbulwersowani przedstawiciele Afryki, nie mogąc opanować emocji, wyskoczyli ze swoich foteli i teraz tłoczyli się przed podium. Siedzący skrajnie po lewej stronie Chińczycy szeptali między sobą, Arabowie ze Zjednoczonych Państw Islamu z niedowierzaniem kręcili głowami, a delegaci Unii Europejskiej i Stanów Ameryki Północnej siedzieli w milczeniu, oszołomieni tym, co przed chwilą usłyszeli. Tylko odziany w przynależną mu purpurę kardynał Bernard Canton nie wykazywał oznak zaskoczenia.

Dziennikarze, jakby dopiero teraz obudzili się z głębokiego snu, pospiesznie włączali kamery zamontowane przy skroniach. Nie spodziewali się, że na jednym z zazwyczaj nudnych posiedzeń światowego senatu wybuchnie taka sensacja. Po chwili popłynęły pierwsze komentarze do lokalnych stacji holowizyjnych.

– Skąd wzięliście na to środki finansowe? Przecież takie przedsięwzięcie musiało kosztować fortunę! – krzyczał w podnieceniu czarnoskóry senator.

Wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i otarł pot z czoła.

– Pół roku temu prosiłem o dofinansowanie badań nad nową mutacją wirusa HIV, który dziesiątkuje Zair, Angolę, Mozambik, Ugandę i Zambię. Nie dostałem żadnych pieniędzy ze względu na

ograniczony budżet. A przecież tam umierają ludzie! Każdego dnia tysiące kobiet i dzieci rozstają się z życiem. Co drugi mieszkaniec południowej i środkowej Afryki jest nosicielem. Oni potrzebują natychmiastowej pomocy, a okazuje się, że fundusze Banku Światowego zostały utopione w jakimś futurystycznym projekcie. Nie czas na mrzonki, gdy zagrożone są ludzkie istnienia. Powinniśmy skupić się na podstawowych sprawach naszej egzystencji tu, na Ziemi!

Afrykanin przerwał, zaczerpnął powietrza i ponownie przetarł spocone czoło. Poluzował krawat.

– Profesorze Karpowski – już spokojniej zwrócił się do szpakowatego mężczyzny, celując w niego grubym paluchem – proszę nam łaskawie powiedzieć, czemu ma służyć ta ekspedycja? Czy nakarmimy tym nasze dzieci? Czy podniesiemy poziom edukacji w krajach Trzeciego Świata? Zaopatrzymy przeludnione, a zarazem najbiedniejsze regiony naszego globu w środki antykonceptyjne? Zlikwidujemy choroby i głód? Zmniejszymy tempo degradacji naszego środowiska? Szczerze w to wątpię. Myślę, że tylko kilku jajogłowych zaspokoi swoją żądzę wiedzy. Proszę o wyjaśnienia...

Profesor zbliżył usta do mikrofonu zamontowanego na srebrnej mównicy, jednakże tumult i hałas wywołane przez audytorium liczące ponad tysiąc senatorów nie pozwoliły mu na zabranie głosu.

– Panie i panowie! Szanowni delegaci! – Rudolf Weinstein, pochodzący z Belgii przewodniczący senatu, próbował uspokajać zebranych. Z właściwym sobie akcentem tubalnym głosem mówił w przestrzeń, a czujniki dźwięku wzmacniały jego głos, czyniąc go potężnym i władczym. – Zaprosiłem do nas Stefana Karpowskiego, przedstawiciela Instytutu Astrofizyki i Kosmonautyki, właśnie po to, aby wszystko państwu wyjaśnił. Co zaś się tyczy sposobu finansowania projektu, jutro otrzymają państwo do wglądu

szczegółowy raport sporządzony przez Komisję Finansów. Ze swojej strony ręczę, że nic nie odbyło się kosztem innych dręczących nas obecnie problemów. Profesorze, udzielam panu głosu.

Mężczyzna skinął głową, odczekał chwilę, aż wszyscy delegaci zajmą ponownie miejsca, poprawił okulary i zaczął mówić donośnym głosem:

– Jak już wspomniałem, od siedmiu lat prowadzimy przygotowania do pierwszego załogowego lotu międzygwiazdowego. Za kilka miesięcy nasza praca zostanie ukończona. Ale zanim zacznę zagłębiać się w szczegóły projektu, pozwolę sobie na małą dygresję. W tym celu przytoczę dane z raportów sporządzonych przez Instytut Statystyki. – Podniósł w górę i pokazał zebrany teczkę dokumentów. – Jest to sporządzony w poprzednim roku „Raport dotyczący zasobów, stan na kwiecień 2055”. Wynika z niego, że przy utrzymującym się tempie wzrostu ludzkiej populacji oraz zużyciu dostępnych zasobów na obecnym poziomie wyczerpią się one dość szybko. Przeprowadzone symulacje wykazały, że stanie się to pod koniec dwudziestego trzeciego wieku. Obecnie żyje na Ziemi dwanaście miliardów ludzi. Codziennie rodzi się trzysta tysięcy osób więcej, niż umiera. Wiemy, że populacja ludzka wzrasta wykładniczo, co oznacza, że za osiemdziesiąt lat będzie nas około czterdziestu ośmiu miliardów. Już w tym momencie zaczną się poważne kłopoty z żywnością w wyniku zwiększającej się z roku na rok erozji gleb. Wielkie aglomeracje miejskie to również problem społeczny. Nadmierna gęstość zaludnienia ma bowiem negatywny wpływ na społeczeństwo i nasila zachowania dewiacyjne...

– To tylko niepoparte żelaznymi dowodami psychologiczne dywagacje – prychnął delegat z Afryki.

– Raporty mówią co innego. – Karpowski potrząsnął teczką. – Badania socjologiczne zostały przeprowadzone niezależnie od siebie przez kilka zespołów najlepszej klasy specjalistów w tej

dziedzinie.

– Ale przecież zostały wdrożone programy mające doprowadzić do stanu przejścia demograficznego i spłaszczenia krzywej przyrostu przez wyeliminowanie biedy w krajach Trzeciego Świata – wszedł mu w słowo młody delegat Unii Europejskiej. – W odwodzie pozostają także rozmaite metody kontroli urodzeń.

– To prawda, lecz podjęte działania okazały się nie tak skuteczne, jak byśmy sobie tego życzyli. Rozwój technologiczny Afryki i Azji Wschodniej jest stosunkowo wolny. Ponosimy porażkę na tym polu. Proszę spojrzeć na wyniki opublikowane przez Komisję Reform Afryki. Typowa rodzina w tamtym rejonie sprowadza się do modelu dwa plus cztery. To rodzaj zabezpieczenia, gdyż większa liczba dzieci oznacza większą szansę na to, że któreś z nich przeżyje mimo głodu i chorób. Rodzice mają nadzieję, że choć jedno z ich dzieci dorośnie i zajmie się nimi na starość.

Zamilkł na chwilę i spojrział gdzieś w przestrzeń, wydawałoby się – zafrasowany ciężkim losem afrykańskich dzieci.

– Proszę państwa, przegrywamy tę wojnę. Co zaś się tyczy metod kontroli urodzeń... – Zwrócił się w stronę kardynała Cantona i skłonił z szyderym uśmiechem. – Kościół katolicki skutecznie blokuje przedsięwzięcie, powołując się na swoje doktryny.

Dostojnik kościelny zacisnął mocno usta, mrużąc przy tym gniewnie oczy.

– Od zarania istnienia naszego gatunku przyrost ludności był mniej lub bardziej stabilny – kontynuował Karpowski. – Liczba narodzin i zgonów pozostawała w niemal idealnej równowadze. Po wynalezieniu rolnictwa i przystosowaniu się ludzi do osiadłego trybu życia zaczęło się to jednak zmieniać. Jaki z tego wniosek?

– Powinniśmy, jak nasi przodkowie, wrócić do koczowniczego trybu życia? – zapytał ironicznie delegat z Afryki.

– Skądże znowu. Nie ten czas, nie ta epoka. Chociaż poniekąd ma

pan rację. Jeśli gatunek ludzki ma przetrwać, musimy wyruszyć w kosmos. Nasze Słońce kiedyś się wypali. Co prawda dzielą nas od tego miliardy lat, ale wcześniej czekać nas mogą katastrofy kosmiczne, takie jak uderzenie planetoidy bądź wybuch supernowej w niedalekim sąsiedztwie, który wyemituje rozbłyśki gamma gotowe zdmuchnąć naszą atmosferę niczym domek z kart. Człowiek musi ujarzmić inne planety, tak jak ujarzmił Ziemię. Prędzej czy później to będzie konieczne. – Profesor westchnął ciężko. – Niestety, w systemie słonecznym brak globu, który spełniałby warunki przyjaznego miejsca dla człowieka. Merkury i Wenus to jałowe piekła, Mars jest za zimny. Jowisz, Saturn, Uran, Neptun – nieprzydatne gazowe giganty, o planetoidach nawet nie warto wspominać.

– A co z programem terraformingu, w który ładujemy tyle pieniędzy? – odezwał się jeden z Azjatów.

– To raczej pytanie do inżynierów planetarnych. Z tego, co mi wiadomo, terraformowanie Wenus zajęłoby nam około dwudziestu tysięcy lat. Samo dostarczenie na jej powierzchnię wodoru oraz mikroorganizmów, które wytworzą tlen i parę wodną, jest przedsięwzięciem karkołomnym. Drugim idealnym obiektem do terraformingu jest księżyc Saturna, Tytan. Tyle że niestety leży zbyt daleko od Ziemi.

– A Mars? Przecież dwadzieścia lat temu rozpoczęły się tam prace przystosowujące planetę do zasiedlenia jej przez człowieka – ponownie głos zabrał młodzieniec z Unii Europejskiej.

– Doba słoneczna Czerwonej Planety wynosi dwadzieścia cztery godziny, trzydzieści dziewięć minut i trzydzieści pięć sekund, czyli prawie tyle samo, co na Ziemi. Nachylenie osi obrotu Marsa do płaszczyzny jego orbity różni się tylko nieznacznie od nachylenia osi Ziemi. Strefy klimatyczne i zmiany pór roku byłyby korzystne dla potencjalnych kolonizatorów. Niestety, na tym podobieństwa się

kończą.

Profesor zamilkł na chwilę, uważnie spoglądając na delegatów zebranych w sali.

– Obecnie na Marsie panuje zlodowacenie. Konieczne byłoby zatem wywołanie efektu cieplarnianego. Do nasycenia atmosfery tlenem można użyć specjalnych mikroorganizmów zdolnych do fotosyntezy, a wodę czerpać z pobliskich planetoid lodowych. Ważnym etapem, który obecnie realizujemy, jest systematyczne bombardowanie okolic równika planetoidami żelazowo–niklowymi w celu zwiększenia masy planety, między innymi po to, by zniwelować zbyt małe przyciąganie.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Nasi inżynierowie twierdzą, że pierwsi kolonizatorzy mogliby się tam osiedlić na początku trzeciego tysiąclecia. To o siedemset lat za późno...

Profesor zawiesił głos i w sali zapanowała absolutna cisza. Mężczyzna wyciągnął chusteczkę z kieszeni i przetarł nią okulary.

– A Księżyc? – Młody człowiek nie dawał za wygraną.

– Księżyc posiada za małą masę i terraforming trwałby jeszcze dłużej niż w wypadku Marsa. Na razie mamy tylko kilka hermetycznych baz w okolicach podbiegunowych, skąd umiemy czerpać wodę. Jest tam miejsce dla góra dziesięciu tysięcy ludzi.

Delegat z Europy pokiwał tylko głową.

– Pozostaje nam znaleźć glob zbliżony warunkami do Ziemi, czyli już przygotowany do kolonizacji. Jak tego dokonać? Znalazienie takiej planety w pobliżu naszego systemu wydaje się niemożliwe. Niemal codziennie odkrywamy nowe planety poza słoneczne, ale są to zazwyczaj olbrzymy podobne do naszego Jowisza, krążące bardzo blisko swoich słońc, lub skaliste, niewielkie globy niezdolne do utrzymania atmosfery. Na pewno gdzieś w naszej galaktyce znajdują się planety ziemio podobne, ale dzielą je od nas setki, jeśli

nie tysiące lat świetlnych.

Oczy profesora nagle zabłyśły.

– Ale zdarzył się cud. Dziesięć lat temu na orbicie został umieszczony teleskop najnowszej generacji, Hubble III, wyposażony w najnowocześniejsze przyrządy optyczne pozwalające robić zdjęcia planet na tle lśniących gwiazd macierzystych. Szukaliśmy w dalekiej przestrzeni, a tymczasem tuż pod naszym nosem, w układzie Alfa Centauri, krąży planeta typu ziemskiego.

Na znak dany przez Karpowskiego lampy przygasły, smuga jasnego światła popłynęła z wyświetlacza i przed profesorem pojawiły się trójwymiarowe zdjęcia. Przedstawiły planetę spowitą w biel i błękit. Na pierwszy rzut oka przypominała Ziemię, ale było w niej coś nieokreślonego, innego, tajemniczego.

Na sali ponownie podniósł się gwar, parlamentarzyści wstali, słychać było okrzyki pełne zdumienia.

– Proszę spojrzeć, oto holograficzne zdjęcia wykonane przez teleskop. Tutaj widzimy pokrytą oceanami planetę. Na następnym zdjęciu mamy skrawek powierzchni, który wychynął spod gęstych chmur. Ta zielona plamka to pierwotna puszcza. Analiza spektrum natężenia kolorów świadczy o atmosferze składem zbliżonej do ziemskiej. Na pewno zawiera podobne proporcje składu chemicznego. Prawdopodobnie planeta jest dziewicza, gdyż nie wykryliśmy aktywności obcych cywilizacji.

– Proszę mi wytłumaczyć, profesorze, jak to możliwe, że nie odkryliście tej planety wcześniej? – odezwał się delegat z Australii. – Przecież monitoring kosmosu trwa od ponad wieku. Odkrywamy planety wokół najdalszych pulsarów i cefeid, a tu proszę!

– Niestety, w tym momencie nie potrafię racjonalnie tego wytłumaczyć – rozłożył ręce Karpowski. – Od wielu lat przeczesujemy ten układ za pomocą radioteleskopów, refraktorów, teleskopów fotograficznych. Ocenialiśmy planety na podstawie

obserwacji tranzytu i wiedzieliśmy, że jeden ze składników Alfya Centauri posiada planetę. Z obliczeń jednak wynikało, że jest to gigant typu jowiszowego.

– Zatem może i teraz się pomyliliście? – spytał ironicznie ciemnoskóry delegat z Afryki.

– Nie. To niemożliwe – odciął się ostro zdenerwowany profesor. – Błędy w obliczeniach były najpewniej spowodowane przez niepełne dane. Dodatkową masę w tym układzie mogą stanowić asteroidy lub innego rodzaju materia. Tego jeszcze nie wiemy. Ale teraz mamy dowód w postaci zdjęć.

– A czy wchodzi w grę przekłamanie przyrządów optycznych? – zapytała kobieta o orientalnym typie urody. Karpowski nie wiedział, skąd pochodzi, gdyż nie miała identyfikatora, a przedstawiciele rasy żółtej można było spotkać w prawie każdej delegacji.

– Dzięki najnowszym technologiom zastosowanym w Hubble III możliwe są obserwacje stukrotnie dokładniejsze niż wcześniej. Dwa obiekty kosmiczne oddalone od siebie o mniej niż jedną sekundę kątową będą z Ziemi widoczne zawsze jako jeden obiekt. Poprzedni teleskop posiadał zdolność rozdzielczą około jednej dziesiątej sekundy. Proszę sobie wyobrazić moc obecnego teleskopu.

– Profesorze, co daje nam taka wiedza? – spytał przewodniczący.

– Alfa Centauri to najbliższy nam układ gwiazdny. Odległość wynosi zaledwie nieco ponad cztery lata świetlne. Od kilku lat kieruję projektem o nazwie Raj Utracony. Trwają prace nad budową gwiazdolotu zdolnego odbyć tak daleką podróż. Ośmioosobowa załoga statku kosmicznego będzie miała za zadanie zbadać planetę i wybudować na niej prowizoryczną bazę. Jeśli okaże się, że można tam żyć, kolonizacja rozpocznie się już w dwa tysiące setnym roku. Oznaczałoby to rozwiązanie naszych problemów z przeludnieniem oraz brakami surowców i zasobów naturalnych.

Na ustach Stefana Karpowskiego pojawił się uśmiech, jego oczy

rozbłysły zapalem.

– Pomyślcie tylko! Nowy świat, nowe możliwości. Będziemy jak nasi przodkowie odkrywający nieznane lądy. Ci, którzy tam polecą, staną się nowymi Kolumbami, i tak jak on przed wiekami postawił stopę na odkrytym kontynencie, tak oni postawią swoje na planecie w zupełnie innym systemie gwiazdnym.

ROZDZIAŁ 2

WATYKAŃSKIE INTRYGI

Papież Jan Karol III spoglądał z balkonu watykańskiej willi w Castel Gandolfo na kwitnący, nienagannie utrzymany ogród. Wciąż był ubrany w szaty liturgiczne, których nie zdążył zdjąć po mszy odprawianej dla niewielkiej grupy kapłanów.

Oparty o balustradę zamglonym wzrokiem wpatrywał się w pierwsze przejawy wiosny. Pojawiały się kwiaty, przyroda budziła się do życia, kwietniowe słońce ciepłymi promieniami otulało świat. W oddali, kontrastując z soczystą zielenią Wzgórz Albańskich, błyszcząca stała potężna kopuła obserwatorium astronomicznego.

Papież stał zgarbiony, z rozwianymi przez wiatr rzadkimi, białymi włosami. Sieć zmarszczek na twarzy dodawała mu mądrości i dostojności. Mimo sędziwego wieku umysł posiadał bystry i lotny.

W spokoju wysłuchał relacji z posiedzenia światowego senatu przedstawionej mu przez kardynała Bernarda Cantona. Kiedy jednak padły słowa o planie wyprawy do Alfj Centauri, uniósł powieki, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

– Nie możemy do tego dopuścić! – rzekł zachrypłym głosem, odwracając się do swojego gościa.

Kardynał Canton stał przed papieżem ubrany w czarny podróżny garnitur. Jedyłą oznaką przynależności do stanu duchownego była biała koloratka pod szyją. Wydawał się zaskoczony nagłym wybuchem biskupa Rzymu. Nie spodziewał się tak ostrej reakcji na wieści, które przywiózł.

Kościół katolicki w ciągu ostatnich czterdziestu lat zdobył szacunek ludzi i pozycję w społeczeństwie. Decydenci z Watykanu

przyjęli wreszcie do wiadomości, że od synodu w Tyrze czasy się zmieniły, i zrezygnowali z wielu dogmatów, przystosowując tym samym Kościół do realiów współczesności. Odeszli od tradycjonalizmu, który cechował tę instytucję przez tysiąclecia, wprowadzili ustępstwa liturgiczne, wzmocnili marketing, powołali komórkę public relations, zainwestowali w media, a nawet zaczęli stosować lobbing parlamentarny. W niedługim czasie Watykan stał się potęgą polityczną i finansową, z którą musiał się liczyć cały świat.

Oczywiście nie zapomniał o swoim powołaniu, dziedzictwie Piotrowym. Olbrzymia rzesza ludzi dzięki nowoczesnemu podejściu do kwestii grzechu powracała na łono Kościoła. Po fali masowych apostazji w początkach dwudziestego pierwszego wieku wydawało się, że już nic nie uratuje tej instytucji przed upadkiem. Ale w burzliwych czasach zawirowań politycznych, degradacji środowiska oraz przeludnienia człowiek szczególnie potrzebował wiary i nadziei na inny, lepszy świat. Im więcej było wiernych, tym bardziej organizacja zyskiwała na sile.

Jan Karol III popierał program podboju kosmosu, dlatego Canton był szczerze zdziwiony reakcją papieża, który pomógł nawet przeforsować projekt inżynierii planetarnej, terraformingu Marsa oraz budowy baz na Księżycu. Kardynał jednak milczał, oczekując na wyjaśnienia.

Cierpliwości nauczył się w ciągu trzydziestu lat spędzonych na łonie Kościoła. Wcześniej był zupełnie innym człowiekiem. Wychował się na przedmieściach Amsterdamu w brudnej dzielnicy portowej. Wiódł żywot młodocianego przestępcy – kradł, napadał, rabował. Należał do gangu terroryzującego statecznych mieszkańców stolicy. W latach kryzysu ekonomicznego, gdy co rusz w różnych miastach Europy wybuchały zamieszki, łatwo można było usprawiedliwić to, co robił. Wydawało mu się, że czyni to ze

słusznych pobudek, bo przecież należy mu się godne życie. Nie poczuwał się do winy i obarczał nią system, w jakim przyszło mu żyć, rząd, a nawet banki.

W końcu trafił do więzienia za rozbój. Właśnie tam dostał szansę. Już wtedy duchowni pozyskiwali w swoje szeregi twardych, lecz bystrych młodych ludzi. Otrzymał możliwość wyboru: wrócić na ulicę, ale prędzej czy później i tak trafić za kraty – tym razem za morderstwo – lub wstąpić do przyklasztornej szkoły. Bernard był inteligentny i wybrał właściwie.

Wstąpił do seminarium, gdzie – w tajnym ośrodku watykańskim – szkolił się nie tylko w naukach teologicznych, lecz także w sztukach walki, inwigilacji wroga i metodach szpiegowskich. Po ukończeniu szkoleń przez wiele lat jako agent Watykanu wykonywał misje wywiadowcze na całym świecie. Nawet teraz, pomimo pięćdziesięciu lat na karku, czuł się na siłach, żeby uczestniczyć w tajnych operacjach. Jednakże jego wiedza i doświadczenie bardziej potrzebne były tutaj, w Stolicy Piotrowej.

Papież poprawił szaty, opuścił balkon i usiadł w fotelu. Jego twarz była bledsza niż zwykle.

– Czy mamy możliwość zablokowania lub choćby opóźnienia tego przedsięwzięcia? – spytał.

– Byłoby to niezwykle trudne. Przygotowania dobiegają końca. Za góra pół roku wszystko powinno być zapięte na ostatni guzik. Uruchomienie projektu nie było poddane pod dyskusję na forum senatu... – Duchowny uśmiechnął się krzywo. – Wiedzieli, co robią. Spory proceduralne i niekończące się głosowania opóźniłyby start o wiele lat. Teraz już niewiele możemy uczynić. Działalność lobbystyczna na tym etapie nie wchodzi w grę. Możemy jedynie zgłosić odwołanie, podając jako przyczynę brak zgodnej akceptacji projektu przez senat, i zażądać wstrzymania prac na okres rozpatrzenia wniosku. Oczywiście nie bezpośrednio, ale poprzez

stworzoną przez nas opozycję. Bez problemu uda mi się namówić delegatów Federacji Afrykańskiej i Stanów Ameryki Północnej, a nawet niektórych senatorów Unii Europejskiej. Myślę, że przy odpowiedniej gratyfikacji przyłączą się także Zjednoczone Państwa Islamu.

– Spróbować nie zaszkodzi – mruknął Jan Karol III i spojrzał wnikliwie na kardynała. – Proszę mi uczciwie odpowiedzieć, jakie mamy szanse?

Canton westchnął ciężko.

– Niewielkie – odparł szczerze. – Przy obowiązującym systemie proceduralnym i wszechobecnej biurokracji wniosek zostanie rozpatrzony w momencie, gdy ekspedycja będzie już w okolicach Jowisza.

Papież dłuższą chwilę siedział nieruchomo, przymknął powieki i opuścił głowę. Zdawało się, że zasnął.

– Kto jest odpowiedzialny za projekt? – zapytał nagle.

– Niejaki Stefan Karpowski. Profesor Instytutu Astrofizyki i Kosmonautyki, z pochodzenia Polak. Niezwykle przenikliwy umysł, ale ateista. Jeśli Wasza Świątobliwość sobie życzy, dostarczę na jutro jego pełne dossier wraz ze stworzonym przez naszych ekspertów profilem osobowościowym.

– Trzeba go dokładnie wy badać. – Papież otworzył oczy i spoglądał teraz przez okna na zielone wzgórza, gdzie majaczyła kopuła obserwatorium astronomicznego. – Zajmiesz się nim osobiście, Bernardzie. Masz mu deptać po piętach. Niech czuje twój oddech na karku, cokolwiek zrobi. Musimy znać wszystkie jego myśli i plany.

Kardynał nisko się uklonił.

– Dobrze, Wasza Świątobliwość.

– Gdzie on teraz jest?

– W bazie księżycowej Luna. Osobiście nadzoruje projekt.

– Jeszcze w tym tygodniu tam polecisz. Jako powód wizyty podamy

– papież uśmiechnął się ironicznie – troskę Kościoła o przebieg prac nad tym wiekopomnym dziełem.

Jan Karol III podniósł spojrzenie na kardynała.

– Zanim wyruszysz w drogę, odwiedź nasze archiwum i porozmawiaj z niejakim Marcusem Brandinim.

Będzie poinformowany o twoim przybyciu. Wiele się od niego dowiesz. Oczywiście nie muszę ci przypominać o konieczności zachowania tajemnicy...

– Oczywiście. Stanie się, jak Wasza Świątobliwość sobie życzy!

Bernard Canton uklonił się głęboko i oddalił. Kiedy już trzymał rękę na klamce, zatrzymał go głos papieża:

– I jeszcze jedno! Spraw, żeby jednym z uczestników tej wyprawy był nasz człowiek.

Marcus Brandini był niskim, sympatycznym grubasem, który ledwo mieścił się swój jezuicki habit. Kiedy zauważył idącego w jego stronę Bernarda Cantona, wstał niezgrabnie zza biurka i z jowialnym uśmiechem powitał przybysza. Wskazał kardynałowi krzesło po drugiej stronie.

Canton usiadł i rozejrzał się po ogromnym gmachu Cortile Della Pigna. Mimo że bywał tu często, za każdym razem odczuwał niezwykle szacunek dla tego miejsca, przechowującego w tysiącach oprawionych w skórę ksiąg i pożółkłych zwojów wiedzę minionych epok. Wiedział, że to, co widzi na półkach i w gablotach, to tylko niewielka część tego, co przechowywane jest w tajnym archiwum znajdującym się w podziemiach budynku. Podobno znajdują się tam dokumenty zawierające prawdę o śmierci Jana Pawła i, jak również teczki z czasów nazistów mogące rzucić nowe światło na historię i mocno zamieszać w światowej polityce.

– Jego Świątobliwość uprzedził mnie o wizycie kardynała – rozpoczęła Brandini.

– Cóż to za tajemnica, którą macie mi powierzyć w tak wielkim

sekrecie? – spytał z lekką ironią Canton.

Zamilkł jednak, widząc, jak z rumianego, puciołowatego oblicza zakonnika znika uśmiech, a na czole pojawiają się głębokie zmarszczki.

– O tym, co za chwilę powiem, wie zaledwie garstka osób – rzekł Brandini niemal konspiracyjnym szeptem. – I mam nadzieję, że tak pozostanie. Czy to zrozumiałe?

– Oczywiście. – Gość lekko skinął głową. – Umieć dochowywać tajemnic.

– Nie wątpię – odparł jezuita, obrzucając swojego rozmówcę zimnym spojrzeniem. – Co kardynałowi wiadomo o sybillach?

– Sybillach? – zdziwił się Bernard Canton.

Mitologia nie była jego mocną stroną i dłuższą chwilę milczał, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co wie na ten temat.

– Proszę mi wybaczyć, moja wiedza w tym zakresie jest mocno ograniczona, ale pamiętam z wykładów w seminarium, że w starożytności sybilla przepowiadała nadejście Mesjasza oraz inne wydarzenia. Pierwotnie była jedna, ale Warron, żyjący w pierwszym wieku przed narodzeniem Chrystusa, wymienia ich dziesięć. Ponoć misjonarze nawracający w średniowieczu pogan opierali się na Księgach sybillińskich. Ale jakoś nie za bardzo chce mi się wierzyć w te wszystkie wieszczki. Zresztą z tego, co wiem, Kościół obecnie rozważa odrzucenie ich wiarygodności.

– Tak będzie lepiej dla wiernych.

– Co?! – Kardynał otworzył szeroko oczy. – Zatem to prawda? Księgi Sybilli istnieją?

Jezuita rozparł się wygodnie w fotelu, zapatrzył w przestrzeń i rozpoczął opowieść.

– Pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa do legendarnego króla rzymskiego Tarkwiniusza Pysznego przybyła pewna stara kobieta. W jej posiadaniu znajdowało się dziewięć ksiąg zawierających

mądre rady i proroctwa przyszłych wydarzeń. Pragnęła podzielić się ową wiedzą z królem i zaoferowała sprzedaż ksiąg za trzysta filipów. Król pomyślał, że kobieta jest szalona, i odrzucił jej propozycję. Wówczas starucha spaliła trzy księgi, a za pozostałe żądała tyle samo, co za komplet. Tarkwiniusz jednak ponownie odrzucił jej ofertę. Wtedy kobieta spaliła kolejne trzy księgi i za pozostałe zażądała znów trzysta filipów. Wreszcie zaciekawiony król kupił ocalałe egzemplarze. Ową staruchą była Sybilla Cumana imieniem Almathea. Pozostałe to Persica, Libica, Delphica, Cumaca, Erithera, Sarnia, Helespontica in agro Trojano, Phrigia i ostatnia, Tihurtina imieniem Alhumeata. Sybille nie żyły w tym samym czasie ani w jednym miejscu, ale wszystkie odsłaniały kurtynę przyszłości.

– Pisał o nich święty Paweł, prawda? – wtrącił Canton. – O wyroczeniach, które o jednym Bogu dają znać i o tym, co ma nastąpić.

– Zgadza się – uśmiechnął się Brandini. – Ocalałe księgi Sybille przez wieki przechowywane były na Kapitolu i radzono się ich w chwilach trwogi. Sporządzono kopie i odpisy, ale wiele z nich poginęło, inne zostały zniszczone przez Oktawiana Augusta oraz przez Dioklecjana.

– Co to ma wspólnego z ekspedycją do Alfy Centauri? – zniecierpliwiony kardynał przerwał wywód jezuitę.

– Już przechodzę do sedna sprawy – rzekł Marcus.

Sięgnął do szuflady biurka i wyjął mocno sfatygowaną, ozdobioną złotymi rycinami księgę. Z nabożeństwem otworzył ją na ostatnich stronach.

– Jest to jedna z zaledwie kilku kopii wykonanych przed trzema stuleciami. Oryginalne zwoje liczą ponad dwa i pół tysiąca lat i są zamknięte w specjalnym pomieszczeniu w podziemiach Cortile Della Pigna.

Bernard Canton nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Nie mieściło

mu się w głowie, że w watykańskim archiwum spoczywają legendarne księgi spisane ręką starożytnej Sybilli.

– Co zawierają?

– Przepowiednie spisane w tysiącu strof. Każda z nich odnosi się do wydarzenia mającego wpływ na historię ludzkości. Ich sekret przekazywany był kolejnym papieżom.

– Myślałem, że to tylko legenda – wyszeptał pobladły kardynał.

– Niestety nie. – Marcus Brandini skrzywił usta w uśmiechu, który mógłby wyrażać zarówno sarkazm, jak i smutek. – Strofy przepowiadały konflikty zbrojne, narodziny i upadki wielkich imperiów, pojawienie się na scenie dziejów znanych ludzi, ruchy społeczne, wynalezienie bomby atomowej, a nawet lot na Księżyc.

Bernard Canton pokręcił w niedowierzaniu głową.

– Niemal wszystkie strofy się wypełniły. Zostały ostatnie. Proszę posłuchać, co Sybilla wieszczy o wyprawie do Alfy Centauri.

Jezuita przymknął oczy i wyrecytował z pamięci:

I nastanie wiek żelaza i stali

Dla ludzi zabraknie miejsca na Ziemi

Wybudują oni wtedy latający rydwan

Który zabierze ich daleko do innego Słońca

A tam odkryją nowy świat

Nazwą go Raj Utracony

Zaiste nie będzie to jednak Raj Utracony

A dziedzina Szatana

Obudzi się wtedy Lewiatan i Beliar nawiedzi Ziemię.

Przez chwilę obaj duchowni siedzieli w milczeniu, każdy z nich pogrążony we własnych myślach. Kardynał próbował uporządkować sobie to wszystko, co usłyszał. W swoim życiu niejednego już doświadczył. Brał udział w tajnych operacjach, gdzie narażał się na

niebezpieczeństwo ze strony wrogów Kościoła, podczas działalności szpiegowskiej poznał sekrety wielu wysoko postawionych ludzi, ale nie mieściło mu się w głowie, że papież i garstka wybranych duchownych mieli wgląd w tajemnice przyszłości.

– Czy dotychczasowe przepowiednie się sprawdzały? – zapytał cicho.

Brandini otworzył oczy i spojrzał smutno na swojego gościa.

– Tak – odparł. – Na razie wszystkie. Dzięki tej wiedzy Kościół przetrwał zawieruchy historii, umiejętnie lawirując w labiryntach losu. Tym razem jednak musimy działać! Przeciwstawić się przeznaczeniu. W przeciwnym razie ludzkość czeka zagłada.

– Ogłosmy to! Ujawnijmy treści Ksiąg sybillińskich.

Jezuita prychnął szyderczo.

– Nikt nam nie uwierzy. Nie potraktują ostrzeżenia poważnie.

– Rozumiem.

Kardynał posiadał racjonalny umysł i w pierwszej chwili chciał wszystko odrzucić, wyprzeć, wyśmiać jako urojenia, ale instynktownie czuł, że jest to prawda. Wersy Sybilli w jakiś nieokreślony sposób drażniły jego podświadomość i niepokoiły. Po raz pierwszy w swoim życiu się bał. Nie tak zwyczajnie jak przed akcją, gdzie strach pomaga przewyciężyć trudności, a wytworzona adrenalina dodaje energii. Odczuwał bezradność wobec tego, co miała przynieść przyszłość, i to było najbardziej przerażające. Świat miał się skończyć, dostać się pod władzę Szatana. Postanowił, że uczyni wszystko, żeby do tego nie doszło.

Podniósł się energicznie i bez pożegnania ruszył szybko w stronę wyjścia. Jego kroki zadudniły w pustym gmachu. Marcus Brandini patrzył na odchodzącego kardynała. Gdy drzwi zamknęły się za nim, jezuita przeniósł wzrok na wersety przepowiedni. Strofa, którą wyrecytował, nosiła numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Zastanawiał się, czy w legendarnych zniszczonych księgach było coś

więcej, czy też wszystko skończy się na ostatnim, tysięcznym akapicie?

Zaczął go czytać, wolno poruszając ustami, jakby nie chciał uronić ani jednego słowa. Gdy skończył, jeszcze długo siedział samotnie. Po jego policzkach spływały łzy.

ROZDZIAŁ 3

TAJNE STOWARZYSZENIE

Wysoki mężczyzna w długim, czarnym płaszczu z kapturem zarzuconym na głowę, tak że nie sposób było dojrzeć rysów twarzy, zwawym krokiem przemierzał skąpane w listopadowym mroku uliczki Paryża. Dżdżysta jesień nie sprzyjała spacerom po mieście; nieliczni przechodnie nie zwracali uwagi na tajemniczego osobnika, starając się jak najszybciej schronić przed deszczem. A jeśli nawet ktoś dłużej skupił na nim spojrzenie, uznał go za pewne za jednego z tych dziwaków, ekscentrycznych artystów szukających natchnienia w zaułkach nocnego Paryża. I chociaż widok mężczyzny mógł budzić niepokój, to nikt się go nie obawiał, bowiem każdą uliczkę patrolowały latające kamery i w razie zagrożenia w ciągu minuty patrol policji zjawiłby się na miejscu, żeby zapobiec przestępstwu.

Mężczyzna zatrzymał się i szczelniej okrył połami płaszcza. Potem odwrócił głowę i zdawał się kontemplować wieżę Eiffla. Naprawdę przyglądał się jednak pewnemu podążającemu za nim młodzieńcowi, który ubrany zwyczajnie, w brązową zamszową kurtkę i dżinsowe spodnie, z miniaturową kamerą zamontowaną za uchem, wyglądał niczym turysta oglądający ozdobne fasady kamienic. Tajemniczego osobnika to jednak nie zwiódło. Gdyby kaptur nie przesłaniał twarzy, dałoby się zauważyć złowrogi błysk bładoniebieskich oczu. Po chwili mężczyzna odwrócił się i ruszył dalej.

Dziesięć minut później dotarł na plac Denfert–Rochereau i zniknął wśród zrujnowanych kamienic. Odszukał budynek nieczynnego już od dwóch dekad Muzeum Katakumb i przez dobrą chwilę mocował

się z ciężkimi, drewnianymi drzwiami. Wreszcie rozwarły się z hukiem i oczom zakapturzonego człowieka ukazało się wejście do paryskich podziemi.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął latarkę, włączył ją i ruszył w dół po spiralnych schodach. Szedł dobre pięć minut, aż znalazł się w obszernej komnacie. Teraz była całkiem pusta, ale kiedyś znajdowała się tutaj sala muzealna z wystawami, zdjęciami, makietami. Mężczyzna rozejrzał się i ruszył podmokłym, kamiennym korytarzem wiodącym do samego serca podziemi rozciągających się pod Paryżem na obszarze niemalże ośmiuset hektarów.

Katakumby były pozostałością po kamieniołomach, z których już za czasów Imperium Rzymskiego wydobywano wapień potrzebny do budowy miasta. Tunele i korytarze tworzyły sieć na kształt podziemnej metropolii, od zawsze służącej za schronienie wszelkiej maści odmieńcom, bandytom, szmuglerom, rewolucjonistom i spiskowcom. To tutaj Victor Hugo umieścił akcję *Nędzników*, tutaj pojawiał się słynny upiór z opery, a w czasie drugiej wojny światowej swoją siedzibę miał francuski ruch oporu.

Jeszcze pod koniec poprzedniego stulecia paryskie podziemia można było zwiedzać bez żadnych ograniczeń. Przyciągały one jednak rzesze żądnych doznań amatorów przygód, którzy gubili się w labiryntach korytarzy, a w mrocznych tunelach młodzież urządzała sobie balangi nierzadko kończące się nieszczęśliwie. Wypadków było coraz więcej i władze miasta zakazały wstępu do katakumb, pozostawiając tylko muzeum będące zaledwie niewielkim skrawkiem rozległych podziemi. Jednak i ono przestało funkcjonować wraz z popadnięciem w ruinę tej części Paryża. Od tamtego czasu nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w dół, w niezbadaną otchłań.

Wśród mieszkańców krążyły legendy, że pod Paryżem znajduje się

podziemne miasto, gdzie znaleźli schronienie degeneraci, ludzie oszpecceni i zdeformowani przez eksperymenty genetyczne. Inni powiadali, że w katakumbach znajduje się tajna wojskowa baza, a w niej, jak w słynnej amerykańskiej Strefie 51, przetrzymywani są kosmici. A byli i tacy, którzy twierdzili, że podziemia są siedzibą okultystów.

Jak było naprawdę, mógł wiedzieć zakapturzony mężczyzna, którego kroki rozchodziły się echem w mrocznym korytarzu. Od czasu do czasu w świetle latarki pojawiały się szczury. Zatrzymywały się wówczas, podnosiły pyszczek zdziwione, że ktoś miał odwagę i czelność zejść do tego królestwa ciemności, ale zaraz czmychały w obawie, że tajemniczy osobnik wyrządzi im krzywdę.

Mężczyzna dotarł do dużej sali i rozejrzał się uważnie. Gdzieniedzie leżały jeszcze zniszczone eksponaty muzealne, przewracane sarkofagi, tablice informacyjne w języku francuskim i angielskim, gipsowe odlewy budowli wykonane przez osiemnastowiecznych pracowników kamieniołomów. Snop światła padł na tunel prowadzący do dalszej części katakumb. Nad wejściem widniała tablica z napisem: *Arrête! C'est ici l'empire de la mort.* Zakapturzony człowiek odczytał szeptem:

– Zatrzymaj się! Tu zaczyna się imperium śmierci.

Uśmiechnął się lekceważąco i bez lęku postąpił naprzód. Wszedł w ziejącą ciemnością otchłań. Korytarz był węższy i wilgotniejszy niż poprzedni. Przemykające w świetle latarki szczury były większe, cienie wyolbrzymione, a pajęczyny oblepiające ściany wydawały się należeć do pajaków gigantów. Ktoś obdarzony mniejszą odwagą zaraz by się wycofał, wrócił na powierzchnię do przyjaznych światła miasta. Jednakże zakapturzony mężczyzna, nie bacząc na nic, szedł przed siebie, jakby już nieraz pokonywał tę drogę.

Od czasu do czasu mijał komory wypełnione tysiącami ludzkich kości. Zwieziono je tutaj pod koniec osiemnastego wieku, gdy

cmentarze Paryża stały się przepelnione i coraz gorzej radzono sobie z pochówkiem nowych zwłok. Mieszkająca w pobliżu nekropolii ludność narażona była na choroby rozprzestrzeniające się w wyniku chowania zmarłych w płytkich, masowych grobach. Postanowiono więc zlikwidować cmentarze w centrum miasta, a stare szczątki ludzkie przetransportować do kamieniołomów. Dzięki temu rozwiązano również problem niebezpiecznych, pustych komór, grożących zawaleniem podziemi.

Część kości dla zabawy ułożono w rozmaite groteskowe wzory i mozaiki. Szczególne wrażenie robiło olbrzymie serce utworzone z blisko stu czaszek i postument wysokości dorosłego człowieka zbudowany z ludzkich piszczeli. Makabry dopełniały całe ściany komór wyłożone kośćmi niemowląt. Wydawać by się mogło, że zaraz w korytarzu pojawi się korowód szkieletów grzechocących kośćmi, trupów toczonych przez robactwo, zmumifikowanych zwłok i, jak przedstawiają to średniowieczne drzeworyty, porwie wędrowca do obłądnego *danse macabre*.

Mężczyzna jednak musiał być pozbawiony wyobraźni, bowiem śmiało brnął przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie jak z sennych koszmarów. Nie raczył obdarzyć nawet spojrzeniem Krypty Męki Pańskiej, Rotundy Piszczeli i innych niezwykłych komór, gdzie można było znaleźć ozdobne ołtarze, zrujnowane posągi, misternie rzeźbione grobowce.

Nagle się zatrzymał i przez dłuższą chwilę nasłuchiwał. W oddali rozlegały się głuche uderzenia kropli wody o kamienną posadzkę, szurcze szamotaniny, trzepot skrzydeł nietoperza, ale nie to przykuło uwagę zakapturzonego mężczyzny. Wśród dźwięków rozchodzących się po katakumbach wyłowił ten jeden, który go zaniepokoił – miarowy odgłos ludzkich kroków.

Schował się za najbliższy sarkofag i zgasił latarkę. Czekał w zupełnych ciemnościach otoczony ludzkimi szczątkami, dziwnymi

szelestami, pająkami pełzającymi mu po plecach, ale nawet nie drgnął. Po jakimś czasie w korytarzu zamajaczyło światło latarki. Jej właściciel szedł ostrożnie, starając się robić jak najmniej hałasu.

Przez chwilę w poświacie odbitej od ściany dało się zauważyć brązową kurtkę. Mężczyzna skulony za grobowcem skrzywił usta w okrutnym uśmiechu.

Odczekał, aż młodzieniec minie miejsce, w którym się ukrył, a następnie wyciągnął z kieszeni płaszcz sztylet. Ostrożnie ruszył za nim. W nikłym świetle latarki widział niewyraźnie plecy idącego przed nim człowieka, ale to wystarczyło, żeby celnym wymierzyć cios. Gdy już szykował się do zadania pchnięcia, przypadkowo kopnął leżącą na ziemi kość. Młodzieniec natychmiast się odwrócił, świecąc latarką w twarz napastnika, co na chwilę go oślepiło. Mężczyzna pchnął sztyletem, ale trafił w pustkę. Poczul uderzenie w szczękę, które powaliło go na ziemię. Sztylet wypadł mu z ręki i zniknął gdzieś w ciemnościach. Zakapturzony nie miał zamiaru rezygnować. Zerwał się na równe nogi i rzucił na przeciwnika.

Dwaj mężczyźni zaczęli szamotać się w wąskim korytarzu paryskich katakumb. Ich ciężkie oddechy echem roznosiły się po podziemiach. Latarka wyleciała z dłoni człowieka w brązowej kurtce i teraz snop światła oświetlał przyległą komorę wypełnioną tysiącami ludzkich szczątków. Jeden z walczących miał niedługo do nich dołączyć.

Przeciwnicy zadawali ciosy pięściami, próbowali wbijać sobie nawzajem palce w oczy, podcinać się i stosować dźwignie na stawy. Przez dłuższy czas żaden z nich nie mógł zdobyć przewagi. Trafili na siebie dwaj doskonale wyszkoleni zabójcy. Wreszcie człowiekowi w zamszowej kurtce udało się uderzyć pięścią przeciwnika tak mocno, że ten osunął się na ziemię. Następnie otrzymał kopnięcie, które odrzuciło go pod ścianę. Kapturek się zsunął i gdyby leżąca nieopodal latarka dawała więcej światła, można byłoby wreszcie

ujrzeć jego pokrwawioną i opuchniętą twarz.

Ciosy spadały jeden po drugim. Mężczyzna zasłonił głowę rękoma, ale to nie pomogło. Kopnięcia były mocne i celne, a on coraz bardziej opadał z sił. Wiedział, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, to zginie tu, w paryskich podziemiach, gdzie jego kości przemierzają się z tysiącem innych.

W ostatnim akcie desperacji rzucił się na przeciwnika i przewrócił go na ziemię. Pomimo potwornego zmęczenia i bólu przesywającego niemal każdą cząstkę ciała udało mu się zadać trzy ciosy, po których tamten powinien stracić przytomność. Jednak miał do czynienia z kimś ulepionym z twardej gliny. A może jego uderzenia nie były tak silne, jak mu się wydawało?

Młodzieniec przetrwał napór, złapał oddech i zrzucił z siebie przeciwnika. Następnie na nim usiadł i zacisnął dłonie na jego szyi. Mężczyzna jeszcze próbował się uwolnić, ale bezskutecznie. Zaczynało brakować mu powietrza, przed oczyma pojawiły się mroczki i po raz drugi w ciągu zaledwie kilku minut poczuł, że jest bliski śmierci. Nieuchronnie tracił świadomość. Przestał się szarpać i opuścił ręce, pogodzony z własnym losem.

Nagle dłonią natrafił na zimny przedmiot. Zamroczony umysł nie od razu skojarzył, co to jest, i dopiero po chwili dotarło do niego, że trzyma ostrze sztyletu.

Mężczyzna w czarnym płaszczu resztkami świadomości zrozumiał, że to jego ostatnia szansa. Przesunął palce na broni i chwycił mocno rękojeść. Uderzył na oślep. Usłyszał okrzyk i już po chwili ucisk na szyi zelżał. Młodzieniec runął martwy obok niego.

Mężczyzna podniósł się dopiero po kilku minutach, gdy wreszcie przestał ciężko dyszeć i powoli zaczęły mu wracać siły. Przytrzymując się ściany, chwiejnie stanął na nogi i sięgnął po latarkę. Skierował światło na martwego osobnika. Ujrzał twarz zastygłą w grymasie bólu i nieruchome, zdumione oczy. Przesunął

niewielki snop światła i zobaczył sztylet tkwiący w okolicach śledziony.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

Przeszukał ciało zabitego. Nie znalazł żadnych dokumentów, jednak na palcu dostrzegł sygnet, jaki nosili klerycy seminarium duchownego.

– A to pies – warknął wściekle. Wiedział, że Kościół katolicki szkolił zabójców, którzy mieli likwidować takich jak on, odszczepieńców mających inną drogę.

Mężczyzna założył kaptur i ruszył dalej mrocznym labiryntem tuneli. Do spotkania miał coraz mniej czasu.

Pochodnie wciśnięte w uchwyty na ścianach płonęły, rozświetlając największą z komnat paryskich katakumb. To właśnie w niej, w samym sercu podziemi, rozegrał się jeden z największych dramatów Francji. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku komunardzi dokonali tu masowego mordu na monarchistach. W późniejszych czasach niejednokrotnie rozlewano w tym miejscu krew, jak choćby podczas drugiej wojny światowej, gdy ruch oporu dokonywał egzekucji paryżan kolaborujących z hitlerowskim okupantem. Dzisiaj zaś w komnacie spotkało się pięć osób odzianych w czarne, powłóczyste szaty i noszących na twarzach weneckie maski zapewniające im anonimowość. Zebrani stali na wymalowanym na ziemi pentagramie, każdy z nich na jednym z wierzchołków pięcioramiennej gwiazdy. Zwrócenie do środka symbolu najwyraźniej na coś czekali.

– Spóźnia się – niecierpliwił się jeden z nich.

– Przyjdzie – odparł inny tubalnym głosem. – Jeszcze nigdy nie zawiódł.

– Każdy kiedyś popełnia błędy.

– Nie on.

– Jesteś przekonany co do tego człowieka? – tym razem odezwała się zamaskowana osoba o zimnym kobiecym głosie.

– Wypełni to, co jest zapisane w przepowiedniach Sybilli.
– Dlaczego to on ma być Naczyniem Pana?
– Został wybrany.
– Przez kogo?!
– Miałem wizję – odparł spokojnie mężczyzna. – Pan do mnie przemówił.

Kobieta parsknęła.

– W narkotycznym widzie podczas jednej z okultystycznych orgii. Mężczyzna powoli odwrócił się w jej stronę. Biała maska nie pozwalała odczytać emocji, jakie malowały się na jego twarzy, ale w pomieszczeniu niemal namacalnie dało się wyczuć bijącą od niego wściekłość.

– Niczego nie rozumiesz.

– Rozumiem tyle samo, co ty – fuknęła kobieta. – Dlaczego uważasz, że posiadasz większą wiedzę niż członkowie stowarzyszenia?

– Moje wizje...

– Och. – Kobieta machnęła lekceważąco ręką i spod rękawów szaty dało się zauważyć dłoń należącą do niemłodej już osoby. – Jaką mamy pewność, że to nie urojenia? Każdy może powiedzieć, że nawiedził go Pan i przekazał tajemną wiedzę. Jedyne, na czym tak naprawdę możemy się opierać, to księga Sybilli.

– I według ostatnich strof wypełni się to, co ma się wypełnić. Właśnie za sprawą tego człowieka.

– Tylko ty tak twierdzisz!

– Przestańcie się kłócić – rzekł jeden z uczestników spotkania. – Nadchodzi.

W wejściu ukazał się zakapturzony mężczyzna. Zamaszystym krokiem przemierzył komnatę, stanął pośrodku wyrysowanego na podłodze pentagramu i z szacunkiem skłonił się zebrany.

– Spóźniłeś się – rzekła z wyrzutem kobieta.

Mężczyzna przez chwilę milczał, wnikliwie przyglądając się zebranym, jakby chciał zajrzeć pod maski i odszyfrować ich tożsamość.

– Musiałem załatwić pewną sprawę – odparł nonszalancko.

– Co może być ważniejsze od zgromadzenia?

– Papieski szpieg, który mnie śledził.

Wśród zamaskowanych dało się zauważyć popłoch. Ktoś jęknął cicho, inny zadrżał i zaczął rozglądać się za drogą ucieczki, kobieta gwałtownie zwróciła głowę w stronę wejścia, spodziewając się, że zaraz do komnaty wpadnie oddział zabójców szkolonych przez Watykan.

– Nie musicie się niczego obawiać – uspokoił ich zakapturzony mężczyzna. – Zabiłem go.

– Mogło być ich więcej – rzekł jeden z zebranych.

Człowiek stojący pośrodku pentagramu pokręcił głową.

– Nie. Był tylko jeden.

– Skąd ta pewność?

Mężczyzna uniósł lekko głowę i teraz można było dojrzeć uśmiech błąkający się na jego ustach.

– Jestem najlepszy – odparł. – Dlatego mnie tutaj sprowadziliście, żeby powierzyć mi misję. Jestem gotów być Naczyniem, które zostanie wypełnione przez jaźń naszego Pana.

– To jeszcze nie jest postanowione – prychnęła kobieta.

– Czyżby? – Mężczyzna ponownie się uśmiechnął. – Nie znajdziecie nikogo, kto bardziej nadaje się do tego zadania. Zresztą mam niemal pewne miejsce wśród załogi gwiazdolotu, który ruszy do Alfy Centauri.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Jestem sługą Beliara, a On nie toleruje ludzi słabych ani tych, którzy się... wahają.

Ostatnie słowo niemal spoliczkowało kobietę. Zatrzęsła się ze

złości.

– Jak śmiesz?!

– Błogosławieni silni, albowiem oni posiadają ziemię, i biada słabym, albowiem odziedziczą jarzmo – wyrecytował.

– Milcz! – wrzasnęła kobieta. – Zwracasz się do Magistry Templi Rex.

Mężczyzna nonszalancko wzruszył ramionami, jakby jej pozycja w Kościele Szatana nic dla niego nie znaczyła. Pewny własnej wartości oraz tego, że to on został wybrańcem, nie przejmował się hierarchią ustanowioną przed wiekami.

Od czasu powstania Kościoła katolickiego istniał jego mroczny odpowiednik stworzony przez ludzi, którzy oddawali cześć szatańskim mocom. Nie akceptowali porządku ustanowionego przez Boga, nie zgadzali się z zasadami narzuconymi przez kler, nakazującymi tłumić żądze i naturalne popędy. Nie zgadzali się z dogmatem, że doskonałość można uzyskać drogą wiary, i w centrum stawiali człowieka, a nie Stwórcę. Wierzyli, że z szatańską pomocą ludzkość kiedyś sięgnie po boskie przymioty.

Kościół katolicki na przestrzeni wieków zwalczał wszelkie herezje, sekty i bluźniercze organizacje, tępiąc ich przywódców, posyłając na stos tych, którzy sprzeciwiali się kanonowi wiary. I gdy swoją walkę przegrywali katarowie, bogomiłowie, sekty czarnoksiężskie czy wróżbiarskie, sataniści cały czas trwali. Działali w podziemiu, swoją tożsamość ukrywali przed światem, bowiem byli wśród nich bankowcy, aktorzy, biznesmeni i politycy – ludzie z pierwszych stron gazet, decydenci mający wpływ na kształt świata. Spotykali się w tajemnicy, w miejscach tak mrocznych, jak paryskie katakumby i tam odprawiali rytuały, oddając cześć Szatanowi. Wierzyli, że on w zamian daje im siłę, potęgę i władzę.

– Jeśli byłeś śledzony, oznacza to, że Canton jest na twoim tropie – rzekła kobieta. – Papiescy zapewne znają już twoją tożsamość.

– To niemożliwe! – zaprotestował zakapturzony.

– To dlaczego cię śledził?

Mężczyzna bezradnie rozłożył ramiona.

– Nie możemy ryzykować – najwyższa kapłanka zwróciła się do całego zgromadzenia. – On nie może lecieć.

– To musiał być przypadek! – nie dawał za wygraną. – Możliwe, że ten szpieg rozpracowywał tajne zgromadzenie i nic nie wiedział o mojej osobie.

Kobieta prychnęła.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Gdyby wiedzieli, kim jestem, dawno byłbym martwy. Bernard Canton w tym względzie nie wykazuje chrześcijańskiego miłosierdzia. Zginąłbym z rąk watykańskiego zabójcy.

– Nie możemy ryzykować – rzekła kategorycznie Magistra i spojrzała na pozostałych członków zgromadzenia. – Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą.

Zamaskowani ludzie jeden po drugim kiwnęli głowami. Nie uczynił tego tylko mężczyzna o tubalnym głosie.

– Magusie – zwróciła się do niego zaniepokojona kobieta, nazywając go mianem najwyższego kapłana Kościoła Szatana – wiesz dobrze, że wszystko zależy od powodzenia tej misji. Musi polecieć ktoś, kto będzie poza wszelkimi podejrzzeniami.

Magus wskazał stojącego pośrodku sali mężczyznę.

– Ale ja go widziałem w swojej wizji – rzekł szeptem. – Dotarł do drzwi świątyni. Właśnie tam go ujrzałem...

– To dla nas wszystkich zbyt ważne, żeby polegać na twoich wizjach. Nikt inny ich nie miał. Nie możemy ich zweryfikować. Kto zaręczy, że były zesłane przez naszego Pana?

– Ja w to nie wątpię! To nie były halucynacje.

– Wiem. – Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu. – Nie brałeś jednak pod uwagę tego, że mogły je zesłać wrogie nam moce. Jesteś

najwyższym kapłanem, ale powołaliśmy Zgromadzenie Pięciu, żeby podejmować decyzje wspólnie, a nie w oparciu o jednostkowy subiektywizm. W tym wypadku nie możemy zdać się na instynkt i musimy kierować się rozumem.

– Nigdy tego nie robiliśmy – odparł kpiąco. – Podstawą naszego ruchu jest dopuszczanie do siebie odczuć, a nie ich tłumienie. Od kiedy kierujemy się logiką?

– Tym razem to konieczne, żebyśmy zwyciężyli.

Magus westchnął ciężko.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Wyślemy kogoś innego.

– Nie! – krzyknął mężczyzna w czarnym płaszczu, a jego głos długo niósł się echem po katakumbach. – To ja jestem wybrańcem. Czuję to całym sobą, każdym zakamarkiem mojej duszy, każdą cząstką mojej jaźni. Nasz Pan mnie wyznaczył. Nie możecie mi tego zrobić!

– Przykro mi – tubalny głos najwyższego kapłana wyrażał teraz cierpienie. – Naszej decyzji już nic nie zmieni.

Zakapturzony zacisnął pięści i stał tak przez dłuższą chwilę, ociekając wściekłością. Z nienawiścią spoglądał na zebranych.

Przez chwilę wydawało się, że się na nich rzuci i da upust swojej frustracji.

– I tak polecę – wysyczał w końcu. – Nie powstrzymacie mnie.

Odwrócił się i zamasztył krokiem ruszył do wyjścia.

Największa z komnat paryskich katakumb opustoszała, gdy członkowie tajnego stowarzyszenia rozeszli się do swoich domów. Powrócili do żon, dzieci, przyjaciół, którzy nic nie wiedzieli o mroku kryjącym się w ich duszach. Powrócili do życia statecznych obywateli na wysokich stanowiskach państwowych. Nikt nie przypuszczał, jakie były ich prawdziwe cele, czym się kierowali przy podejmowaniu ważnych decyzji dotyczących całego społeczeństwa. Musieli być ostrożni w służbie swojemu Panu, bowiem wrogowie czuwali, a agenci Watykanu niczym inkwizytorzy w dawnych

wiekach bezwzględnie rozprawiali się z satanistami. Cała ta wojna toczyła się z dala od ludzkich oczu i uszu – jednym i drugim zależało na tym, żeby pozostać w cieniu.

W podziemnej sali została jedynie dwójka zamaskowanych ludzi – Magus i Magistra Templi Rex. Cienie, które rzucali w świetle jedynej już pochodni, tańczyły na tle skalistej ściany.

– Myślisz, że on to zrobi? – spytała kobieta. – Zgłosi się na wyprawę bez naszego pozwolenia?

– Jest do tego zdolny – odparł zmartwiony Magus. – Obawiam się, że straciliśmy nad nim kontrolę. Jest jednym z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie i jako taki będzie brany w pierwszej kolejności pod uwagę przy kompletowaniu załogi.

– Mam nadzieję, że będę mogła powstrzymać jego kandydaturę – westchnęła.

– Myślisz, że dasz radę?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Moje wpływy... Sam zresztą wiesz.

– Wiem. – Najwyższy kapłan skinął głową. – No cóż, jeśli się nie uda, to chyba nic złego się nie stanie?

Kobieta prychnęła.

– Zostanie zdemaskowany, zanim wsiądzie na pokład gwiazdolotu, a potem nas wszystkich wyda.

– Nie przesadzaj. Zresztą widziałem go w swoich wizjach...

– Och! Przestań już.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w wymalowany na ziemi pentagram. Emocje skrywali pod weneckimi maskami, ale w postawie każdego z nich dało się wyczuć troskę.

– Myślisz, że papiescy wiedzą o tym, że my też dysponujemy księgą Sybilli? – zapytał Magus.

– To bardzo prawdopodobne – odpowiedziała kobieta. – Oni nie są głupcami. Szczególnie kardynał to niebezpieczny przeciwnik.

Canton przez ostatnie lata urósł w siłę, jest potężny jak nigdy dotąd. Zdobył olbrzymie wpływy w światowym senacie, teraz został dopuszczony do projektu Raj Utracony jako niezależny obserwator i obawiam się, że będzie próbował doprowadzić do skasowania misji. Boję się też prób sabotażu.

– Tym się nie martw. Postarałem się o to, żeby do prac wokół projektu zostali zatrudnieni nasi ludzie. Już oni zadbają, aby wyprawa doszła do skutku. Zastanawia mnie coś innego...

– Tak?

– Kogo tam wyślemy?

– Mam kogoś odpowiedniego.

Magus parsknął szyderczo.

– Zaplanowałaś to sobie dokładnie – rzekł z wyrzutem. – Od początku miałaś zamiar posłać tam kogoś od siebie.

– A jeśli nawet? – odparła figlarnie kobieta, kładąc dłoń na piersi mężczyzny. – Ten ktoś jest równie kompetentny jak twój człowiek. Również będzie brany pod uwagę w pierwszej kolejności przy kompletowaniu załogi gwiazdolotu. Wypełni swoje zadanie.

– A jeśli się zdradzi?

– Mam pewien pomysł.

– Zamieniam się w słuch.

– Odprawimy specjalny rytuał – rzekła kobieta. – Dzięki mocy naszego Pana pozbawimy wybraną osobę pamięci o tym, komu służy i jaki jest cel misji. Odzyska ją dopiero, gdy dotrze do świątyni.

– Anamneza! – roześmiał się Magus. – Powinno się udać.

Magistra Templi Rex ściągnęła maskę i w nikłym świetle pochodni mężczyźnie ukazała się twarz około pięćdziesięcioletniej kobiety. Niewielkie zmarszczki jej nie szpecyły, lecz dodawały uroku, wąskie usta drżały w uwodzicielskim uśmiechu, a łagodne niebieskie oczy zupełnie nie pasowały do ostrego tonu jej wypowiedzi.

– Jak długo zostaniesz w Paryżu? – spytała, przytulając się do

niego. – Moglibyśmy spędzić jakiś czas razem.

– Czekają na mnie żona i dzieci – odparł Magus, ale w jego głosie można było usłyszeć ironię.

Kobieta się roześmiała.

– Od kiedy zaczęło ci to przeszkadzać?

– Nigdy mi nie przeszkadzało i nigdy przeszkadzać nie będzie. To wbrew zasadom naszego Kościoła. Wylatuję dopiero za dwa dni, więc mamy sporo czasu dla siebie.

– Świetnie!

Magus ściągnął karnawałową maskę i ukazało się oblicze Rudolfa Weinsteina – przewodniczącego światowego senatu.

ROZDZIAŁ 4

KSIĘŻYCOWE NIEPOKOJE

Luna szykowała się do snu. Potężne reflektory umieszczone wysoko pod hermetycznie zamkniętą kopułą księżycowego miasta powoli gasły, symulując porę nocną. Tysiące ludzi, głównie techników, operatorów maszyn budowlanych i personelu medycznego, kładło się spać. Tylko agregaty urządzeń dostarczających tlen buczały cicho.

To tutaj, w jednym ze stoczniowych doków, powstawał pierwszy w historii ludzkości gwiazdolot – *Marek Aureliusz*. Przy jego budowie zatrudnionych było wielu znakomitych inżynierów i naukowców z całej Ziemi. Wszystkie państwa zjednoczyły się w tym wielkim dziele i wspólnymi siłami, korzystając z zasobów całego świata, przygotowywały się do postawienia milowego kroku w dziejach ludzkości.

Start zaplanowano na Księżycu ze względu na mniejsze od ziemskiego przyciąganie. Bardziej opłacalne było stworzenie całej infrastruktury Luny, dostarczanie promami na Księżyc materiałów budowlanych, postawienie generatorów powietrza i ściąganie wody z podbiegunowych czap lodowych niż powiększenie statku poprzez dodanie zbiorników paliwa, co byłoby konieczne, gdyby gwiazdolot startować miał z Ziemi.

Dyrektor Instytutu Astrofizyki i Kosmonautyki, a zarazem twórca i nadzorca całego przedsięwzięcia, profesor Stefan Karpowski, siedział w wygodnym fotelu na najwyższym poziomie bazy. Wpatrywał się w wiszący nisko nad horyzontem sierp Ziemi. Urzekła błękitem, spokojem i majestatem trwania. Macierz

ludzkości.

Zaciągnął się cygarem. Niewiele osób w Lunie mogło sobie pozwolić na coś takiego. Zdawał sobie sprawę, że marnuje drogocenny tlen na przyjemności, ale posiadał status VIP-a i nie omieszkał z tego korzystać. Nie był egoistą, ale jedno cygaro dziennie to luksus, na jaki – według własnego mniemania – zasługiwał.

Wypuścił gęsty, duszący dym i spojrzał w kierunku baru, za którym stała młoda, atrakcyjna dziewczyna w służbowym uniformie. Podniósł w górę pusty już kieliszek po martini. Barmanka skinęła głową i zabrała się do mieszania drinka. Była zła, ale słowem, gestem ani nawet grymasem nie dała tego po sobie poznać. Powinna skończyć pracę pół godziny temu, zrzucić z siebie ten idiotyczny kostium z głębokim dekoltem i krótką spódniczką, wziąć prysznic i pójść spać. Niestety, takiego klienta jak dyrektor Instytutu nie mogła ot, tak sobie wyprosić. Zacisnęła więc zęby i chwyciła butelkę w swoje starannie wypięłgnowane dłonie.

Karpowski przychodził na taras widokowy połączony z kawiarnią zawsze tuż przed całkowitym zgaszeniem reflektorów. Wypijał martini, wypalał ulubione kubańskie cygaro i długo wpatrywał się w iluminator, kontemplując piękno kosmosu. Dzięki temu, że Księżyc nie posiada atmosfery, wszystkie gwiazdy lśniły pełną gamą barw. Codziennie szeptał ich nazwy, dane, typy widmowe i katalogował w myślach rodzaje i grupy.

Tutaj mógł w pełni podziwiać konstelacje na północnym niebie. Ujrzeć Smoka oplatającego Małą Niedźwiedzicę i Żyrafę tuż obok Woźnicy, zachwycić się blaskiem mnóstwa gwiazd podwójnych i zmiennych w gwiazdozbiórze Cefeusza, zygzakowatą Kasjopeją, która jak mitologiczna królowa Etiopii pyszniła się urodą, oraz jaśniejącą Drogą Mleczną.

Dzisiaj jednak było inaczej. Kontemplację zakłócały mu natrętne

myśli o gościu, który przybył na Lunę kilka godzin temu. A był nim kardynał Bernard Canton, prawa ręka papieża, delegat światowego senatu. Karpowski niejasno przypominał sobie tego wysokiego mężczyznę o ponurym spojrzeniu, przypatrującego mu się wnikliwie podczas wystąpienia w senacie. Już wtedy dyrektor instynktownie zdawał sobie sprawę, że jest to osobnik niebezpieczny i wpływowy, niepokojący i intrygujący jednocześnie. Niemal cieszył się, że już jutro będzie miał okazję spotkać się z nim i porozmawiać.

Karpowski nie był pewien stanowiska Kościoła wobec projektu. Choć papież go oficjalnie nie potępił, to równocześnie poprzez urobionych senatorów mnożył problemy proceduralne. Watykan dysponował potężnymi wpływami i być może chciał je wykorzystać w celu sabotowania przedsięwzięcia. Wprawdzie projekt cieszył się wsparciem większości w senacie, a osobiście patronował mu przewodniczący Rudolf Weinstein, lecz profesor obawiał się, że macki kościelnych intryg zdławią przedsięwzięcie. I nie tylko intryg.

Zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki.

Dwa tygodnie temu doszło do wybuchu w jednym z magazynów, gdzie składowano moduły statku kosmicznego. Na szczęście nikt z personelu nie ucierpiał, szkody były niewielkie, a wydarzenie w żaden sposób nie opóźniło prac. Szef bezpieczeństwa bazy wszczął jednak śledztwo, podejrzewając sabotaż.

Kilka dni temu w laboratorium chemicznym wybuchł pożar, który sprawił, że trzeba było od nowa wykonać badania w zakresie paliw stosowanych w silnikach gwiazdolotu. Tutaj również jako możliwą przyczynę dopuszczano celowe działanie na szkodę projektu.

Raj Utracony miał wielu wrogów: od nic nieznaczących ugrupowań protestujących przeciw zaangażowaniu tak wielkich środków finansowych i zasobów w mrzonkę podróży kosmicznej poprzez radykalnych polityków będących od zawsze w opozycji aż

po fanatyków religijnych obawiających się, że sięgnięcie gwiazd odmieni światopogląd wiernych. Przeciwnicy projektu zazwyczaj ograniczali się do protestów, organizowania pikiet, sterczenia z transparentami pod gmachami rządowymi i placówkami badawczymi. Jeszcze na Ziemi, gdy Karpowski zaczynał prace nad przedsięwzięciem, sporo było z nimi problemów, zdarzały się akty wandalizmu i często musiały interweniować służby porządkowe. Na szczęście w Lunie tego problemu nie było, tutaj przebywali tylko ludzie pracujący przy projekcie. Dyrektor jednak był pewien, że wśród nich znajdują się sabotażyści, którzy będą utrudniać prace.

Ale on nie pozwoli, żeby coś stanęło na drodze misji, żeby pogrzebało nadzieje ludzkości, a przy okazji jego pragnienia, marzenia i sny. I choćby miał użyć wszystkich możliwych sposobów, doprowadzi do startu gwiazdolotu. Wyprawa dotrze do Alfy Centauri. Czuł, że coś pcha go do czynu, do ciężkiej, wytężonej pracy. Jakaś niewidzialna, trudna do zdefiniowania siła, której nie rozumiał, lecz której się nie bał.

Dwaj mężczyźni spacerowali po zewnętrznym korytarzu bazy, będącym jednocześnie tarasem widokowym. Mijali spieszących do pracy techników odzianych w szare uniformy, naukowców w białych kitlach dyskutujących nad jakimś problemem, matki wyprowadzające dzieci na spacer. Pracownicy bazy będący już po służbie rozmawiali w małych grupach lub stali przed grubymi szybami i oglądali krajobraz. W oddali majaczyły liczne kratery tworzące na powierzchni Księżyca niezwykle wzory, jakby kręgi rozchodzące się po jeziorze, gdy wrzuci się do wody kamienie. I poniekąd skojarzenie to było trafne, bowiem kratery powstały pod wpływem uderzeń asteroid lub komet w powierzchnię globu. Bliżej bazy widać było doki, w których stał potężny gwiazdolot.

Bernard Canton zrezygnował z odświętnej duchownej szaty i galero na głowie. Wczoraj po przylocie wzbudził sensację,

wychodząc z promu w oficjalnym kardynalskim stroju. Współpracownicy Karpowskiego byli w większości ateistami i nieufnie podchodzili do przedstawicieli Watykanu. Postanowił więc nie prowokować nikogo swoim ubiorem. Zadowolili się szarym wełnianym garniturem.

Od trzech godzin wypytywał Karpowskiego o wszystko: o zastosowaną w budowie statku technologię, sposoby mocowań poszczególnych elementów konstrukcji i procedurę startową, a także o to, jak będzie wyglądał sam lot i jakiego rodzaju badania będą prowadzone na nowo odkrytej planecie. Zwiedził już platformę doku, laboratoria, centrum sterowania lotem, a teraz przechadzał się z dyrektorem, bacznie przyglądając się wszystkiemu.

Setki maszyn, autonomicznych spawarek, urządzeń pomiarowych i ludzi oblegały kadłub statku. Tu i ówdzie co jakiś czas ukazywał się błękitny błysk palnika lub szły iskry ze szlifowanej dyszy silnika. Pracownicy, najlepsi fachowcy, jakich zdołano ściągnąć do projektu, imponowali profesjonalizmem i montaż wydawał się postępować w oczach.

– Dlaczego *Marek Aureliusz*? – zapytał kardynał.

– Słucham? – Karpowski zdawał się zatopiony we własnych myślach.

– Chodzi o nazwę.

– Ach tak... No cóż, myśliciel wśród cesarzy rzymskich, człowiek, który wyprzedzał swoje czasy.

– Tak jak pan ma nadzieję wyprzedzić nasze? – w głosie Cantona zagrały nutki ironii.

– Czy Wasza Eminencja czytał *Rozmyślania*? – spytał niezrażony dyrektor. – „Nic innego nie mieć na względzie, jak cel społeczny”. Takie właśnie przyświeca nam motto. Dążyć za wszelką cenę do przetrwania gatunku ludzkiego. Musimy znaleźć alternatywę dla Ziemi.

– Za wszelką cenę?

Zdziwiony dyrektor zamrugał powiekami.

– Nie rozumiem pytania.

– A jeśli wiązałoby się to z olbrzymią ofiarą? Z utratą naszej tożsamości, a może nawet z zagładą dużej części ludzkości? Jest pan gotów na takie poświęcenie?

Karpowski tylko przez chwilę się wahał.

– Tak – odparł – jeśli to zapewni przetrwanie naszemu gatunkowi. Nadal nie rozumiem, do czego Wasza Eminencja zmierza?

– Robi pan to dla przyszłości swoich dzieci?

Na obliczu dyrektora pojawił się smutek.

– Niestety, nie mam dzieci. Moja żona... – zamilkł na chwilę. – Nie mogła ich mieć.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Karpowski wzruszył ramionami. – Mam udany związek. Moja żona to ciepła, wyrozumiała kobieta. Jest dla mnie wielkim wsparciem. Gdyby nie ona, nie odnalazłbym w sobie motywacji, która pcha mnie do działania.

– Zatem robi to pan dla przyszłych pokoleń?

– Można tak powiedzieć.

– Myśli pan, że warto?

– Nie możemy być egoistami. Musimy dbać o przyszłość naszego gatunku. Szli przez chwilę w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

– Ta wyprawa może obudzić coś, co powinno być uspijone na wieki – rzekł Canton.

– Zabrzmiało to bardzo lakonicznie i tajemniczo.

– Doprawdy?

Kardynał zawiesił głos, a po chwili zmienił temat:

– Czy pan wie, że za czasów Marka Aureliusza nasiliły się prześladowania chrześcijan? Podczas zamieszek w Lugdunum

zginął biskup Potejnos. Za jego rządów męczeńską śmierć poniósł także święty Justyn.

– Tego nie wiedziałem – odparł zgodnie z prawdą Karpowski. – Czyżby Wasza Eminencja przyleciał tu, aby wymóc na mnie zmianę nazwy? Może „Konstantyn Wielki”? – spytał złośliwie.

– Dla pana równie dobry byłby „Julian Apostata” – odgryzł się Bernard Canton.

– Lepszy cesarz–filozof, otwarty na ludzi, acz potępiający chrześcijaństwo, niż cesarz hipokryta, który wiarę przyjął dopiero na łożu śmierci. Konstantynowi Wielkiemu chrześcijaństwo posłużyło tylko jako oprawa ideologiczna dla instytucji cesarstwa. Był wyrachowanym politykiem i nie stronił od manipulacji.

– Widzę, że jest pan obeznany z historią – odrzekł zjadliwie kardynał. – Jednakże są rzeczy, których ludzie o zamkniętych, racjonalnych umysłach nie mogą pojąć.

– Eminencja ma na myśli wizję, jakiej Konstantyn doświadczył w bitwie przy moście Mulwijskim? – roześmiał się Karpowski. – Ponoć zobaczył krzyż, ale było to zwykłe zjawisko atmosferyczne, halo, które można zaobserwować wokół Słońca. Wizje, mistycyzm, wszelakie przepowiednie to jedna wielka bzdura!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, dwaj pełni charyzmy, inteligentni i wykształceni ludzie stojący po przeciwnych stronach barykady. Po chwili duchowny skrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

– Nie jest pan wierzący.

– Jestem naukowcem. Wierzę tylko w prawa fizyki i w to, co daje się zobaczyć i zmierzyć, czego mogę doświadczyć, dotknąć.

– Nie mam zamiaru pana nawracać, choć duża część naukowców jest teistami.

– Więc ja jestem reliktem zamierzchłej epoki. Epoki, w której wierzyło się w potęgę ludzkiego umysłu, w to, że człowiek może osiągnąć gwiazd, ujarzmić siły natury. Teraz słyszymy tylko: to

niewykonalne, nie możemy zmieniać bożego dzieła, nie sięgajmy po to, co boskie. A ja chcę sięgać dalej! Musimy pamiętać, że ludzie od zawsze byli zdobywcami i odkrywcami!

Nagle uświadomił sobie, że krzyczy i gestykuluje zaciekle, a kilka mijających ich osób obejrzało się z dezaprobatą. Speszony zawiesił głos.

Mężczyźni stali w milczeniu, obserwując krzątanie wokół statku. Po chwili kardynał spojrzał smutno na profesora i zaczął mówić szeptem kontrastującym z zapaleńczą tyradą przedmówcy:

– Jesteśmy jak dwóch ludzi z analogii Polkinghorne’a, którzy znaleźli imbryk z gotującą się wodą. Jeden zaczął badać, w jakiej temperaturze woda się gotuje, co ją podgrzewa, jaką ma gęstość. To oczywiście pan. Ja natomiast stawiam pytanie zadane przez drugiego człowieka: kto postawił imbryk i w jakim celu?

– Szukam zawsze odpowiedzi najprostszych i będących w zasięgu ręki.

– Brzytwa Ockhama?

– Tak. – Karpowski uśmiechnął się blado. – Mam swoją własną teorię powstania wszechświata, naszej planety, ludzi... I uprzedzę pytanie: nie, nie wiem, co było wcześniej. Może kiedyś do tego dojdziemy metodami naukowymi. Na razie są to rozważania czysto teoretyczne zarówno dla naukowców, jak i kapłanów. Poruszamy się w sferze domysłów, z tym że ja odrzucam ingerencję bytu nadprzyrodzonego. Wierzę w przypadek i chaos. Ba! Nawet zasada antropiczna budzi moje wątpliwości.

– Mówi ona o tym, że wszechświat posiada takie własności fizyczne, aby mogło w nim rozwinąć się życie. Prawda?

– Mniej więcej.

– Więc odrzuca pan jakąkolwiek celowość istnienia? – spytał kardynał. – Według pana wszystkim rządzi przypadek. Czy mam rację?

– Zgadza się.

– Na pewno słyszał pan tę historię... Idzie człowiek przez pustynię i nagle spostrzega nakryty stół pełen jedzenia i picia. Może pomyśleć, że ktoś to dla niego przygotował. Może również dojść do wniosku, że to atomy, przypadkowo stukając o siebie przez milion lat, doprowadziły w tym akurat momencie do powstania zadziwiającej konfiguracji zastawionego stołu. Proszę mi powiedzieć, co jest bardziej prawdopodobne?

– W matematyce istnieje teoria o powracaniu. Niech Wasza Eminencja wyobrazi sobie, że identyczna sytuacja – stoimy tu i rozmawiamy – powtórzy się jeszcze niejednokrotnie. Wszystkie cząstki we wszechświecie ruszają się w sposób losowy, niezmienny miary, co oznacza, że każda konfiguracja musi jeszcze kiedyś zaistnieć. Niestety, czas trwania wszechświata jest ograniczony, a okres oczekiwania na identyczne ułożenie cząstek znacznie dłuższy.

– Niezwykle interesujące.

– W nawiązaniu do tej teorii ja także mam anegdotę. – Naukowiec uśmiechnął się, teraz już życzliwiej. – Jeśli posadzimy milion małych przy milionie maszyn do pisania...

– Wiem, wiem – wszedł mu w słowo Bernard Canton. – Jedna z nich po milionie lat napisze *Hamleta*.

– Właśnie.

Spojrzenia mężczyzn ponownie spotkały się w milczącej konfrontacji, jednak nie były to już spojrzenia pełne niechęci, ale wyrażające szacunek dla poglądów adwersarza.

– Dziękuję za spotkanie. – Kardynał mocno uściśnął rękę Karpowskiego. – Muszę przyznać, że było wielce pouczające.

– Czy to oznacza, że Wasza Eminencja zmienił zdanie i teraz nie będzie już przeszkadzał w realizacji projektu? – w głosie naukowca zabrzmiała ironia.

– Tego nie powiedziałem.

– A szkoda – rzekł Karpowski z udawanym smutkiem. – Mam nadzieję, że Wasza Eminencja jeszcze nas odwiedzi. Urządzimy sobie dłuższą pogawędkę teologiczno–naukową.

– Nie omieszkam. Do tego czasu będę się za pana modlił. Może niedługo zmieni pan swoje poglądy – odrzekł lakonicznie Canton i ruszył w stronę swojej kwatery.

Dyrektor projektu Raj Utracony stał jeszcze przez chwilę, z dumą spoglądając przez okno na majestatyczny kadłub *Marka Aureliusza*.

– To niemożliwe! – wykrzyknął główny inżynier projektu Klaus Dünker. Był człowiekiem odpowiedzialnym za wszelkie systemy technologiczne, komunikacyjne i napędowe na *Marku Aureliusz*u.

W niewielkim gabinecie znajdowali się jeszcze dyrektor Stefan Karpowski oraz dwaj profesorowie astrofizyki, Frank Minc i Richard Brown. Ojcowie i twórcy projektu, genialne umysłowości, najlepsi specjaliści w swoich dziedzinach. Teraz wszyscy dyskutowali pochyleni nad panelem wyświetlacza. Na ich twarzach malowało się niedowierzanie i troska.

– *Marek Aureliusz* jest jeszcze w fazie budowy. Nie zainstalowaliśmy na nim żadnych systemów nadawania, także tachionowych. Może to jakiś żart!?! – Dünker był wyraźnie zdenerwowany. Marszczył krzaczaste brwi i co chwilę wydymał pulchne policzki.

– Nie. Przekaz naprawdę doszedł do nas z Alfy Centauri – odparł rzeczowo Karpowski. – Inżynierze, proszę się uspokoić i jeszcze raz wyjaśnić, na jakiej zasadzie działa komunikacja tachionowa.

– Może ja to zrobię – rzekł profesor Minc. – To nowa dziedzina, którą dopiero rozwijamy. Nie wiem, na ile jest pan obeznany z tematem?

– Proszę zacząć od podstaw.

– Tachiony to cząstki elementarne poruszające się szybciej niż światło. Na razie badaliśmy je tylko w warunkach laboratoryjnych.

Nazwa pochodzi od greckiego słowa *tachýs*, które znaczy...

– Znam grekę – mruknął Karpowski.

Minc się zarumienił. Nie miał zamiaru podważać kompetencji swojego szefa, ale gdy zaczynał mówić, wpadał w retorykę profesora uniwersyteckiego, którym zresztą był. Do projektu Raj Utracony został ściągnięty niespełna pół roku temu niemalże wprost z sali wykładowej. Liczył już ponad sześćdziesiąt lat i chociaż na swoim koncie miał Nagrodę Nobla z dziedziny części elementarnych, nie sądził, że w życiu czeka go jeszcze coś oprócz zgrai studentów, którym trzeba wbić do głów nieco wiedzy. Projekt był dla niego wyzwaniem i niepowtarzalną przygodą.

– Oczywiście – przytaknął zmieszany. – Właściwości tachionów wiążą się z ich urojoną masą spoczynkową, która w połączeniu ze współczynnikiem relatywistycznym daje energię i pęd cząsteczki. Poruszać się mogą wyłącznie szybciej od światła.

– Nie rozumiem – zdziwił się Karpowski. – Jak to: wyłącznie?

– Bariera prędkości światła jest dla nich nieprzekraczalna, tyle że w dół. Mogą jedynie zbliżyć się asymptotycznie do tej granicy. Nadają się idealnie do łączności kosmicznej przy wielkich odległościach. Postanowiliśmy przetestować ten system komunikacji na *Marku Aureliusz*...

– Chwileczkę! Chwileczkę! – wtrącił Richard Brown, człowiek mizernego wzrostu o szczerzej twarzy, który przeglądał holograficzne dane dotyczące tachionów. – Widzę tu kilka nieścisłości. Wszystko jest w porządku, dopóki stacja nadawcza i odbiorcza pozostają względem siebie nieruchome. Założmy, że z punktu A zostanie wysłane pytanie sygnałem tachionowym do punktu B, który nań natychmiast odpowiada. Możemy łatwo obliczyć, korzystając z transformacji Lorentza, po jakim czasie sygnał powrotny dotrze do punktu A w zależności od prędkości względnej punktów i prędkości tachionów.

Przerwał, zmrużył oczy, jakby coś przeliczał, i mówił dalej:

– Ale sytuacja się skomplikuje, jeśli punkty się do siebie zbliżają. W takim wypadku nasz czas może przybrać wartości ujemne. A to oznacza...

– Pogwałcenie zasady przyczynowości – dokończył Frank Minc, chwytając się za głowę.

– Wówczas otrzymamy odpowiedź z punktu B, zanim wyślemy zapytanie z punktu A. Tak mogło się stać z *Markiem Aureliuszem*.

– Interesujące – zamyślił się Karpowski. – Więc sądzi pan, że tu leży przyczyna?

– To tylko hipoteza. – Brown wzruszył ramionami.

Nie był tak podekscytowany, jak jego kolega astrofizyk, dla niego to było jedno z wielu typowo akademickich zadań. Zdawało się, że tak traktował całe życie – jako zadanie do rozwiązania.

– Podsumujmy – rzekł dyrektor. – Na sześć miesięcy przed wysłaniem do Alfy Centauri załogowego statku międzygwiazdowego z zamontowanym komunikatorem łączności tachionowej otrzymujemy od niego wiadomość. Jakie powinny być nasze dalsze kroki?

– Po tym, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy w przekazie, należy odwołać misję! – rzekł nieco histerycznie Frank Minc. – Nie możemy narażać załogi, statku i wartościowego ekwipunku!

– A ja uważam, że musimy trzymać się planu – ponuro skomentował Brown. – Nie sposób określić, co może się stać, jeśli przerwiemy łańcuch przyczynowo–skutkowy. Nie znając wszystkich zasad rządzących wszechświatem, nie możemy grać w kotka i myszkę z siłami, których nie rozumiemy.

Stefan Karpowski zamilkł ze wzrokiem utkwionym w blat stołu, jakby tam szukał odpowiedzi. Na jego twarzy pogłębiły się zmarszczki, oczy miał przygaszone i w niczym nie przypominał tego samego człowieka, który z entuzjazmem przemawiał na

posiedzeniu światowego senatu, przekonując cały świat do konieczności podjęcia wyprawy na nowo odkrytą planetę w systemie Alfa Centauri. Każdy dzień niósł nowe problemy, mnożone przez nieprzychylnych mu polityków i organizacje stawiające sobie za cel niedopuszczenie do startu *Marka Aureliusza*. Ponadto niemalże czuł na karku oddech Bernarda Cantona, który obserwował każdy jego ruch. Wydawało się, że kardynał tylko czeka na jakieś jego potknięcie, żeby móc wnioskować o zawieszenie projektu.

Dyrektor zastanawiał się, czy jeśli miałby raz jeszcze podjąć się tej szalonej misji, to wybrałby tę samą drogę? Teraz jednak, gdy cel był już tak blisko, nie mógł się poddać.

– Inżynierze, co wiemy o tym Zettenbergu? – zapytał, podnosząc wzrok na Dünkera.

– Hubert Zettenberg, z pochodzenia Niemiec. Dowódca wahadłowca Agencji Kosmicznej. Piętnaście lat nienagannej służby. Zgłosił swoją kandydaturę na dowódcę ekspedycji. Inteligentny, charyzmatyczny, ale dopiero piąty na liście naszych kandydatów.

– Profesorze Brown, zatem sugeruje pan, że powinniśmy wysłać ekspedycję z Zettenbergiem jako dowódcą wyprawy?

– To nie ja podejmuję ostateczne decyzje – odparł astrofizyk, wzruszając ramionami. – Jednak w najlepszej woli sugeruję, aby tak uczynić. Dzięki temu nie złamiemy zasady kauzalizmu.

– Ależ ona już została złamana, gdy dotarł do nas ten przekaz! – uniósł się Minc. – Powtarzam, nie możemy narażać ludzi. To ostrzeżenie! Ręka opatrności! Dar boży! Powinniśmy z pokorą...

Profesor zamilkł, przypomniawszy sobie o poglądach dyrektora. Karpowski potrafił docenić wierzących naukowców i liczył się z ich zdaniem, lecz mimo wszystko nie należało mówić o Bogu w jego obecności. Tymczasem Brown, dostrzegając grymas na twarzy przełożonego, uśmiechnął się z pobłażaniem i niejaką satysfakcją.

Był jednym z wielu naukowców, którzy odczuwają radość z gaf

kolegów.

– Panowie... – Karpowski podniósł się, dając do zrozumienia, że konferencja dobiegła końca – podejmę decyzję jeszcze w tym tygodniu. Na razie proszę kontynuować prace. Chyba nie muszę panom przypominać, że nic, co tu zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, nie może wyjść poza drzwi gabinetu.

Mężczyźni bez zbędnego słowa opuścili pomieszczenie, zostawiając dyrektora samego. Ten zapatrzył się w okno, za którym trwały prace nad osłoną kadłuba *Marka Aureliusza*. Zmarszczył ponuro czoło. Wszystko zależało teraz od niego. On miał podjąć decyzję, biorąc na siebie odpowiedzialność za tych, których wysłał do innego układu gwiazdowego.

– Komputer, odtwórz jeszcze raz przekaz tysiąc dwanaście.

Pośrodku stołu pojawił się trójwymiarowy, zminiaturyzowany obraz ukazujący ukończony i w pełni wyposażony kokpit *Marka Aureliusza*. W iluminatorze kabiny malała w oczach błękitno-biała planeta oświetlana przez upiornie żółte słońce. W kabinie na fotelu pilota siedział człowiek. Mimo średniego wieku miał głębokie bruzdy na twarzy i całkiem siwe włosy. Wyglądał jak starzec.

Jego oczy sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą ujrzał coś strasznego, coś, co nie mieści się w ludzkim pojmowaniu. Chropowaty i zdeformowany przez zakłócenia głos nie pokrywał się z ruchami warg mężczyzny.

– *Mówi ...omandor Hubert Zettenberg, ...ódcu Marka Aureliusza. Reszta ...ałogi nie żyj... Wracam do domu. Bez odbioru.*

ROZDZIAŁ 5

MIRIAM

Wiatr uspokajająco kołysał pojedyncze, karłowate drzewa za oknem. Potężne fale oceanu uderzały o skalisty klif, nad taflą wody krążyły mewy poszukujące pożywienia, a szkarłatne już o tej porze słońce powoli zanurzało się za horyzont.

Hubert Zettenberg z rozkoszą wciągnął w nozdrza jodowy zapach morza. Przeszedł go ożywczy dreszcz. Pociągnął spory łyk z trzymanej w ręku butelki whisky. Z każdą kolejną kroplą alkoholu stawał się coraz bardziej obojętny na wszystko. Problemy przynajmniej na chwilę odeszły, stłumione sporą dawką procentów. Ale powrócą i prędzej czy później będzie musiał stawić im czoła.

Spojrzał krytycznie na swoją postać odbijającą się w szybie. Wyglądał okropnie. Zmarszczki na zarośniętej twarzy stały się wyraźniejsze pod wpływem alkoholu. Podkrążone oczy kontrastowały z bladą cerą. Siwizna przyprószyła kruczoczarne włosy. Wiedział, że powinien odstawić butelkę, ogolić się i zrobić coś ze swoim życiem. Przecież mógł zacząć wszystko od nowa. Mimo czterdziestki na karku nadal uchodził za atrakcyjnego mężczyznę.

Dlaczego go to spotkało? Po piętnastu latach jego małżeństwo pękło jak bańka mydlana, a szacunek i miłość rozwiały wiatr, unosząc je w przestrzeń nieistnienia. Nie czuł gniewu, tylko głęboki smutek i żal za tym, co stracił, a co stanowiło w jego życiu największą wartość.

Miriam – kobieta piękna, inteligentna i niezwykle zmysłowa, łącząca subtelność z piekielnym żarem namiętności. Pożądało jej wielu, lecz to on miał szczęście ją zdobyć. Podbił jej serce i rozpałił w

niej miłość.

Miriam – uosobienie zimna i lodu. W jej oczach niegdyś tańczyły iskierki czułości. Teraz spojrzenie epatowało pustką, którą prędzej czy później musiał ktoś wypełnić.

Hubert podejrzewał, że w jej życiu pojawił się inny mężczyzna. Gdy wracała późnym wieczorem z pracy, wyczuwał od niej woń wina i nieokreślony zapach feromonów. Jednakże to nie on był adresatem podświadomego pożądania, czuł to przez skórę. Oczekiwanie na nią każdego dnia było torturą, gdy godzinami zastanawiał się, gdzie jest, co robi i z kim? W jego głowie rodziły się pytania, wyobrażenia podsuwała obrazy, miotał się po mieszkaniu, zadręczając podejrzeniami. Nigdy jednak nie zapytał, nie usiadł i z nią nie porozmawiał. Wolał pielęgnować swoją złość, żal i paranoję. Zyskał pewność, kiedy Miriam nie wróciła na noc.

Następnego dnia odbyli rozmowę – długą, bolesną i szczerą. Jego świat roztrzaskał się na drobne kawałeczki i Hubert nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła złożyć go ponownie w całość. Miriam od pół roku miała kochanka. Zaczęła spędzać wiele czasu z jednym ze swoich współpracowników, aż w końcu stali się sobie bliscy. Najpierw przyjaźń, a potem...

Potem Miriam stwierdziła, że dzień po dniu wraca do domu do obcego człowieka, którego już nie rozumie. Nadal jednak kochała Huberta, mimo że namiętność ich związku wygasła. Nie, nie kochała tamtego. To była fascynacja, powiew świeżości, może szaleństwa... Pragnęła oderwania od szarego życia, codziennej małżeńskiej rutyny, chciała raz jeszcze poczuć w sobie ogień namiętności i beztroskę. Na początku miała to być jej odskocznia, azyl, ale nagle uświadomiła sobie, że toczy podwójne życie i tak dłużej być nie może.

Plakała, nie wiedziała, co robić. Hubert nie wyobrażał sobie bez niej życia, chciał ratować ich małżeństwo. Miriam doszła do

wniosku, że musi wszystko przemyśleć w samotności. Wzięła dwa tygodnie zaległego urlopu i wyjechała na Baleary. Sama. Po powrocie miała dać odpowiedź, czy zostanie z Hubertem, czy też zacznie wszystko od nowa. Dzisiaj wypadał termin jej przyjazdu. Zadzwoniła, że będzie około dwudziestej, i poprosiła, by na nią czekał. Czekał więc i pił, bo na trzeźwo nie zniósłby odpowiedzi.

Wpatrzony w znikające za horyzontem słońce przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Miriam. To był jeden z tych deszczowych letnich dni, podczas których świat na chwilę zwalnia i ma się ochotę na błogie lenistwo. Jako świeżo upieczony podporucznik Sił Powietrznych Zjednoczonej Europy włączył się z kolegami od knajpy do knajpy, zwiedzając wszystkie bary, puby i nocne lokale w Berlinie. Przez cały tydzień wracał do akademika tylko po to, żeby odespać zarwaną noc i wziąć tabletki na kaca. Wieczorem znowu ruszał w tango. Ukończenie studiów, które wiązało się jednocześnie z awansem na oficera, trzeba było porządnie oblać.

Nocą Berlin oferował wiele atrakcji. Stylizowane irlandzkie puby, kawiarnie bohemy, nowoczesne technoteeki, gdzie chętnych kobiet, alkoholu i lekkich narkotyków było w bród. Po tygodniu organizm Huberta zaprotestował przeciw takiemu traktowaniu. Młody porucznik w możliwie grzeczny sposób podziękował kolegom za towarzystwo i postanowił odpocząć.

Włączył się ulicami miasta bez celu i zamysłu. Nie wiedział, jak zagospodarować czas. Przez ostatnie pięć lat nauka i loty ćwiczebne wypełniały mu życie. Nieliczne wolne chwile spędzał w knajpach, a w weekendy jechał do nieistniejącej na mapach alpejskiej wioski, gdzie mieszkali jego rodzice i jeszcze do niedawna on sam. Przez to nigdy nie miał okazji do zwiedzenia miasta. Teraz postanowił nadrobić zaległości.

Zaczął od Bramy Brandenburskiej. To dziwne, prawie codziennie ją widział, mijał w drodze na uczelnię, ale nigdy nie przyjrzał się jej

dokładnie. Urzekła go swoim majestatem i klasyczną prostotą formy. Odwiedził Muzeum Historii Niemiec w starym gmachu Arsenалу, eklektyczną katedrę z dziewiętnastego wieku i pamiątkowe miejsce, w którym stał mur berliński.

Wędrował tak cały dzień, aż poczuł się zmęczony, ale wypełniała go nadzieja. Zaczynał nowy etap w swoim życiu. Jego marzenie, by pilotować najszybsze maszyny przekraczające prędkość dźwięku, stało się realne. Kto wie, może nawet polecą w kosmos, dotkną firmamentu? Już teraz niemal czuł się bohaterem.

Rozmyślając, skręcił w wąską uliczkę za Muzeum Pergamońskim i nagle stanął przed pękniętą szybą wystawową. Sklep wbudowany był w zabytkową, odrapaną i brudną kamienicę. Zniszczony szyld oznajmiał, że znajduje się tam antykwariat. W dobie holowizji, mikroprocesorów wszczepianych pod skórę i płyty cyfrowej jako nośnika informacji papierowa książka wydawała się kaprysem znudzonych intelektualistów. Jednakże Hubert lubił książki. Faktura papieru, szelest stron i zapach druku sprawiały mu przyjemność. Czytając, trzeba było używać wyobraźni, w przeciwieństwie do oglądania holowizji, w której wszystko było podane jak na tacy.

Tam obrazowi towarzyszył nie tylko dźwięk, lecz także zapach, a czasem nawet, w nowszych modelach, wrażenie dotyku. Brakowało miejsca na własną interpretację.

We wnętrzu niewielkiego, zastawionego regałami pomieszczenia panował mrok. W nozdrza uderzyła go jedyna w swoim rodzaju woń. Tak pachną stare książki, pomyślał. Zaczął przechadzać się między półkami.

Postanowił, że czas pozostały do objęcia służby spędzi na czytaniu. Dwa tygodnie błogiego lenistwa z książką na kolanach. To brzmiało wspaniale. Przypomniało mu się dzieciństwo, kiedy biegł na górską polanę, rozkładał koc i pod alpejskim słońcem spędzał godziny,

czytając o przygodach kapitana Nemo, pilota Pirxa, Winnetou.

Mężczyzna o szczurzej twarzy i bystrym spojrzeniu, prawdopodobnie właściciel, wpatrywał się w niego, jakby był kosmitą. Pewnie rzadko zdarzał mu się klient. Po chwili Hubert przestał zwracać na niego uwagę, pochłonięty przeglądaniem coraz to ciekawszych pozycji. Daty wydania niektórych książek sięgały połowy dwudziestego wieku. Jak zahipnotyzowany przewracał kartki, wertował grube tomy, nabożnie odczytywał tytuły na grzbietach. Zauważył, że nowych tytułów było niewiele. Sztuka pisania zanikała. Teraz twórcy i artyści większą wagę przywiązywali do wizualizacji i projektów multimedialnych.

Znalazł jednak poczytnego autora ostatniej dekady. Sceptyk wśród filozofów, filozof wśród sceptyków. Z jego utworów przebijał pesymizm i pytanie o człowieczeństwo w świecie, w którym rzeczywistość kreują media. Polemizował z socjologami na temat kondycji społeczeństwa. Uważał, że cywilizacja chyli się ku upadkowi od czasu, gdy człowiek przestał myśleć samodzielnie, a jego światopoglądem sterują koncerty medialne poprzez emisję manipulacyjnych programów i filmów. Przepowiadał nawrót barbarzyństwa i pierwotnych instynktów.

Nie namyślając się, dołączył pozycję do stosu książek, które zamierzał kupić. Leżeli już tam Umberto Eco, Isabel Allende, Jorge Luis Borges, Stanisław Lem, Philip K. Dick...

– To dobry wybór – usłyszał za sobą kobiecy głos. Był szorstki i władczy, a równocześnie drażniący i seksowny.

Odwrócił się i ujrzał młodą kobietę. Jasne włosy opadały kaskadą w dół, a na smagłej twarzy największe wrażenie robiły duże, brązowe, mocno kontrastujące z kolorem włosów oczy. Ubrana była w obcisłe džinsy, prezentujące idealną figurę, oraz szarą koszulkę polo.

– Co świeżo upieczony porucznik robi w księgarni z dziełem filozoficznym pod pachą? Nie powinienes przypadkiem oblewać

awansu?

Obnażyła w uśmiechu rząd nieskazitelnie białych zębów. Wpatrywała się w lśniąca na pagonach akademickiego munduru oficerskie gwiazdki.

– Co taka piękna dziewczyna robi w zakurzonym antykwariacie, zamiast szukać swojego księcia w blasku neonów Berlina? – Pokręcił głową z uśmiechem. – Mówisz, że dobra ta książka?

– Świetna! Od czasu kiedy Gutenberg wynalazł druk, nie wydano nic lepszego.

– Tak naprawdę druk wynaleźli Chińczycy w ósmym wieku, a w połowie jedenastego znali już ruchome czcionki.

– Facet w mundurze i do tego inteligentny. Mam dzisiaj szczęście. Uniosła brwi i ponownie błysnęła bielą zębów.

Hubert nie przeczytał żadnej z zakupionych wtedy książek. Dwa kolejne tygodnie spędził w łóżku z Miriam. Rok później się pobrali. Miesiąc miodowy spędzili na Oceanie Spokojnym, pływając wypożyczonym jachtem o wdzięcznej nazwie *Lady Blue*.

To były cudowne chwile. Słońce, fale, niezmierny błękit, delfiny towarzyszące im przy burcie łodzi i zapach miłości unoszący się w powietrzu. Nie odrywał wzroku od nagiego, pachnącego słońcem ciała ukochanej kobiety. Namętne pocałunki w gwiazdzistą noc na środku oceanu, niekończące się pieszczoty pod wielkim błękitem nieba. Idealnie ukształtowany, opalony brzuch kobiety delikatnie drgał pod jego dotykiem, a gdy się kochali, długie dziewczęce nogi obejmowały jego biodra.

Szczęście i ekstaza.

Później dopadła ich proza życia. Miriam skończyła studia i rozpoczęła pracę w potężnej, prężnie działającej francuskiej korporacji handlowej. Szybko awansowała i po kilku latach została zastępcą prezesa zarządu. Hubert zaczął latać w kosmos. Robił to, o czym zawsze marzył. Może wahadłowce nie sięgały jeszcze gwiazd,

ale Księżycy i Marsa owszem. Rzadko bywał w domu, spędzając czas to w ośrodkach szkoleniowych, to w przestrzeni na misjach. Czasami znikał na całe miesiące, a kiedy wracał, snuł się godzinami po pustym domu, oczekując powrotu Miriam. A ona wracała z pracy coraz później...

On – ten trzeci. Hubert miał okazję poznać go na jakimś przyjęciu w ambasadzie francuskiej, na które została zaproszona cała śmietanka towarzyska Berlina. Oni także. Jednakże nie ze względu na Huberta, który – już wtedy w stopniu kapitana – był znaczącą postacią w programie lotów kosmicznych i na swoim koncie miał sporo osiągnięć, ale dlatego, że została zaproszona cała kadra kierownicza firmy, w której pracowała Miriam.

Jakże wówczas pięknie wyglądała, przypomniał sobie Hubert. Burza blond włosów w pozornym nieładzie, zmysłowe gesty, uwodzicielskie spojrzenie brązowych oczu, przenikliwe jak w dniu, w którym się poznali, ale teraz pogłębione o piętnaście lat doświadczenia. Miała na sobie złotą suknię śmiało odsłaniającą ramiona, dekolt i plecy. Widział pożądliwe spojrzenia mężczyzn i jak zadufany samiec był dumny, że to on ją posiada. Wtedy jeszcze nie wiedział, jak bardzo się myli.

Dzielili stolik z trzema parami. Po jednej stronie mieli małżeństwo w średnim wieku z Wysp Brytyjskich. Anglicy zachowywali się wyniośle i sprawiali wrażenie, jakby nie chcieli mieć nic wspólnego z sąsiadami. Po drugiej siedział z żoną emerytowany pułkownik lotnictwa, który – gdy tylko dowiedział się o profesji Zettenberga – zaczął zanudzać go opowieściami o pionierskich wyprawach na Marsa, w których sam uczestniczył. Trzecią parę, siedzącą naprzeciwko, stanowił ON – Pierre Dunré – z młodą dziewczyną, która, jak się szybko okazało, była tylko do towarzystwa. Sprawiała upiorne wrażenie, z ustami umalowanymi w prostokąt i specjalnymi soczewkami powodującymi, że jej oczy dziko błyszczały, a tęczówki

zmieniały co chwilę kształt oraz kolor. Hubert nie miał pojęcia, dlaczego kobiety tak się oszpecały, bo nie spotkał jeszcze mężczyzny, któremu podobałby się ten nowy trend w modzie. Pierre Dunré chyba nie był w tej kwestii wyjątkiem, bo traktował swoją towarzyszkę niczym powietrze. Jego interesowała inna kobieta.

Słuchając przemówienia sekretarza generalnego zjednoczonej Europy jednym uchem, a wynurzeń weterana lotów kosmicznych drugim, Hubert przyglądał się Pierre'owi. Wysoki, dobrze zbudowany trzydziestoletni blondyn był członkiem rady nadzorczej firmy, w której pracowała Miriam. Swoją pozycję zyskał bardziej dzięki koligacjom rodzinnym niż rzeczywistym umiejętnościom organizatorskim czy bystrości umysłu, czego Hubert dowiedział się od przyjaciół żony.

Dunré przez cały wieczór wodził cielęcym wzrokiem za Miriam, ale wówczas Zettenberg się tym nie przejmował. Do głowy by mu nie przyszło, że tych dwoje ma ze sobą romans. Pierre może imponował jej stanowiskiem i wpływami, może młodością i wystudiowanym, plastikowym uśmiechem wiecznie przyklejonym do ust, ale nie był to mężczyzna, który mógłby zdobyć taką kobietę jak Miriam.

Hubert od początku go nie lubił. Może już wtedy instynkt podpowiadał mu, że coś jest na rzeczy? A może wyczuwał napięcie seksualne pomiędzy Pierre'em a swoją żoną? Cokolwiek to było, wywoływało niechęć Zettenberga w stosunku do tego faceta.

– Słyszałem, że pracujesz dla Agencji Kosmicznej – zagaił Huberta, gdy emerytowany pułkownik przerwał na chwilę swoją tyradę, żeby skosztować nowych specjałów, które kelnerzy postawili na stole.

– Tak – odparł. – Jestem pilotem oblatywaczem.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Transportem komponentów budowlanych na Księżyc. Stawiamy nową bazę niedaleko bieguna północnego. Kto wie czy w przyszłości nie będą stamtąd startowały statki kosmiczne eksplorujące kosmos.

– Brzmi ciekawie.

– Uwierz mi – Hubert uśmiechnął się krzywo – praca wcale nie jest taka ciekawa. Dwa tygodnie w pustce kosmicznej, w ciasnym wahadłowcu w drodze z Ziemi na Księżyc i z powrotem, szybko się może znudzić.

– I daleko od domu. – Dunré zmrużył lekko powieki. – Nie tęsknisz? Taka piękna żona... Zettenberg nie skomentował zaczepki, udając, że zainteresował go program artystyczny, który rozpoczął się po zakończeniu części oficjalnej. Zauważył, jak Miriam spiorunowała wzrokiem Pierre'a, ale wówczas nie przywiązywał do tego wagi. Ot, kolejny zalotnik, którego żona wkrótce splewi.

– Odkryliście tam ślady jakiejś obcej cywilizacji? – Dunré zagadnął ponownie.

– Co?!

– No, coś takiego jak ta twarz na powierzchni Marsa.

Hubert roześmiał się, przypominając sobie jedno z pierwszych zdjęć Czerwonej Planety zrobione przez sondę Viking i w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Na fotografii dało się zauważyć strukturę powierzchni przypominającą ludzką twarz.

– To zwykła gra światła i cieni – odparł. – Ludzki mózg ma tendencję do rozpoznawania ludzi i zwierząt w nietypowych kształtach elementów krajobrazu.

– Ależ oni istnieją.

– Kto?

– No kosmici! – wykrzyknął Pierre Dunré. – Ostatnio widziałem program holowizyjny, w którym wyjaśniono, że oni przylatują na Ziemię. Dysponują technologią, o której nam się nawet nie śniło, pozwalającą im podróżować pomiędzy systemami gwiazdowymi.

– Gdyby tak było, już dawno byśmy ich spotkali.

– Nie.

Mężczyzna pokręcił głową i spostrzegł, że wszyscy przy stoliku

skupili na nim uwagę. Poczul się ważny, dumnie się wyprostował i kontynuował pewnym siebie głosem:

– Pozostają dla nas niewidoczni i cały czas się nam przyglądają...

– Bzdury! – prychnął Zettenberg. – Pseudonaukowe brednie grup neodänikenowskich. W mitach, legendach i opowieściach religijnych doszukują się czegoś, czego tam nie ma. Twierdzą, że objawienie Ezechiela to opis lądowania statku kosmicznego, biblijne zburzenie Sodomy i Gomory to opis wybuchu bomby atomowej. W indyjskich i mezopotamskich eposach znajdują opisy spotkań z obcymi. W starożytnych bogach upatrują kosmitów, którzy odwiedzają naszą planetę.

– Są na to dowody – obruszył się Pierre.

– Doprawdy? – Hubert uniósł lekko brwi.

– Zeznania uprowadzonych przez kosmitów ludzi uzyskane w drodze hipnozy. Podobno obcy pochodzą z Syriusza. Wylądowali na Ziemi przed tysiącem lat i pomogli wybudować wiele monumentalnych budowli, jak choćby piramidy w Egipcie. – Dunré mentorskim tonem zwrócił się teraz do wszystkich przy stoliku. – Wyobraźcie sobie państwo, że ustawienie piramid względem siebie jest identyczne z układem gwiazd na niebie w Pasie Oriona i niewiele od niego oddalanej konstelacji Wielkiego Psa. Co więcej, starożytni Dogonowie wiedzieli, że Syriusz jest gwiazdą podwójną na długo przed tym, zanim spostrzegli to astronomowie. Ba! Twierdzili nawet, że jest gwiazdą potrójną...

– Pozwolisz, że ci przerwę, Pierre – wtrącił się Hubert. – Piramidy w Gizie rzeczywiście odzwierciedlają Pas Oriona, lecz ten w układzie z roku dziesięć tysięcy pięćsetnego przed naszą erą, a budowle liczą zaledwie cztery tysiące lat. Więc to po prostu dzieło przypadku. Natomiast racją jest, że Syriusz posiada słabego towarzysza, białego karła odkrytego w dziewiętnastym wieku. Co więcej, jest wielce prawdopodobne, że w układzie znajduje się

jeszcze jedna gwiazda, bowiem obserwacje wykazują zaburzenia orbit Syriusza. Jednakże na tę chwilę żaden z teleskopów nie może tego zweryfikować. Ale gdyby tak było w rzeczywistości, oznaczałoby, że tam nie może istnieć żadne życie.

Zettenberg zawiesił głos, z satysfakcją obserwując, jak Pierre Dunré otworzył w zdziwieniu usta.

– Powszechnie uważa się, że na planetach wchodzących w skład systemów gwiazd podwójnych, a w tym wypadku być może nawet potrójnych, powstanie życia jest mało prawdopodobne – kontynuował Hubert. – Głównym powodem są silne zakłócenia w ruchu obiegowym tych planet spowodowane masą gwiazd, co nie dopuszcza do ustabilizowania się na nich klimatu. Orbity planetarne w układach podwójnych mogą być stabilne tylko wtedy, gdy układ jest stosunkowo szeroki, jak w przypadku Alfy Centauri. Po pierwsze, Syriusz nie spełnia tych zależności, po drugie, jest to gwiazda masywna, która ewoluuje znacznie szybciej niż gwiazdy o masach zbliżonych do Słońca. Oznacza to, że Syriusz bardzo szybko przejdzie z tak zwanego ciągu głównego w stadium niestabilności. Więc jeśli nawet w obrębie jego ekosfery powstała odpowiednia planeta, a na niej życie, to nie zdąży ono wyewoluować. Nie stworzy cywilizacji, nie mówiąc już o wynalezieniu technologii lotów międzygwiazdnych.

Zettenberg nachylił się ku mężczyźnie, spojrzawszy mu głęboko w oczy i zapytał:

– Chciałeś podyskutować o nauce czy tylko podtrzymać rozmowę?

Pierre zaczerwienił się i speszony odwrócił wzrok. Do końca wieczoru niewiele się odzywał. Miriam zaś była rozdrażniona i zła. Hubert wówczas jeszcze nie wiedział dlaczego.

Teraz znał prawdę.

Próbował sobie przypomnieć dobre chwile z Miriam z ostatniego roku, dwóch lat, ale nic takiego nie mógł odnaleźć. Ich związek

wypalił się dawno temu. Zettenberg zastanawiał się, czy teraz, bogatszy o wiedzę i doświadczenie, uratuje ich małżeństwo. Czy mają jeszcze szansę na wspólne życie? Czy kiedykolwiek wybaczy jej zdradę?

Spojrzał raz jeszcze na pogrążony już w mroku ocean. Odstawił butelkę i nacisnął wyłącznik wirtualnej tapety. Obraz za oknem zmienił się, ukazując zgiełk wielkiego miasta. Natychmiast zniknął szum fal i zapach morza. Rzeczywistość uderzała go całą swoją brzydota: przeludnione ulice, wieżowce raniące niebo, korek latających pojazdów. Oto obraz współczesnych miast.

Opuścił wzrok na stół, gdzie obok butelki leżała koperta. Wiedział, co w niej jest, przeczytał ten tekst tysiąc razy. Jego podanie zostało przyjęte i miał szansę zostać dowódcą pierwszego załogowego lotu poza Układ Słoneczny. To była jego wielka szansa, spełnienie najśmielszych marzeń. Wystarczyło podpisać.

Najpierw jednak musiał poznać odpowiedź Miriam.

ROZDZIAŁ 6

PRZED STARTEM

Sala konferencyjna bazy księżycowej Luna wypełniona była po brzegi, tak że nie można było wetknąć szpilki. Miejsca z przodu zajęte zostały przez osobistości świata nauki i polityki, za nimi kłębił się tłum reporterów. Wszystkie stacje holowizyjne, nie bacząc na koszty, przysłały swoich dziennikarzy. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny miał zostać wystrzelony pierwszy załogowy statek międzygwiazdny. Właśnie rozpoczynała się ostatnia konferencja prasowa połączona z prezentacją załogi.

Ubrany w śnieżnobiały uniform Hubert Zettenberg stał na podium wraz z siedmioma innymi astronautami. Wokół nich szybowało kilkanaście niewielkich kamer, przekazujących obraz do swoich macierzystych stacji. Za ich plecami przez iluminatory widoczny był gotowy do startu *Marek Aureliusz*. Srebrny kolos strzeliście wynurzał się z doku startowego. Imponujący widok zapierał dech w piersiach. Majestat i potęga – takie słowa przewijały się w relacjach dziennikarzy, którzy do końca nie mogli uwierzyć w to, co ujrzeni na księżycowej platformie startowej. Niewielu było na Ziemi i Księżycu ludzi, którzy w tym momencie nie czuli się dumni z przynależności do rasy istot potrafiących stworzyć takie dzieło.

Duma rozpieierała również Huberta. To on będzie dowodził misją, a przy tym najdoskonalszym statkiem zbudowanym przez człowieka i najlepszą pod słońcem załogą, z którą zdążył się zżyć w ciągu żmudnych czteromiesięcznych przygotowań. Obok niego stał pierwszy pilot Daniel Czarnecki, młody jasnowłosy Polak, zawsze uśmiechnięty i skory do żartów. Nieco dalej – wysoka,

skandynawska piękność, Sina Finderman. Była biologiem i jej zadanie miało polegać na badaniu fauny i flory odkrytej planety. Kolejną kobietą w tym gronie była Angelika Sorono, czarnowłosa Włoszka, lekarka i psycholog w jednej osobie. Introwertyczny inżynier planetarny odpowiedzialny za sprzęt na statku, Er Yohma, wydawał się speszony tak dużym audytorium. To on za pomocą automatów wybuduje pierwszą bazę na obcym globie. Chemiczka, Yaka Mashari, była niską dziewczyną o orientalnych rysach twarzy. Obok niej stał najstarszy uczestnik wyprawy, astrofizyk i geolog Teodor Meyer. Siwowłosa mężczyzna uśmiechał się smutno do kamer. I wreszcie Borys Łuszczak, jowialny nawigator z Rosji, którego Zettenberg bardzo polubił.

Hubert odetchnął głęboko. Odeszła gdzieś niepewność, strach przed tak dalekim lotem, żal za Ziemią, którą opuści na kilka lat, i przyjaciółmi, których może już nigdy nie ujrzeć. Ale oprócz irracjonalnego sentymentu nic go tu nie trzymało. Po rozwodzie z Miriam skoncentrował się na swojej pracy. Zresztą z ich dwojga to Miriam była duszą towarzystwa, on pozostał odludkiem nawet po ślubie, dzięki czemu nie odczuł zbyt utraty najbliższych znajomych. Dzisiaj dla Huberta liczyła się tylko wyprawa do Alfy Centauri.

Na środek sali wyszedł twórca i koordynator programu, Stefan Karpowski. Towarzyszyła mu cała świta współpracowników i kierowników wyższego szczebla projektu. Rozległy się brawa. Dyrektor podniósł rękę w geście niby podziękowania, niby uspokojenia wiwatującego tłumu.

– Drodzy państwo! Pragnę was powitać na stacji księżycowej Luna, z której już za niecałe dwadzieścia cztery ziemskie godziny wystartuje pierwsza w dziejach ludzkości załogowa ekspedycja międzygwiazdowa. Jej punktem docelowym jest Toliman, jedna z bliźniaczych gwiazd w układzie Alfa Centauri!

Jego głos, wzmocniony przez ukryte mikrofony, odbił się echem od ścian, ginąc w burzy oklasków.

– Na początku chciałbym podziękować wszystkim współpracownikom i ludziom dobrej woli o otwartych umysłach, a przede wszystkim portfelach... – Puścił oko do zebranych. – Tym, bez których projekt Raj Utracony nigdy by nie zaistniał; wielkiej liczbie naukowców, pilotów, logistyków, inżynierów, techników całym sercem zaangażowanych w to olbrzymiej miary przedsięwzięcie. Niezmiernie wam wszystkim dziękuję za te lata pracy! – Zrobił krótką pauzę, czekając, aż zebrani przestaną bić brawo. – Dziękuję również członkom załogi, których sylwetki są wszystkim doskonale znane, gdyż w ostatnich miesiącach nie było dnia, żeby w holowizji nie emitowano programu o tej wyprawie.

Ponownie rozległy się oklaski, a Karpowski uśmiechał się do dziennikarzy. Zmarszczki na twarzy dyrektora się wygładziły, głębokie bruzdy i podkrążone oczy, które towarzyszyły mu przez cały okres pracy nad projektem – zniknęły. Dzisiaj wszystko było gotowe, dopięte na ostatni guzik, a on mógł się wreszcie odprężyć i świętować swój triumf.

Wskazał ręką ósemkę astronautów.

– Tak jak Neil Armstrong wpisał się do historii, stawiając w lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku pierwszy krok na Księżycu, tak teraz oni, po prawie stu latach, postawią swoje stopy na planecie innego systemu gwiazdowego.

Wiwatom nie było końca. Wreszcie po dobrych kilku minutach Karpowski ponownie mógł zabrać głos.

– Teraz kilka słów o *Marku Aureliusz*. – Na środku podium pojawiło się holograficzne zdjęcie gwiazdolotu. – Statek składa się z trzech modułów: silnika, magazynu i części mieszkalnej. Mogliśmy zmniejszyć zbiorniki paliwowe dzięki temu, że ekspedycja wystartuje z Księżycy, gdzie przyciąganie jest mniejsze niż na

Ziemi, a podczas pierwszej fazy lotu zostanie wykorzystane potężne pole grawitacyjne Jowisza i Saturna. Z kolei zastosowanie najnowszych technologii pozwoliło na zminimalizowanie objętości silnika. Jednakże i tak moduł ten stanowi ponad połowę statku.

Wskazał na schemat silnika, który pojawił się w miejsce trójwymiarowego zdjęcia.

– Żeby opuścić Układ Słoneczny, *Marek Aureliusz* musi uzyskać trzecią prędkość kosmiczną wynoszącą ponad sześćdziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę. Jeszcze kilka lat temu było to dla nas nieosiągalne, ale dzięki ciężkiej pracy naukowców z całego świata udało się tego dokonać. – Wskazał na zdjęcie. – Oto silnik najnowszej generacji zastosowany w gwiazdolocie. Zasadniczo składa się z czterech członów. Pierwszy służy do napędzenia statku do prędkości 0,94c, czyli dziewięćdziesięciu czterech setnych prędkości światła. Drugi do wyhamowania u celu podróży. Analogiczne przeznaczenie mają człon trzeci i czwarty, tyle że zostaną wykorzystane dopiero w drodze powrotnej. Za każdym razem zużyty człon silnika jest odrzucany. Przy stałej prędkości podświetlonej podróż potrwa około jedenastu lat, aczkolwiek relatywny czas dla członków załogi wyniesie tylko trzy lata. Wynika to z mechaniki relatywistycznej Einsteina.

W tym momencie na hologramie pojawił się ciąg znaków:

$$\Delta t' = \frac{\Delta t}{\sqrt{1-\beta^2}}$$

– Jest to wzór na transformację Lorentza. Można go przekształcić na wiele sposobów. Za β podstawiamy prędkość światła, czyli w naszym wypadku 0,94c. Symbole Δt i $\Delta t'$ oznaczają zaś czas pokładowy i ziemski. Po dokonaniu obliczeń otrzymamy różnicę

czasu, jaki upłynął na *Marku Aureliusz* i tego na Ziemi. Zjawisko to nosi miano dylatacji czasu, ale nie będę teraz państwa zanudzał akademickimi wykładami z fizyki.

– Dlaczego *Marek Aureliusz* nie polecą z prędkością światła? – zapytał któryś z reporterów.

– Niestety, uniemożliwiają to prawa fizyki. Ciało obdarzone masą spoczynkową nie jest w stanie jej osiągnąć. W miarę jak prędkość obiektu rośnie, wzrasta równocześnie jego masa, która po osiągnięciu prędkości światła stałaby się nieskończenie wielka. Wtedy też relatywny czas podróży jest równy zero, czyli staje w miejscu. Z tych dwóch powodów podróże kosmiczne mogą odbywać się jedynie z prędkością podświetlną.

– Jakie jest źródło energii silnika?

– To nowość technologiczna. W specjalnie skonstruowanym miniaturowym akceleratorze zachodzi reakcja anihilacji materii. Słowem, całkowita przemiana materii w energię. Następuje proces spotkania się cząstki i antycząstki. Silnik utrzymuje przyspieszenie 1 g, czyli zbliżone do ziemskiego, co pozwoli na komfort podróży.

– Po jakim czasie podróży statek osiągnie prędkość 0,94c?

– Tuż po przekroczeniu Pasa Kuipera, który znajduje się zaraz za Układem Słonecznym. Po odrzuceniu zbędnego członu silnika statek polecą siłą rozpędu do momentu osiągnięcia systemu Alfa Centauri.

– Wspomniał pan o Pasiu Kuipera. Jak wiemy, zawiera on mnóstwo komet, planetoid i materii gwiazdnej. Jak *Marek Aureliusz* przedrze się przez ten gąszcz?

– To mniejsze zagrożenie, niż można by sądzić. Ocenia się, że w przestrzeni międzygwiazdnej występuje około dziesięciu gramów materii na miliard kilometrów sześciennych. Proszę więc sobie policzyć, jakie jest prawdopodobieństwo zderzenia gwiazdolotu z jakimkolwiek meteorytem. – Karpowski zmarszczył czoło. –

Więszym problemem jest drobny, międzygwiazdny pył. W czasie lotu z prędkością 0,94c w ciągu jednej sekundy uderzać będzie w statek dwie stutysięczne grama materii. Podczas każdego zderzenia wydzieli się tyle energii, co przy wybuchu około czterech kilogramów trotylu. To już mogłoby zakończyć się katastrofą. Dlatego też, jak państwo z pewnością zauważyli, na kadłubie umieściliśmy reflektor fotonowy, który poprzez odparowanie zneutralizuje materię na drodze *Marka Aureliusza*.

Holograficzny obraz znów uległ zmianie i teraz widać było przekrój całego gwiazdolotu.

– Przejdźmy do omówienia części magazynowej, w której znajdują się głównie zapasy żywności i wody. Jak państwo widzą, dużą powierzchnię zajmują tam kontenery tlenowe, jako że wytwarzanie życiodajnego gazu przez odpowiednie rośliny umieszczone na statku może pełnić jedynie funkcję pomocniczą. Wodę w znacznym zakresie będą regenerować filtry, lecz żywność stanowią niestety syntetyki lub, w najlepszym razie, wyhodowane na pokładzie warzywa. Pomidory, groszek i ziemniaki najlepiej nadają się do uprawy w warunkach podróży kosmicznej, toteż nie będzie to może pięciogwiazdkowa restauracja, ale cóż, nikt przecież nie obiecywał astronautom luksusów.

W sali rozległ się śmiech. Karpowski poczuł się w obowiązku dodać:

– Najistotniejsze to dostarczyć załodze podstawowych produktów żywnościowych i odpowiednie dawki witamin.

Zrobił krótką pauzę, odchrząknął i kontynuował:

– Magazyn to także miejsce, gdzie składowane są roboty cybernetyczne, sprzęt do eksploatacji planety oraz niewielki ładownik, który dostarczy badaczy na powierzchnię planety. Tuż przed drzwiami do części mieszkalnej znajduje się obszerne, dobrze wyposażone laboratorium.

Wskazał palcem odpowiedni obszar na hologramie.

– Ostatni, najbliższy dziobowi moduł zajmują pomieszczenia mieszkalne. Stanowią zaledwie piętnaście procent całego statku. Każdy z członków załogi będzie miał do dyspozycji własną kajutę z minimum wygod o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych. Do tego dochodzą sterówka, mesa, sala gimnastyczna, sanitariaty i solarium...

– Solarium? – zdumiała się jedna z reporterek.

– Tak, moja droga, solarium. Przez trzy lata astronauta nie będą widzieli Słońca i tyle samo czasu nie poczują ciepła jego promieni na skórze. Wcześniej nikt nie przebywał w kosmosie aż tak długo i nie znamy skutków kilkuletniego pobytu człowieka z dala od światła słonecznego. Obawiamy się przypadków depresji i złego samopoczucia. Solarium ma za zadanie chociaż w niewielkiej mierze zrekompensować brak słońca.

– A co z promieniowaniem kosmicznym? – zapytał dziennikarz z tygodnika „Science”.

– Dobre pytanie – uśmiechnął się dyrektor. – Promieniowanie galaktyczne nie jest aż tak szkodliwe, jak na początku sądzono, gdyż gęstość strumienia protonów jest niska. Większe zagrożenie stanowią gazowe obłoki wodoru. Przy prędkości 0,94c, jaką osiągnie statek, protony o niego uderzające uzyskają energię 1 MEV, co oznacza, że będą grzeznąć w ścianach gwiazdolotu i generować strumienie promieniowania rentgenowskiego oraz gamma. W przestrzeni kosmicznej atomy wodoru występują w liczbie kilku na każdy centymetr sześcienny.

Dyrektor projektu Raj Utracony westchnął ciężko.

– Podobnie ma się sytuacja z promieniowaniem słonecznym. *Marek Aureliusz* na początku swojej podróży będzie narażony na jego silne działanie. Nasza gwiazda cyklicznie wykazuje dużą aktywność, a wówczas na jej powierzchni występują potężne eksplozje, w

wyniku których w przestrzeń kosmiczną dostają się miliony naładowanych cząstek. I dlatego pomieszczenia mieszkalne i magazynowe statku są ekranowane.

– Czy to wystarczy?

– Zapewniam państwa, że dołożyliśmy wszelkich starań, żeby chronić zdrowie i życie uczestników wyprawy. Priorytetem przy budowie gwiazdolotu była troska o załogę. Przecież ktoś musi wrócić i nam opowiedzieć, jak tam było.

Po sali ponownie poniósł się śmiech. W tej chwili żaden z uczestników konferencji nie miał wątpliwości, że misja zakończy się sukcesem. Za iluminatorami stał statek kosmiczny przeznaczony do podróży między układowych, będący być może największym osiągnięciem ludzkiej cywilizacji, dowodem na to, że człowiek wreszcie może sięgnąć gwiazd, a głos głównego koordynatora projektu brzmiał bardzo pewnie. Trudno było w takim dniu jak dzisiaj myśleć o niepowodzeniu i przeszkodach, jakie mogły się pojawić.

– A gdy *Marek Aureliusz* wreszcie dotrze do celu, to co wtedy?

– Statek pozostanie na orbicie planety jako stacja kosmiczna. Pierwszy miesiąc przeznaczymy na dokładne badania planety. Gdy wszystkie potrzebne dane zostaną zebrane i przeanalizowane, wtedy geolog, biolog i inżynier planetarny dostaną się lądownikiem na powierzchnię. Za pomocą autonomicznych robotów wybudują prowizoryczną bazę i rozpocznie się kolejna faza badań.

Karpowski podrapał się po brodzie.

– Myślę, że potrwa to około trzech miesięcy. Następnie rozpocznie się podróż powrotna. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i załoga wróci, przynosząc nam dobre wieści, za jakieś pięćdziesiąt lat będziemy gotowi do kolonizacji planety. A teraz zapraszam akredytowane osoby do zwiedzania *Marka Aureliusza*. Załoga na pewno odpowie na wszystkie państwa pytania. Pozostali –

uśmiechnął się przepaszająco – mogą być świadkami jutrzejszego startu.

– Jeszcze jedno pytanie! – wrzawę, jaka się rozpętała, próbował przekrzyczeć młody dziennikarz z „Science”. – Czy będziemy mieli kontakt z załogą?

– Oczywiście – odparł Karpowski. – Komunikacja radiowa będzie funkcjonować, dopóki pozwolą na to opóźnienia wynikające z odległości.

– A czy będzie możliwość porozumienia się z astronautami, gdy już dotrą do celu? Czy na *Marku Aureliuszu* zamontowano jakiś specjalny komunikator, który na to pozwoli?

Na czole dyrektora pojawiła się zmarszczka. Podszedł do prezydenta Unii Europejskiej, uścisnął mu dłoń i zaczął coś szeptać na ucho, ignorując ostatnie pytanie dociekliwego reportera.

ROZDZIAŁ 7

WIELKI KROK DLA LUDZKOŚCI

Bernard Canton spoglądał przez okno swojej watykańskiej rezydencji na Bazylikę Świętego Piotra, podziwiając charakterystyczną kopułę i przepiękną fasadę w barokowym stylu. Następnie przeniósł spojrzenie na misternie rzeźbione fontanny i strzelisty obelisk znajdujące się na placu Świętego Piotra, zastanawiając się, czy to wszystko przetrwa. Oczyma wyobraźni widział te piękne miejsca zrujnowane, spaloną Bibliotekę Watykańską, roztrzaskaną Kaplicę Sykstyńską i zburzone budynki muzealne. Przypuszczał, że Stolica Apostolska będzie pierwszym celem dla sił wrogich Bogu.

Kardynał westchnął ciężko. W każdym jego geście można było wyczuć zmęczenie i napięcie. Zmarszczki na twarzy i podkrążone oczy świadczyły, że ostatnie dni musiały być dla niego ciężkie. Trudno się dziwić. Projekt Raj Utracony pomimo wielu jego starań został doprowadzony do końca i dzisiaj właśnie było jego ukoronowanie.

Canton wszedł do salonu, usiadł sztywno na fotelu i włączył holoodbiornik. Podobnie jak wiele milionów innych ludzi obejrzy start *Marka Aureliusza* z transmisji holowizyjnej. Tego dnia na wszystkich stacjach nie puszczały nic innego. Od samego rana na żywo relacjonowano przygotowania do startu, przeprowadzano ostatnie wywiady, dziennikarze starali się dotrzeć wszędzie i do wszystkich. Chyba nie udało im się jedynie porozmawiać z członkami załogi, którzy od wczorajszej konferencji prasowej byli izolowani i poddani specjalnej opiece medycznej. Nie można było

dopuszczyć, żeby jakiegokolwiek wirusy i bakterie przedostały się na pokład gwiazdolotu.

Start przewidziany był na godzinę dwudziestą czasu zachodnioeuropejskiego. Canton miał okazję zobaczyć to na żywo ze stacji księżycowej, ale gdy stwierdził, że nie ma już żadnych możliwości zatrzymania projektu, wrócił na Ziemię. Tutaj też miał sporo pracy. Trzeba było przygotować ludzkość na to, co nastanie. Według przepowiedni Sybilli *Marek Aureliusz* dotrze do dziedziny Szatana i obudzi potężne zło uspijone od tysięcy lat. Czy to będzie oznaczało koniec świata? Zagładę ludzkości? A może Ziemię nawiedzą kataklizmy i najgorsze plagi? Tego kardynał nie wiedział.

Marcus Brandini mówił, że przepowiednie Sybilli dotychczas się sprawdzały, ale Canton miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

W trakcie trwania projektu Raj Utracony nie udało mu się oficjalnymi metodami zablokować przedsięwzięcia, pomimo że przekonał do swoich racji wielu senatorów i stworzył mocną opozycję w światowym senacie. Nie udało się to także metodami nielegalnymi. Wynajęci ludzie i agenci Watykanu sabotowali prace, organizowali strajki pracowników, niszczyli ważne komponenty do budowy gwiazdolotu. Na próżno. Zniszczenia nigdy nie były poważne, wichrzyciele dziwnym trafem wpadali w ręce władz, zanim jeszcze podjęli jakiegokolwiek działania, dywersanci ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, wszelkie spiski natychmiast neutralizowano, a podstawieni przez Watykan pracownicy szybko byli dekonspirowani i usuwani ze stacji księżycowej. Wyglądało na to, że jakaś potężna, tajna organizacja dbała o powodzenie projektu. Canton wiedział, czyja to była sprawa.

Kościół katolicki niemalże od początku swojego istnienia walczył z nieprzyjaciółmi Boga. Zawsze istnieli ludzie gotowi podważać odwieczny porządek rzeczy, buntować się przeciw Stwórcy i skłaniać ku złemu. Porzucali zasady moralne, wyszydzali prawdy

wiary i przykazania. Dawało im to złudne poczucie wolności, a przynależność do kultu spore korzyści na ziemskim padole, ale w efekcie prowadziło do potępienia ich dusz.

Kardynał nie był idealistą i nie obchodziło go, co tak naprawdę człowiek zrobi ze swoim życiem. Dla niego ci kretyni mogli oddawać cześć Szatanowi, gubiąc swoje dusze i szanse na zbawienie. Nie obchodziło go to. Daleko mu było do chrześcijańskiej miłości bliźniego, do współczucia, jakie duchowny powinien odczuwać względem każdej istoty ludzkiej. Pogodził się jednak ze swoimi emocjami i nie próbował z nimi walczyć. Wiedział, że może czcić Boga i służyć mu w inny sposób – broniąc Kościoła katolickiego.

Wojna z wyznawcami Szatana toczyła się od tysiąca lat, ale we wcześniejszych wiekach Kościół dysponował większymi możliwościami. Papież mógł ogłosić krucjatę, zebrać potężną armię i wysłać ją do walki, instytucja inkwizycji miała możliwość zduszenia niebezpiecznych sekt w zarodku, wytropienia kultystów i posłania ich na stos. Obecnie było to niemożliwe.

Rozwój cywilizacji spowodował, że ludzie zachłysnęli się racjonalizmem, odrzucając świat duchowy i wszystko to, czego nie potrafili ogarnąć rozumem. Ich świat zawęził się do potrzeb materialnych i do codziennych, banalnych spraw. Pojęcia Boga i Szatana stały się dla nich metaforą, tylko ideami obrazującymi konflikty moralne toczące człowieka. Nawet nie wiedzieli, jak bardzo się mylili.

Bernard Canton niejednokrotnie był świadkiem cudów, które napępiały jego serce błogą radością, ale uczestniczył również w egzorcyzmach i miał świadomość tego, jak Szatan może zawładnąć człowiekiem. Odwieczna walka dobra ze złem była niezaprzeczalnym faktem, a kardynał był jednym z gwardzistów Boga. Jednakże druga strona miała również oddanych żołnierzy.

Kardynał dobrze znał tych, z którymi przyszło mu się mierzyć.

Historia satanistów sięgała lat sześćdziesiątych dwudziestego wielu, kiedy to niejaki Anton Szandor LaVey założył Kościół Szatana. Na początku byli nieszkodliwą sektą zbierającą się w prywatnych domach, gdzie oddawali się wyuzdanym orgiom seksualnym. W pewnym momencie zyskali rozgłos i popularność. Watykan co prawda śledził poczynania sekty, ale przymykał na nie oko, tym bardziej że sam LaVey głosił satanizm ateistyczny, nacechowany hedonizmem, gdzie głównym przykazaniem było zaspokajanie swoich potrzeb, a nie wyznawanie zła osobowego. Jego następcy na stanowisku głowy Kościoła satanistycznego przez wiele lat pielęgnowali taką właśnie koncepcję.

Problem pojawił się na początku dwudziestego pierwszego wieku, gdy nagle zaczęli oddawać cześć Szatanowi jako bytowi równemu Bogu. Organizacja zaczęła się dynamicznie rozrastać, zdobywając rzesze wyznawców. Z upojonych alkoholem, odurzonych narkotykami miłośników seksu grupowego stali się niebezpiecznymi kultystami mającymi jasno określone cele oraz idee. Zaczęli na poważnie badać starożytne księgi, odkryli pradawną magię uśpioną przed eonami i poprzez rytuały oraz okultyzm zjednywali sobie szatańskie moce. Członkowie sekty nie afiszowali się już z przynależnością do Kościoła Szatana. Działali w tajemnicy, obsadzając wysokie stanowiska w korporacjach, urzędach państwowych, a nawet w rządach. Urosli w siłę i stali się niebezpieczni.

Bernard Canton mocno zacisnął dłonie na poręczu fotela. Od trzydziestu lat walczył z kultystami i tropił ich w każdym zakątku świata. Niszczył ich kariery, posyłał do więzień, a gdy była taka potrzeba, wydawał rozkaz likwidacji. Wiedział, że łamie tym piąte przykazanie, ale uważał, że czyni to w słusznej sprawie i Bóg mu wybaczy. W tej wojnie nie było miejsca na litość. Nie było też miejsca na porażki, a on w ostatnim czasie doświadczył ich zbyt wiele.

Po pierwsze, nie udało mu się zastopować projektu Raj Utracony.

Po drugie, nie zdołał odkryć tożsamości najwyższych rangą kapłanów Kościoła Szatana. Wiedział, że zawsze jest ich dwoje: Wielki Magus i Magistra Templi Rex, którzy przewodzą Zgromadzeniu Pięciu. To oni zawsze podejmowali najważniejsze decyzje i stanowili rdzeń sekty. Kardynał poprzysiągł, że kiedyś ich wytropi, a wówczas szybko trafią tam, gdzie tak bardzo pragnęli się znaleźć – do piekła.

Po trzecie, nie udało mu się dowiedzieć, kim jest człowiek, którego kultysty umieścili w załodze *Marka Aureliusza*, a nie ulegało wątpliwości, że to zrobili. Canton był w posiadaniu informacji o tym, że osoba ta ma posłużyć za Naczynie, dzięki któremu Szatan przedostanie się na Ziemię. Jeden z papieskich agentów był już na tropie, ale zaginął w Paryżu w niewyjaśnionych okolicznościach. Teraz jednak to już nie miało znaczenia. Za kilka godzin *Marek Aureliusz* wzniesie się w przestrzeń i rozpocznie swoją podróż do Alfy Centauri. Bernard Canton już nic nie mógł uczynić. Pozostała mu tylko modlitwa.

Kardynał skupił spojrzenie na przekazie holowizyjnym. Kamery pokazywały załogę opuszczającą siedzibę astronautów: ośmioro ludzi ubranych w kombinezony, którzy jako pierwsi mieli opuścić Układ Słoneczny i wyruszyć w największą wyprawę ludzkości. Wydawali się podekscytowani, jednakże na ich twarzach podniecenie mieszało się z napięciem, radość ze smutkiem, zadowolenie z lękiem. Nic dziwnego. Życie, jakie dotychczas wiedli, właśnie się kończyło. Następne trzy lata będą skazani tylko na siebie, uwięzieni w niewielkiej przestrzeni *Marka Aureliusza*, daleko od Słońca, Ziemi i przyjaciół, których mogą już nigdy nie ujrzeć.

Kamera wykonała zbliżenie na astronautów wsiadających do astrovanu mającego dowieźć ich na platformę startową. Kardynał przyglądał im się uważnie, zastanawiając się, kto z nich jest

wysłannikiem satanistów.

Na pewno uczyni wszystko, żeby *Marek Aureliusz* dotarł szczęśliwie do celu. Zupełnie inny cel miał papieski szpieg, którego udało się Cantonowi umieścić wśród załogi gwiazdolotu. Kardynał dostrzegł go wsiadającego do pojazdu i poczuł ukłucie żalu w piersi. Osobiście nadzorował szkolenie tego agenta, niczym ojciec opiekował się nim przez całe lata. A teraz go straci, bo to misja samobójcza. Jego zadaniem było zniszczenie *Marka Aureliusza*.

Kawiarnia na najwyższym piętrze księżycowego miasta Luna w tym dniu pełniła rolę sali obserwacyjnej. Znikł barek, stoliki, fotele zastąpiono rzędami krzeseł, na których zasiedli specjaliści goście zaproszeni na start *Marka Aureliusza*. Przez wielki iluminator mogli obserwować stojący na platformie startowej gwiazdolot, który nawet ze znacznej odległości górował niczym olbrzym na tle księżycowego krajobrazu. Wznosił się nad instalacjami bazy, pustkowiem pokrytym szarym pyłem, piętrzącymi się skałami i mnóstwem kraterów.

Rudolf Weinstein, oparty wygodnie na krześle, miał doskonały widok z pierwszego rzędu. Jako przewodniczący światowego senatu i człowiek, który od początku wspierał projekt Raj Utracony, zajął honorowe miejsce tuż obok Stefana Karpowskiego i jego żony.

Załoga wsiadła już do *Marka Aureliusza*, zamknęła za sobą włącz i rozpoczęły się testy szczelności kabiny. Komputery pokładowe i zapasowe systemy gwiazdolotu zostały przestawione do konfiguracji startowej. Rozpoczęło się odliczanie. Za dziesięć minut pierwszy załogowy statek kosmiczny ruszy w swoją podróż do najbliższego systemu gwiazdowego. I będzie to wielki krok dla ludzkości, o wiele większy niż postawienie stopy na Księżycu przez Neila Armstronga.

Weinstein czuł, jak rozpięta go duma i satysfakcja, że mimo wielu przeszkód udało mu się doprowadzić do tego wydarzenia. Musiał

zмагаć się przede wszystkim z nieprzychylnymi politykami, z bankami w celu pozyskania środków na sfinansowanie przedsięwzięcia, które pochłonęło niespotykaną wcześniej ilość zasobów, z opinią publiczną i mediami, a przede wszystkim z wpływami Watykanu. To właśnie ludzie papieża stanowili największe zagrożenie. Szczególnie Bernard Canton.

Zacisnął zęby na wspomnienie kardynała, który wszelkimi możliwymi sposobami próbował nie dopuścić do startu *Marka Aureliusza*: lobbował wśród senatorów, zgłaszał uchwały mające opóźnić pracę nad projektem, naciskał na banki, żeby nie udzielały kredytów, i napuszczał dywersantów dokonujących sabotaży. Na szczęście większość tych działań udało mu się zneutralizować.

Kościół zyskiwał coraz większą władzę, pomimo że nie miał aż tak wielu wyznawców, jak jeszcze w poprzednim wieku. Przystępujący do wspólnoty nie byli jednak bierni tak jak kiedyś i tylko deklaratywni w swojej wierze, obecnie, gdy już ktoś zdecydował się na przynależność do Kościoła, oddawał mu całe swoje serce i duszę. Ta gorliwość powodowała, że w swoich poczynaniach wierni kierowali się przede wszystkim interesem całej chrześcijańskiej społeczności, stali się fanatyczni i nie sposób było ich przekonać do swoich racji czy przekupić.

Na szczęście Kościół Szatana, na czele którego stał Weinstein, też miał swoich wyznawców, którzy byli jeszcze bardziej zdeterminowani. Zasiadali na wysokich stanowiskach w korporacjach handlowych, rządach, wojsku.

Wojna pomiędzy Kościołami trwała od wielu lat, niewidoczna dla zwykłych ludzi, ale bezwzględna i czasem także krwawa. Trudno było Weinsteinowi zliczyć, ilu wyznawców zginęło od zdradzieckich sztychów noża papieskich agentów i ilu zamknięto w watykańskich ciemnicach. Sataniści również nie przebierali w środkach i gdy można było, niszczyli swoich wrogów. Później jedni i drudzy

zacierali ślady tak dokładnie, że do mediów przedostawały się informacje o nieszczęśliwych wypadkach i zawałach serca, nigdy zaś o morderstwach.

Dzisiaj Weinstein był górą.

Udało mu się doprowadzić do startu *Marka Aureliusza*. Co więcej, na pokładzie gwiazdolotu znalazło się aż dwoje wyznawców. Osoba wytypowana przez Zgromadzenie Pięciu, którą pozbawiono pamięci o tym, komu służy i jaka jest jej prawdziwa misja, oraz ten, którego widział w swoich wizjach. Mężczyzna, ostatni raz widziany przez niego w paryskich katakumbach, wypowiedział posłuszeństwo Kościołowi Szatana i teraz działał na własną rękę. Nie udało im się go powstrzymać i zdobył miejsce wśród załogi gwiazdolotu.

Rudolf Weinstein nie rozpacział z tego powodu. Nawet czuł pewną satysfakcję, że jego wizja ma szansę się ziścić. Wiedział, że jedno z dwojga zostanie Naczyniem Pana i przeniesie Jego jaźń na Ziemię. To będzie ukoronowanie jego ciężkiej pracy. I nie tylko jego...

Uśmiechnął się na myśl o kobiecie, która poświęciła równie wiele wysiłku co on, a może nawet więcej. Przecież cały ten czas była tutaj, na Lunie, i pilnowała, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Działała skrycie i musiała uciekać się do podstępów, nalegań i manipulacji. I chociaż w Kościele Szatana nosiła tytuł Magistry Templi Rex, ciesząc się wielkim szacunkiem wyznawców, tutaj nie pełniła żadnej ważnej funkcji.

Przewodniczący światowego senatu odwrócił lekko głowę w bok i dostrzegł ją, siedzącą dwa miejsca dalej. Poczuł ciepło na widok kobiety – siwowłosej już, ale o wielkim temperamencie. Przypomniał sobie upojne chwile, jakie niejednokrotnie razem spędzali, łapczywe pocałunki, zachłanne pieszczoty i seks pełen uniesień. Ostatni raz widzieli się w Paryżu, na spotkaniu Zgromadzenia Pięciu. Spędzili ze sobą dwa dni, w czasie których praktycznie nie wychodzili z łóżka. To były dobre dni. Weinstein zastanawiał się, czy istniała

możliwość, żeby zrobili to tu, w bazie księżycowej Luna? Zdawał sobie jednak sprawę, że nie będzie to takie proste.

Kobieta była przecież żoną Stefana Karpowskiego.

Ponownie skupił spojrzenie na platformie. Zaczęły się właśnie procedury przedstartowe. Podłączono ogniwa paliwowe do głównej magistrali, odsunięto ramię dostępowe i rozpoczęto gazowe przeczyszczanie silników.

W tym czasie komputer przeprowadzał test powierzchni sterujących i układów hydraulicznych napędu.

– Minuta do startu – oznajmił bezbarwny kobiecy głos dobiegający z głośników.

Zgromadzeni w sali zamarli w oczekiwaniu. Zaczęło się odliczanie.

Dysze automatycznie ustawiły się w pozycji startowej.

Pod nimi odpalone zostały zabezpieczające iskrowniki.

Pięć sekund przed startem – włączono silniki główne.

Cztery sekundy – Weinstein poczuł dreszcz przebiegający jego ciało.

Trzy sekundy – zapłon.

Dwie sekundy – wszyscy ludzie na całym świecie wstrzymali oddech.

Jedna sekunda – z dysz buchnął ogień.

START.

ROZDZIAŁ 8

POCZĄTEK PODRÓŻY

Marek Aureliusz mknął przez przestrzeń napędzany potężnymi silnikami anihilującymi materię i nabierał coraz większej prędkości. Rozpoczęła się największa podróż ludzkości, donioślejsza niż wyprawa Krzysztofa Kolumba, który odkrył Amerykę. W roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim genuieńczyk jako pierwszy żeglarz w dziejach nowożytnych przekroczył Ocean Atlantycki i odkrył nowy, nieznany dotąd Europie kontynent. Kolumb naprawdę jednak szukał zachodniej drogi do Indii i był nieświadomy doniosłości swojego odkrycia. Tym razem było inaczej. Ludzie na pokładzie gwiazdolotu dobrze wiedzieli, dokąd zmierzają.

Hubert Zettenberg powiódł spojrzeniem po astronautach zebranych w mesie. Jako dowódca doskonale znał ich kwalifikacje, umiejętności, zalety i wady. Wszystkiego dowiedział się z akt przygotowanych przez specjalistów z agencji lotów i po części z własnych obserwacji podczas okresu przygotowań, jednak weryfikacja tej wiedzy miała nastąpić dopiero tutaj, w kosmosie, podczas trzech lat podróży.

Siedmiu ludzi wpatrywało się w niego w oczekiwaniu. Na ich twarzach można było dostrzec ekscytację i dumę. Zostali wybrani spośród tysiąca kandydatów. Stanowili elitę, okazali się najlepsi z najlepszych i podczas wyprawy będą chcieli potwierdzić swoją wartość. To oni jako pierwsi dotrą do innego systemu gwiazdowego, postawią stopę na planecie poza Układem Słonecznym, będą awangardą ludzkości. Tak zapamięta ich historia. I tak jak w piętnastym wieku Krzysztof Kolumb stworzył podwaliny pod

kolonizację hiszpańską w Ameryce, tak oni uczynią to samo dla całej ludzkości na obcym globie.

Hubert niemal fizycznie czuł buchającą od nich energię, wiarę w powodzenie misji i nadzieję na lepsze jutro dla mieszkańców Ziemi. Oby ten entuzjazm w nich nie wygasł, pomyślał Zettenberg.

– Minęły trzy dni od startu *Marka Aureliusza* – rzekł. – Uruchomiona została sztuczna grawitacja, cyrkulacja tlenu i inne niezbędne do funkcjonowania systemu. Jak na razie wszystko przebiega zgodnie z planem.

Musiał przerwać, bo rozległy się gromkie oklaski. Wzniósł dłoń, żeby ostudzić zapał astronautów, po czym mówił dalej:

– Nie oznacza to wcale, że reszta podróży będzie przebiegać podobnie. Możecie mi wierzyć lub nie, ale czekają nas problemy, które nie zostały przewidziane przez specjalistów projektu *Raj Utracony*.

– Poradzimy sobie ze wszystkimi, komandorze – rzekł z rozbijającym uśmiechem Daniel Czarnecki, najmłodszy uczestnik wyprawy. Przytaknął mu Borys Łuszczak. Reszta załogi też wyraziła swoją aprobatę.

– Cieszy mnie wasza pewność siebie i wiara we własne umiejętności – odparł powściągliwie Zettenberg. – Jednakże musicie pamiętać, że nie jest to wycieczka krajoznawcza, ani nawet turystyczny lot na Księżyc, lecz trzyletnia wyprawa do innego systemu gwiazdowego. To olbrzymie wyzwanie, bowiem kosmos to niebezpieczne miejsce i cały czas musimy zachowywać pełną gotowość.

Przerwał na chwilę i powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych ludzi. Uśmiechy zniknęły, zastąpione przez powagę. Chyba wreszcie do nich dotarło, że ten lot to nie zabawa, lecz ważna misja i ciężki na nich olbrzymia odpowiedzialność.

– Powtarzaliśmy to podczas szkolenia w ośrodku

przygotowawczym do znudzenia, ale przypomnę jeszcze raz o podziale obowiązków. – Kilka osób ciężko westchnęło. – Dla większości z was praca rozpocznie się dopiero po dotarciu na planetę, jednakże w czasie podróży będziecie wspomagali swoich kolegów. Za dyżury w laboratorium odpowiadają Yaka Mashari i Sina Finderman. Pieczę nad sprzętem, a co za tym idzie – nad sekcjami magazynowymi sprawuje Er Yohma. Wspomagać go w tym będzie Teodor Meyer, o ile nie będzie to kolidowało z jego badaniami.

Siwowłosa mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie powinno – rzekł. – Astrofizyka to dziedzina nauki, do której potrzebny jest tylko sprawny umysł. Przyda mi się jakieś urozmaicenie. Chętnie pomogę.

– To świetnie – ucieszył się Zettenberg. – Angelika Sorono jako lekarka odpowiada za ambulatorium, natomiast Łuszczak, Czarnecki i ja będziemy pełnić na zmianę wachty w sterówce.

– Tego nie mogę pojąć. – Łuszczak zmarszczył brwi. – Przecież kurs *Marka Aureliusza* zaprogramowany został jeszcze na Ziemi i tak naprawdę nasze umiejętności nawigacji oraz pilotażu potrzebne będą dopiero po dotarciu do Alfy Centauri.

– Trzeba być przygotowanym na wszelkie niespodzianki – Hubert uciął dyskusję.

Co prawda nie przewidywano trudności związanych z trasą przelotu, ale twórcy projektu chcieli, żeby wszyscy astronauta mieli zajęcie i nie snuli się bez celu po pokładzie. Obawiano się, że załoga popadnie w rutynę, przez którą popełnia się najwięcej błędów. Problemem mogły też być rozluźnienie dyscypliny i niesubordynacja, a miliardy kilometrów od Ziemi bunt oznaczał katastrofę.

– Czy wszystko jest zrozumiałe i jasne? – zapytał, przyglądając się uważnie siódemce astronautów.

Wszyscy przytaknęli.

– Możecie się rozejść do swoich obowiązków – rzekł. – Ja pierwszy obejmę wachtę.

W sterówce panował półmrok i tylko kontrolki na panelach jarzyły się szmaragdowym i szkarłatnym światłem. Na *Marku Aureliusz* panowała właśnie pora nocna. Twórcy projektu Raj Utracony pragnęli stworzyć astronautom warunki zbliżone do ziemskich, stwierdzili zatem, że niezbędne jest wprowadzenie dwudziestoczętrogodzinnego pomiaru czasu oraz symulowanie nocy przez trzecią część doby. Wówczas wszystkie główne światła na pokładzie gwiazdolotu gasły, pozostawiając tylko lekko przyćmione lampy w podłodze. Ludzie, którzy nie pełnili nocnej służby, udawali się w tym czasie na zasłużony odpoczynek. Miało to podnieść komfort życia astronautów i utrzymać w normie ich kondycję psychofizyczną.

Sterówka była półkolistą nadbudówką wystającą poza kadłub gwiazdolotu. Dzięki temu przez iluminator, pełniący zarówno funkcję ścian, jak i sufitu, można było dostrzec to, co jest na zewnątrz. Za specjalną szybą, wykonaną z trzech warstw stopu szkła na bazie krzemianu i dwutlenku krzemu, widać było rozgwieżdżone niebo. Mieniające się czerwienią olbrzymy, błękitne nadolbrzymy, blade supernowe, migoczące pulsary oraz tajemnicze kwazary hipnotyzowały i przyciągały, jakby pragnęły właśnie teraz zdradzić swoje tajemnice, a mgławice i galaktyki wydawały się być na wyciągnięcie ręki. Dopiero tutaj człowiek naprawdę mógł poczuć jedność ze wszechświatem.

Hubert, siedząc w fotelu pierwszego pilota, zachwycił się tym niezwykłym widokiem i cieszyła go myśl, że przez najbliższe trzy lata będzie mógł codziennie podziwiać ten gwiazdny pejzaż. Nic piękniejszego nie mógł sobie wymarzyć. Wydawało mu się, że nigdy się tym nie znudzi.

Odwrócił się w fotelu, spoglądając na Ziemię – jeden z najjaśniejszych punktów na niebie. Błękitna planeta powoli się oddalała, a Zettenberg miał ją zobaczyć ponownie dopiero za ponad trzy lata.

Nie martwiło go to. Pragnął być jak najdalej od macierzystego globu, od wszystkich ludzi, od problemów, od Miriam. Na Ziemi nie było niczego, do czego chciał wracać. Tutaj, w kosmicznej próżni, było mu dobrze. Czerń ukoiliła jego cierpienie, zaś światło gwiazd wskazywało nową drogę, nadzieję na lepsze jutro. Nie tylko dla ludzkości, ale przede wszystkim dla niego. Wierzył, że tu odnajdzie swoje przeznaczenie.

Próbował odszukać wzrokiem Marsa, którego orbitę *Marek Aureliusz* miał wkrótce przeciąć, ale po chwili przypomniał sobie, że Czerwona Planeta znajduje się aktualnie po drugiej stronie Słońca. Wcale go to nie smuciło. Przez kilka lat uczestniczył w projekcie terraformingu Marsa, dowożąc na niego komponenty, i chociaż zawsze kiedy zbliżał się do planety, robiły na nim wrażenie dwa nieregularne, budzące grozę księżyce – Deimos i Fobos, olbrzymi system kanionów na powierzchni o nazwie Valles Marineris oraz najwyższa góra w Układzie Słonecznym – Olympus Mons, to glob zdążył mu już obrzydnąć. Bardziej był ciekaw zewnętrznych planet systemu, których jeszcze nie miał okazji ujrzeć na własne oczy.

Nagle poczuł czyjąś obecność. Odwrócił się i ujrzał Teodora Meyera stojącego na progu sterówki. Siwowłosa mężczyzna przyglądał się mu z uwagą, co mocno speszyło Huberta. Dopiero po chwili astrofizyk przeniósł spojrzenie na iluminator. Wskazał dłonią usiane gwiazdami niebo.

– Cudowne, prawda?

Pytanie wydawało się retoryczne, więc Zettenberg nawet się nie trudził z odpowiedzią. Uśmiechnął się i powrócił do kontemplowania nieba.

– Jakże malutka wydaje się Ziemia z tej odległości – wyszeptał Meyer. – Jest tylko pyłkiem, drobiną, okruszkiem na tle kosmosu.

– To prawda – przyznał Hubert.

– My, ludzie, uważamy się za wyjątkowych, chlubimy się naszą cywilizacją, osiągnięciami w dziedzinie techniki, urbanistyki, sztuki – zaczął mówić Teodor tonem zapalonego wykładowcy. – Zachowujemy się, jakbyśmy byli pępkiem wszechświata, jakby wszystko musiało się kręcić wokół nas. Ale przecież nasza planeta jest tylko jedną z ośmiu krążących w naszym Układzie Słonecznym. Nie jest ani lepsza, ani gorsza.

Zettenberg nie mógł się z tym zgodzić.

– Powstało na niej życie – zaprotestował. – To oznacza, że jednak Ziemia czymś się wyróżnia.

– Przypadek. – Meyer machnął lekceważąco dłonią. – Przypadkiem znaleźliśmy się w ekosferze, gdzie panowały odpowiednie warunki do powstania i rozwoju życia. W tym samym obszarze znajdują się również Wenus i Mars. Przy odrobinie szczęścia równie dobrze tam mogła rozwinąć się cywilizacja. Tak się jednak nie stało.

– Może i lepiej. Wówczas musielibyśmy walczyć z obcymi o zasoby naszego systemu.

– Albo byśmy z nimi współpracowali. – Hubert się roześmiał.

– Ludzie nie mogą się dogadać sami ze sobą. Co rusz na Ziemi wybuchają nowe wojny, więc jest mocno wątpliwe, że udałoby się dojść do porozumienia z zupełnie obcą nam rasą.

– Zapewne ma pan rację, komandorze – westchnął ciężko Meyer. – Nie zmienia to faktu, że Ziemia jest tylko jednym z elementów Układu Słonecznego. Ten zaś znajduje się na peryferiach galaktyki spiralnej o wdzięcznej nazwie Droga Mleczna.

– Na peryferiach? – Hubert z zaciekawieniem spojrział na astrofizyka.

– Znajduje się w małym Ramieniu Oriona położonym pomiędzy

Ramieniem Strzelca i Ramieniem Perseusza. W odległości dwudziestu siedmiu lat świetlnych od centrum. To samo obrzeże galaktyki. Głęboka prowincja. Zapadła dziura. Nic dziwnego, że nikt nas nie odwiedza. Jeśli jacyś gwiazdni podróżnicy chcieliby do nas przylecieć z bardziej cywilizowanych regionów Drogi Mlecznej, musieliby pokonać szmat drogi.

– Może omijają nas ze względu na prowincjonalizm?

Obaj mężczyźni się roześmieli.

– Z drugiej strony może temu, że Układ Słoneczny znajduje się na obrzeżach, zawdzięczamy nasze istnienie.

– Jak to? – zdziwił się Zettenberg.

– W tym rejonie galaktyki odległość między gwiazdami jest na tyle duża, że ich masy wzajemnie na siebie nie oddziałują. Siły grawitacji mogłyby spowodować niestabilność Słońca i wytrącić je z orbity. W centrum Drogi Mlecznej jest tak wielkie nagromadzenie gwiazd, że na hipotetycznej planecie nocne niebo jaśniałoby ich blaskiem i nie różniłoby się w niczym od dziennego. Nie wspominając już o tym, że w samym środku znajduje się super masywna czarna dziura, która mogłaby nas w każdej chwili wchłonąć.

– Nie ma to jak życie na prowincji – rzekł z przekąsem Hubert.

– Ale to nie koniec – mówił dalej Meyer. – Droga Mleczna wraz z sąsiadującą z nami galaktyką Andromedy i pięćdziesięcioma innymi wchodzi w skład Grupy Lokalnej. To wielkie skupisko przemierza kosmos, tworząc olbrzymi system galaktyk połączonych siłą grawitacji, i rozciąga się na obszarze jednego megaparseka.

– Światło z jednego krańca na drugi musi wędrować ponad trzy miliony lat – szybko obliczył Zettenberg. – Nieźle!

– I żeby było śmieszniej, nasza Grupa Lokalna znajduje się na peryferiach, a jakże, Supergromady Lokalnej w Pannie. Ten twór zawiera w sobie blisko sto grup galaktyk i zajmuje obszar o średnicy dwustu milionów lat świetlnych.

Komandor zagwizdał cicho.

– A istnieje teoria, że nasz wszechświat jest tylko jednym z nieskończenie wielu w nieograniczonej przestrzeni – mówił dalej Meyer. – Niektórzy astrofizycy twierdzą, że wszechświaty zawierają się w bąblach, branach, torusach i dryfują, uderzając o siebie. Jak pan widzi, jesteśmy tylko drobiną na wielkim firmamencie nieskończoności. Czymże więc jest nasza cywilizacja i my w tej stalowej drobinie?

Hubert uśmiechnął się lekko i rzekł:

– *Marek Aureliusz* w locie do Alfy Centauri przypomina mikroba próbującego przebyć kroplę deszczu.

– Celne porównanie, komandorze. – Teodor ponownie przeniósł spojrzenie na Zettenberga i przenikliwie mu się przyjrzał. – Pytanie tylko, czy mikroby jest w stanie przebyć taką drogę? A może to dla niego zbyt wielkie wyzwanie?

Słowa astrofizyka zmroziły Huberta. Po raz pierwszy od chwili przystąpienia do projektu *Raj Utracony* ogarnęło go zwątpienie. Ludzkość nie była nawet okruczem na olbrzymim talerzu, jakim był wszechświat, a zamierzała dotrzeć do innego układu gwiazdnego i go skolonizować. Rościła sobie prawo do innych globów, planowała sięgnąć gwiazd, galaktyk, mgławic, a przecież trudność stanowiło dotarcie do najbliższego sąsiada. Kruche istoty poleciały w kosmos z zamiarem jego eksploatacji, nie mając pojęcia, co je tam czeka.

Mężczyźni zamilkli. Każdy z nich pogrążony był we własnych rozmyśleniach. Po kilku minutach Meyer pożegnał się i wyszedł. Zettenberg zaś utkwiał wzrok w jasno świecących punktach przed dziobem gwiazdolotu. Wiedział, że to Jowisz i Saturn – dwa gazowe olbrzymy, które już za miesiąc będzie miał okazję zobaczyć z bliska. To poprawiło mu humor.

ROZDZIAŁ 9

KSIEŻYCE JOWISZA

Hubert Zettenberg sprawdził raz jeszcze wszystkie koordynaty w głównym komputerze i zatwierdził kurs. Trajektoria musiała być obliczona niezwykle dokładnie. Gwiazdolot miał przez pierwsze dziewięćdziesiąt dni lotu nabierać prędkości do planowanego 0,94c i wykorzystać do tego pola grawitacyjne Jowisza i Saturna.

Minął miesiąc od startu i życie na pokładzie – przynajmniej na razie – płynęło leniwie, bez waśni i kłótni. Ludzie zdawali sobie sprawę, że spędzą razem ponad trzy lata i w ciągu tak długiego czasu na niewielkiej przestrzeni prędzej czy później dojdzie do konfliktów. Starali się jak mogli oddalić to, co było nieuniknione.

Hubert trzymał się na uboczu, zachowywał dystans. Nie uczestniczył w długich rozmowach astronautów o wszystkim i niczym, interesowały go tylko zagadnienia związane z misją. Nie spoufalał się z załogą. Po pierwsze, uważał, że dowódca powinien budzić szacunek i mieć autorytet, a trudno to osiągnąć na stopie koleżeńskej. Po drugie, i chyba ważniejsze, Hubert nie miał na to najmniejszej ochoty. Był typem samotnika. Kiedy nie pełnił dyżuru, zamykał się w swojej kajucie, czytał lub rozmyślał.

Często zastanawiał się, dlaczego wybrano właśnie jego? Dlaczego Karpowski nalegał, aby to on leciał? Wiedział, że byli lepsi kandydaci na stanowisko dowódcy *Marka Aureliusza*. Powinien zostać odrzucony choćby ze względu na swoją przeszłość. Rozwód z Miriam wpłynął na jego podejście do życia, wywołał niezdrowe emocje i spowodował, że stał się odludkiem. Gdyby on był na miejscu decydentów, nigdy by sam siebie nie wybrał. Aczkolwiek –

biorąc pod uwagę, że pomyślnie przeszedł wszelkie testy psychologiczne i fizyczne – być może jego atutem była właśnie samotność.

Miriam odeszła, rodzice dawno nie żyli, rodzeństwa nigdy nie miał. Na Ziemi nie pozostał nikt, za kim mógłby tęsknić, zatem istniało spore prawdopodobieństwo, że jego decyzje podczas ekspedycji będą obiektywne, a nie podyktowane emocjami i sentymentem. Czemu więc odczuwał dziwne zniechęcenie, smutek i nostalgię? Wypełniało go poczucie straty.

Spojrzał w iluminator, który emanował pastelowymi kolorami. Dominował blady szkarłat, żółć i delikatny brąz. Przechodzili właśnie przed tarczą Jowisza. Ten potężny kolos wydawał się na wyciągnięcie ręki, choć mijali go w odległości miliona kilometrów. Oszalał swoim majestatem, przytłaczał ogromem. Niemalże dwanaście razy większy od Ziemi i trzysta osiemnaście razy masywniejszy, mógł pomieścić w swoim wnętrzu wszystkie planety i księżycy Układu Słonecznego.

Wskutek niezwykle szybkiej rotacji globu chmury w górnych warstwach atmosfery układały się w widowiskowe pasma. Przesuwały się wzdłuż równika to w lewo, to w prawo, mając na przemian bielą i czerwienią. Tymczasem na samym równiku gnały na siebie wzajemnie oszalałe wiry gazu. Ale największe wrażenie robiła Wielka Czerwona Plama, antycyklon przekraczający rozmiarami Ziemię. Ta olbrzymia burza istniała już od co najmniej czterystu lat. Pierwsze wzmianki o plamie na Jowiszu pochodziły z tysiąc sześćset sześćdziesiątego czwartego roku, gdy spostrzegł ją astronom Robert Hooke.

Będąc dzieckiem, Hubert potrafił całymi godzinami gapić się w nocne niebo. Po kolacji wymykał się z domu na polanę i w otoczeniu alpejskich gór chłonał piękno kosmosu. Wówczas marzył o podróżach do gwiazd, wierzył, że kiedyś sam zostanie astronauta.

Teraz jego marzenie się spełniło.

Na dziesiąte urodziny dostał teleskop i wówczas obserwowanie nieba przerodziło się w pasję. Najbardziej lubił kierować obiektów właśnie na Jowisza – najciekawszy obiekt dla miłośników astronomii. Zawsze fascynowała go Wielka Czerwona Plama, od której nie mógł oderwać wzroku. Co prawda w ciągu ostatnich dwudziestu lat zmniejszyła się, zmianie uległa także intensywność jej barwy – z czerwonej w bardziej różową, co było związane z zasysaniem przez wir fosforu z dolnych warstw atmosfery – ale nadal wyglądała cudownie. Szczególnie teraz, gdy widział ją z tak bliska. Miał ochotę zanurkować w gęste chmury, zanurzyć się w tym gazowym olbrzymie i dotrzeć jak najniżej.

Jakież ciśnienie musiało tam panować? Jakże niegościnnie był ten gigant dla wszelkich przejawów życia? Tornada szalejące wśród chmur zbudowanych głównie z kryształów amoniaku i wodorosiarczanu amonu. Niszczycielskie i okrutne. Szkarłatne obłoki w niższych partiach atmosfery niezauważalnie przechodziły w ciekły wodór cząsteczkowy, przekształcając powierzchnię planety w nieskończony ocean. Tutaj Słońce było tylko mglistym wspomnieniem, odległą szansą na powstanie życia. Utraconą nadzieją.

Hubert dostrzegł niewielki, ciemny okrąg na tarczy Jowisza. To był cień rzucany przez Io, jeden z czterech księżyców galileuszowych, na które składały się jeszcze: Europa, Ganimedes i Callisto. Glob porany kraterami właśnie wylaniał się zza macierzystej planety. Nagle z jego powierzchni wystrzelił fontanną błękitu niezwykle pióropusz, trochę dalej jeszcze jeden, ale już mniejszy. Zapierający dech w piersiach widok. Sięgające sto kilometrów w górę erupcje wulkanów były stopionymi skałami złożonymi z bazaltu i siarki, wydostającymi się na powierzchnię. Powodem tak silnej aktywności wulkanicznej była bliskość Jowisza. Pole grawitacyjne planety

sprawiło, że Io poddawana była cyklicznemu rozciąganiu i zgniataniu. Dodatkowo oddziaływały na nią dwa inne masywne księżyce: Europa i Ganimedes.

Hubertowi trudno było określić barwę Io. Wyrzucana przez wulkany siarka nadawała powierzchni kolor żółty, pomarańczowy, czerwony, a nawet zielony. Ponadto dostrzec można było czarne, idealne kręgi utworzone przez materiał opadający wokół wulkanów. Widok księżycy nasuwał Zettenbergowi skojarzenia z włoską pizzą wyciągniętą prosto z pieca, na której znajdował się roztopiony ser, różnokolorowe papryki i czarne oliwki.

Dowódca *Marka Aureliusza* przeniósł spojrzenie na panel kontrolny. Kurs zgodny, system podtrzymywania życia działa poprawnie, stan osłon w normie, uszkodzeń brak. Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Oby tak do końca wyprawy, pomyślał Zettenberg, zerkając na zegar pokładowy. Zaraz powinien zjawić się Daniel Czarnecki, żeby go zmienić. Hubert postanowił trochę się przespać i wrócić do sterówki za kilka godzin. Wówczas będą przelatywać obok Europy. Za żadne skarby nie chciał tego przegapić.

Hubert przespał zaledwie cztery godziny i jeszcze do końca nierozbudzony, przecierając zaspane oczy, wszedł do sterówki. Nagle resztki snu błakające się pod powiekami zupełnie prysły, gdy zobaczył Daniela Czarneckiego pochylonego nad konsolą sterującą.

– Co pan wyprawia?! – krzyknął przerażony.

Wyglądało na to, że pilot przeprogramowuje koordynaty lotu, które zostały ustalone i nie powinny być w najbliższym czasie zmieniane. Zettenberga ogarnął paniczny strach. Czyżby Czarnecki usiłował sabotować wyprawę? Zaprzepaścić to, na co pracowały setki tysięcy osób zaangażowanych w projekt, pogrzebać nadzieję ludzkości?

Oczyrna wyobraźni widział już, jak *Marek Aureliusz* zbacza z kursu,

zmierzając prosto w stronę Jowisza. Przebija się przez pomarańczowo-brązowe piekło gęstych chmur i targany burzami schodzi coraz niżej i niżej w atmosferę gazowego olbrzyma, aż wreszcie zostaje zmiażdżony niczym puszka wrzucona do dezintegratora.

Czarnecki podniósł zdziwione spojrzenie znad konsoli.

– Nic – odparł. – Wszystko zgodnie z procedurą. *Marek Aureliusz* dokonał zwrotu o czterdzieści siedem stopni i teraz pędzimy prosto w stronę Saturna. Znacznie zwiększyliśmy prędkość. Wszystkie dane znajdzie pan w komputerze, komandorze.

Zettenberg przeniósł wzrok na trójwymiarową projekcję wykresów, tabel, wzorów i liczb. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Zerknął przez iluminator i spostrzegł, że gwiazdolot rzeczywiście oddała się od Jowisza. Odetchnął z ulgą. Lęk, jaki poczuł, widząc Czarneckiego manipulującego przy konsoli, wydawał mu się teraz irracjonalny.

– Ale dlaczego pan to robił? – spytał, nie mogąc się zupełnie pozbyć podejrzeń. – Przecież wszelkie zmiany kursu były zaprogramowane przez komputer i wyliczone co do sekundy.

– Coś nawaliło – rzekł Polak, marszcząc czoło. – Z pamięci komputera zniknęły wszystkie dane nawigacyjne. Musiałem natychmiast zareagować i ręcznie wprowadzić koordynaty.

– Jak to się mogło stać?

Daniel Czarnecki wzruszył ramionami.

– Awaria sprzętu? Uszkodzenie programów kompresujących? Przeciążenie pamięci? – zgadywał pilot. – Proszę wziąć pod uwagę, że czujniki *Marka Aureliusza* cały czas rejestrują dane, teleskopy zamontowane w kadłubie wykonują zdjęcia mijanych obiektów. Wszystko to jest przechowywane do późniejszych badań.

– Kiedy to się stało?

Pilot odszukał w rejestrze odpowiedni plik, chwilę mu się

przyglądał i pokręcił głową.

– Nie potrafię ustalić – stwierdził. – Ale mogło się to zdarzyć, gdy przechodziliśmy tuż obok Jowisza. Planeta jest silnym źródłem promieniowania radiowego ze względu na rozbudowaną magnetosferę.

– Sugeruje pan, że wybuchy radiowe zakłóciły pracę naszego komputera?

– Jest to jakieś wyjaśnienie...

– Ale przecież kadłub *Marka Aureliusza* jest ekranowany.

Czarnecki ponownie wzruszył ramionami.

– Cokolwiek to było, nie uda nam się ponownie tak precyzyjnie zaprogramować koordynat lotu na całą trasę.

Hubert zmarszczył czoło.

– Co to oznacza?

– Tylko tyle, że każdą sekwencję zmiany kursu będziemy musieli programować ręcznie. Zajmie to trochę więcej czasu i obliczeń, ale nie powinno stanowić problemu. – Daniel wyszczerzył w uśmiechu rząd białych zębów. – Właśnie po to tu jestem, komandorze.

Zettenberg usiadł w fotelu pierwszego pilota i przyglądał się przez chwilę Czarneckiemu, który sprawdzał odczyty czujników. Zastanawiał się, czy to, co Polak mówił, jest prawdą. Komandor miał podejrzenia, że jest okłamywany, a na pokładzie *Marka Aureliusza* dzieje się coś dziwnego. Niemal wyczuwał czające się gdzieś niebezpieczeństwo.

Przeniósł spojrzenie na iluminator. Potężna tarcza Jowisza powoli się przemieszczała i teraz widać ją było po lewej stronie. Hubert pogrążył się w rozmyślaniach. Nie dawała mu spokoju ta awaria. Dane nawigacyjne mogły zostać utracone faktycznie w wyniku przeciążenia pamięci lub promieniowania radiowego, ale równie dobrze mógł je wykasować któryś z członków załogi. W sumie każdy miał bezpośredni dostęp do sterówki. Czarnecki nie mógł ustalić

godziny zniknięcia danych z komputera, więc trudno było znaleźć winnego. A może nie chciał tego zrobić, bo miał coś do ukrycia? Czyżby on za tym stał?

Dowódca *Marka Aureliusza* pokręcił głową, próbując odsunąć od siebie ponure myśli, ale one cały czas kotłowały mu się w głowie. Dlaczego komuś miało zależeć na niepowodzeniu misji? Tylko szaleniectwo podjąłby się aktu sabotażu, bo przecież gdyby gwiazdolot zboczył z obranego kursu, w najlepszym wypadku trzeba byłoby przerwać lot, w najgorszym zaś statek przepadłby w pustce kosmosu, a załoga zginęła, nie mogąc liczyć na pomoc z Ziemi.

Hubert zdawał sobie sprawę, że wyprawa miała wielu wrogów, którzy uczyniliby wszystko, żeby zakończyła się niepowodzeniem. Zettenberg jednak nie wierzył, że wśród członków jego załogi był ktoś taki. Wszyscy zostali odpowiednio wyselekcjonowani i prześwietleni przez służby bezpieczeństwa.

Ponadto zdążył już trochę poznać swoich podkomendnych i wątpił, że któryś z nich mógłby posunąć się do takiego czynu. Wyglądało na to, że była to zwykła awaria komputera. Uspokojony tą myślą oparł się wygodnie w fotelu.

– Wszystko w porządku – zaraportował Czarnecki.

Hubert podziękował skinięciem głowy.

– Może pan już opuścić stanowisko, poruczniku. Ja przejmuję wachtę.

Mimo że członkowie załogi mówili sobie po imieniu, Zettenberg postanowił zwracać się do nich bardziej oficjalnie i tego samego wymagał w stosunku do siebie.

– Dziękuję, komandorze – rzekł pilot i usiadł w drugim fotelu, nonszalancko zarzucając nogi na pulpit. – Ale jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, zostanę. Ominął mnie widok Io, to chociaż zobaczę Europę.

Spoglądali przez iluminator w kierunku oddalającego się coraz

szybciej potężnego Jowisza. Nazwany imieniem mitologicznego bóstwa, najwyższego władcy nieba i ziemi, ojca bogów, w pełni zasługiwał na swoje miano. Największy glob w Układzie Słonecznym dzięki oddziaływaniu grawitacyjnemu stabilizuje planetoidy, przechwytuje komety mogące zagrażać planetom wewnętrznym układu i chroni Ziemię przed impaktorami z obłoku Oorta. Jest niczym bóg-ojciec chroniący swoje dzieci.

Io dawno już zniknęła i *Marek Aureliusz* zbliżał się do Europy. Hubert z utęsknieniem oczekiwał tego legendarnego globu. W pamięci miał liczne opowieści astronautów, którzy mieli okazję go oglądać. Twierdzili, że powierzchnia księżycy jest niesamowita. Teraz Hubert miał się o tym przekonać na własne oczy, choć był lekko rozczarowany, że nie przeżyje tej chwili w samotności.

Spojrzał na towarzysza, który czasem drażnił go swoją bezpośredniością. Porucznik był bardzo towarzyski, nie krępował się niczym, rzucał mało wybredne uwagi i żarty. Mimo tego Zettenberg go lubił, uważając Daniela za dobrego ducha wyprawy. Jego błazeństwa wiele razy rozładowały atmosferę, a poza tym, mimo zaledwie dwudziestu pięciu lat, był doskonałym pilotem.

Siedzieli w milczeniu. Czarnecki instynktownie wyczuwał, że popełniłby świętokradztwo, przerywając ten czas oczekiwania jakimkolwiek komentarzem. W tej jednej chwili dwóch różniących się od siebie mentalnie i wiekowo mężczyzn połączyło swoje myśli we wspólnej kontemplacji kosmosu.

Najmniejszy z galileuszowych księżyców oczarował Zettenberga. Wywierał niesłychane wrażenie, chociaż glob był dwukrotnie mniejszy niż Io, a *Marek Aureliusz* mijał go w znacznej odległości.

Dalekie Słońce anemicznie oświetlało Europę, nadając jej kremową barwę. Na jej powierzchni można było dostrzec nieregularne linie przecinające cały glob – sięgające stu kilometrów w głąb potężne rozpadliny. Powierzchnię księżycy w całości

pokrywa pękająca lodowa skorupa, która wygląda, jakby została zaorana przez potężne buldożery. W powstałych szczelinach pojawia się ciemniejszy materiał – sole i uwodniony kwas siarkowy. Pod powierzchnią księżycy rozciąga się ocean, mroczny i ciemny, gdyż promienie słońca nie znajdują tam drogi.

Jakaś magiczna siła przyciągała ich do tego miejsca. Hipnotyzowało niepokojącym urokiem. Hubert poczuł nieodpartą chęć zmiany kursu i wylądowania wśród mroźnej antarktycznej aury. Na Antarktyce jednak jest cieplej, a pęknięcia w lodzie są tam o wiele, wiele płytsze. Skuta lodem powierzchnia Europy oszałamiała swoim upiornym, a równocześnie fascynującym krajobrazem.

Podświadomie czuł, że tam, pod grubą warstwą lodu, kryje się życie. Być może prymitywne, oparte na jednokomórkowych bakteriach. Hipotezy naukowe sugerowały, że pierwsze żywe istoty pojawiły się nie w zbiornikach powierzchniowych, ale właśnie w podobnym środowisku jak na Europie. Jeśli w takim miejscu możliwe jest powstanie życia, co zastaniemy w Alfie Centauri? – pomyślał z nadzieją Hubert.

Zettenberg i Czarnecki spoglądali, jak Europa powoli znika za tarczą Jowisza. Lecz nawet gdy schowała się już zupełnie za gazowym gigantem, jej czar nie przysł.

Siedzieli w milczeniu jeszcze kilka minut. Pierwszy doszedł do siebie Daniel.

– Teraz mogę iść spać.

– Dobranoc.

Polak opuścił sterówkę, a Hubert jeszcze długo wpatrywał się w oddalającego się Jowisza. Żałował, że nie było mu dane ujrzeć schowanych po drugiej stronie planety Ganimedesa, największego naturalnego satelity w Układzie Słonecznym, i usianej kraterami Callisto.

Co prawda *Marek Aureliusz* mijał w niewielkiej odległości kilka

innych księżyców, ale były to niewarte uwagi maleństwa, mające zaledwie kilka kilometrów średnicy. Za dwa tygodnie gwiazdolot przeleci obok Saturna i będzie można ujrzeć z bliska jego niezwykle pierścienie. Zettenberg już teraz cieszył się na to wydarzenie.

ROZDZIAŁ 10

PIERŚCIENIE SATURNA

– Pomyśl, Danielu. Czy naprawdę wierzysz, że to wszystko, co nas otacza, jest wynikiem przypadkowego uderzenia atomu o atom? Twierdzisz, że istnienie wszechświata to zbieg okoliczności? Fenomen? Nie! Moim zdaniem gdzieś musi być przyczyna, owo biblijne Słowo, które dało życie i spowodowało trwanie.

Teodor Meyer powoli się rozkręcał. Najstarszy, liczący pięćdziesiąt trzy lata członek załogi był praktykującym katolikiem i potrafił z pasją bronić swoich racji. W dyskusjach z młodym Polakiem często sięgał po arsenał najtwardszych argumentów. Czarnecki jako jedyny podejmował kilkugodzinne polemiki. Zazwyczaj ich rozmowy były bezproduktywne i każdy z nich pozostawał przy swoim stanowisku, ale owe bitwy na argumenty stały się doskonałą rozrywką w czasie wolnym od służby. – Siedzieli w mesie sami, bowiem pozostali członkowie załogi po skończonym posiłku rozeszli się do swoich zajęć. Na początku lotu jeszcze siadali i przysłuchiwali się długim dyskusjom, czasami nawet zajmowali stanowisko, popierając jedną bądź drugą stronę, ale wreszcie im się znudziło. Ile razy można słuchać tych samych wywodów, wszystkich za i przeciw, argumentów i kontrargumentów? Tydzień temu Sina określiła ich słowne potyczki jako intelektualny fitness i obaj musieli przyznać jej rację. Wydawało się, że ich sprzeczki były formą zabawy i pewnego rodzaju ćwiczeniem umysłowym.

– Zatem uparcie twierdzisz, że istnieje ktoś, jakaś nadprzyrodzona istota, która zabawia się w Megaarchitekta i Wielkiego Budowniczego? – Daniel odsunął od siebie pustą już tacę. – Chcesz

mi wmówić, że począwszy od Wielkiego Wybuchu i pierwotnej plazmy, poprzez powstanie galaktyk, gwiazd, Układu Słonecznego, a w nim naszej planety, aż po przekształcenia chemiczne i geologiczne Ziemi i ewolucję, wszystko zdarzyło się po to, żeby mógł pojawić się człowiek?

Zamilkł na chwilę, lekko unosząc brew. Meyer otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, ale Daniel go ubiegł.

– Wyobraź sobie, że jeśli czas istnienia Ziemi, od jej początków do dnia dzisiejszego, to dwadzieścia cztery godziny, rodzaj ludzki pojawił się zaledwie dwie sekundy temu! Wydaje ci się, że nieskończony wszechświat, zawierający niewyobrażalną ilość materii, zaistniał wyłącznie po to, żeby na małej drobinie kosmosu, pyłku zagubionym w przeogromnej przestrzeni, mogła pojawić się istota ludzka i chwalić Pana?!

– Tak! – odpowiedział Meyer.

– Nie! To by oznaczało zwykłą stratę energii i czasu. Niezgodną z logiką i nazbyt skomplikowaną. Przecież łatwiej Bogu byłoby stworzyć małą planetkę pod kloszem w Pokoju Niebiańskim.

– Niezbadane są wyroki boskie! Widocznie jest w tym jakiś plan.

– Plan?! Powiedz mi, jak objawia się ten twój plan? Teodorze, jesteś inteligentnym facetem. Jako astrofizyk specjalizowałeś się też w innych gałęziach nauki, jak choćby geologia. Spójrz na to jak naukowiec. Twierdzisz, że życie ludzkie jest wyróżnieniem, ja zaś, że normą. – Uśmiechnął się ironicznie. – A ponoć są i tacy, co uważają je za wynaturzenie. Jeśli mają rację, w dziele tworzenia pojawił się błąd i powstało coś, co nie powinno było się zdarzyć. Wyewoluował rodzaj ludzki. Mielibyśmy więc do czynienia z Bogiem ułomnym.

– Ależ...

– Poczekaj... Powiedz mi, dlaczego Stwórca nie powtórzył swojego dzieła?

– Bo...

– Odpowiem za ciebie – Daniel znowu wszedł w słowo Meyerowi. – Nie uczynił tego, gdyż nie jest tak potężny, jakim chciałbyś go widzieć, ergo możemy o nim mówić jedynie jako o twórcy, i to nieumyślnym.

Siwowłosa mężczyzna wziął głęboki oddech.

– Jak wspomniałeś, jestem astrofizykiem i z racji tego potrafię dostrzec, jak cudownie schematyczna, synchroniczna i przemyślana jest budowa wszechświata. Wbrew pozorom nie ma tu miejsca dla chaosu. Wszystko jest idealnie zaprogramowane i wprawione w ruch. Spójrz choćby na regułę Titiusa–Bodego, okazuje się, że kwantowane są odległości planet, galaktyk, łańcuch dna. Coś w tym jest. Moim zdaniem zamysł boży.

– I to ma być dowód na istnienie Boga? – prychnął Czarnecki.

– Poniekąd tak – odparł Meyer. – Nic nie porusza się, dopóki nie zostanie poruszone. Ktoś ten świat musiał ruszyć z miejsca. Nic nie dzieje się samo przez siebie. Każde zdarzenie ma jakąś poprzedzającą je przyczynę. Coś musiało być pierwszą przyczyną. Istniał taki czas, gdy nie istniały żadne rzeczy, żadne obiekty fizyczne, a przecież dziś istnieją, więc musiało istnieć coś niefizycznego, co powołało je do istnienia. I to coś nazywamy Bogiem.

– Tomasz z Akwinu i jego dowody – prychnął Czarnecki. – Już je kiedyś słyszałem. Wszystkie odwołują się do procedury *regressus ad infinitum*. Odpowiedź na pytanie wywołuje kolejne pytanie i tak w kółko. Jak zatem uzasadnisz, że sam Bóg jest odporny na analogiczną procedurę? Powiedz mi, jak on sam zaistniał?

– Bóg jest wszechmocny i wszechwiedzący – rzekł poważnie Teodor Meyer.

– Czyżby? – Daniel się roześmiał. – Wszechmoc i wszechwiedza to przymioty wzajemnie się wykluczające. Jeśli Bóg jest

wszechwiedzący, to z góry będzie wiedział o swoim zamiarze skorzystania z wszechmocy, żeby zmienić bieg wydarzeń.

Wówczas już nie może zmienić zdania i powstrzymać się od działania, co przeczy jego wszechmocy. To paradoks!

– Musi istnieć jakiś byt, który powołał nas do życia i nad nami czuwa.

– Czuwa? – Czarnecki skrzywił usta. – To powiedz mi, gdzie jest twój Bóg teraz, kiedy Ziemi grozi przeludnienie? Wyczerpanie zasobów naturalnych? Może by tak kiwnął palcem i nam pomógł, co? A tu znikąd pomocy i sami musimy lecieć tryliony kilometrów w nadziei, że zdołamy ocalić naszą rasę.

– Ta planeta to właśnie dar boży. Chyba nie sądziłeś, że otrzymamy wszystko podane na tacy. Musimy podjąć pewien wysiłek, żeby zasłużyć sobie na łaskę. Musimy pokazać, że jesteśmy godni.

– To On tego nie wie? – Daniel wzniósł ironicznie brew. – Myślałem, że Bóg jest wszechwiedzący i wszechmocny! Powinien zajrzeć w nasze dusze, serca, umysły i sprawdzić, jacy jesteśmy, a nie testować. Jeśli wszystko wie i kształtuje przyszłe wydarzenia oraz losy ludzkie, po co mamy się starać? Przecież i tak wszystko jest już zapisane, z góry wiadome. Jeśli zaś możemy sami kształtować ścieżkę wydarzeń i On nie ma na to wpływu, to niestety nie możemy nazwać tej istoty Bogiem. Kolejny paradoks.

– Nie rozumiesz szansy danej nam przez Boga, jego łaski...

– Nie wierzę w żadną łaskę. Nie wierzę w żadne moce, w nic, czego nie mogę dotknąć i zbadać.

– Jesteś zatwardziałym ateistą! – warknął zrezygnowany Teodor. – Nie sposób ci niczego wytłumaczyć.

Idąc do sterówki, Hubert spotkał Yakę Mashari zmierzającą do laboratorium, gdzie z Siną Finderman badały substancje chemiczne w warunkach ciągłego przyspieszenia. Jej orientalna twarz była pełna smutku, cienie pod oczami świadczyły, że ostatnio dobrze nie

spała. Zettenberg przypomniał sobie, że podczas dzisiejszego posiłku kobieta prawie nie tknęła drugiego dania, nie zamieniła z nikim słowa i wydawała się pogrążona we własnych myślach. Chwycił ją za ramię.

– Proszę poczekać.

Japonka spojrzała na niego zdziwiona. W pierwszej chwili Hubert chciał ją puścić i przeprosić, bowiem nie lubił wtrącać się w sprawy innych, ale zaraz sobie uświadomił, że jest dowódcą statku i musi wiedzieć, co dzieje się z członkami załogi. Od tego zależało bezpieczeństwo wyprawy.

– Widzę, że coś panią trapi.

– Nie, komandorze – odparła cicho, spuszczając wzrok. – Wszystko w porządku.

Zettenberg nadal trzymał jej ramię.

– Od jakiegoś czasu jest pani nieobecna i smutniejsza niż zwykle.

– Proszę mi wybaczyć. Nic mi nie jest. Po prostu... to ostatnie pożegnanie.

Nagle Hubert zrozumiał, czym się martwiła. Komunikacja z Ziemią stawała się coraz bardziej zawodna, a już za orbitą Neptuna sygnały radiowe całkiem zanikną. Każdy członek załogi posiadał zamontowany w kabinie prywatny komunikator, ale nie dość, że pojawiały się zakłócenia, to jeszcze opóźnienie spowodowane odległością praktycznie uniemożliwiało swobodną wymianę zdań. Yaka często rozmawiała ze swoimi bliskimi, Hubert wręcz przeciwnie – w ogóle tego nie robił. Nie miał na Ziemi nikogo, za kim mógłby tęsknić. Wyglądało na to, że Mashari miała.

– Jestem trochę przerażona – wydukała, nie patrząc Zettenbergowi w oczy. – Dotychczas najdalej byłam na Księżycu. Nie minęły dwa miesiące, a ja już chciałabym wrócić na Ziemię. Wiem, że to głupie.

– Wcale nie – odparł łagodnie. – To normalne emocje. Wszyscy coś pozostawiamy za sobą – skłamał.

– Chce mnie pan podnieść na duchu?

– To prawda.

Roześmiali się.

– To ktoś ważny? – spytał po chwili Zettenberg.

– Słucham?

Yaka spojrzała w zdziwieniu na komandora, lecz zaraz się zorientowała, o co mu chodziło, i potrząsnęła głową.

– Skądże! Gdybym kogoś miała, tobym nigdy się nie zdecydowała na wzięcie udziału w ekspedycji.

Zamilkła na chwilę.

– Rodzice. Nie wiem, czy ich jeszcze zobaczę.

– Rozumiem.

Podróż *Marka Aureliusza* będzie trwała ponad trzy lata, jednak na Ziemi minie ich jedenaście. Jeśli rodzice Mashari byli w podeszłym wieku, to po powrocie mogła ich już nie zastać wśród żywych.

– Ten lot to dla mnie szansa dokonania czegoś ważnego w życiu. Spełniło się moje marzenie, a ja narzekam, zachowując się jak idiotka.

– Proszę o sobie tak nie myśleć – rzekł Hubert. – Żałuje pani, że poleciała?

– A nawet jeśli? – Skrzywiła się. – Teraz już nie ma odwrotu.

Zettenberg skinął głową. Teraz już nikt nie mógł się wycofać.

– Proszę się nie martwić, komandorze, nic mi nie będzie. – Yaka spojrzała ciepło na Zettenberga. – Jakoś sobie z tym poradzę, wszystko poukładam.

Uwolnił jej ramię.

– Gdyby czegoś pani potrzebowała...

– Tak, wiem. – Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. – Dziękuję za troskę.

Kobieta ruszyła w stronę laboratorium. Hubert zmarszczył brwi. Wcale nie był przekonany, że Mashari sobie poradzi. Sprawiała

wrażenie osoby zagubionej, potrzebującej wsparcia. To był dopiero początek wyprawy, czekał ich jeszcze ponad rok podróży poprzez czarną otchłań kosmosu. Zettenberg wiedział z własnego doświadczenia, że nawet kilkutygodniowe misje mogły dać się we znaki i położyć cieniem na ludzkiej psychice. Niejednokrotnie był świadkiem, jak podczas lotów na Marsa nie wytrzymywali najwięksi twardziele i pomimo specjalnego szkolenia oraz wykazanych na testach predyspozycji psychicznych z pewnych siebie astronautów stawali się roztrzęsionymi, znerwicowanymi strzępami ludzkimi.

Hubert był pełen obaw co do tego, jak ten lot będzie wyglądał i czy załoga wytrzyma go pod względem psychicznym. Wyglądało na to, że Yaka Mashari już na początku wykazywała objawy załamania nerwowego.

Postanowił na razie się tym nie martwić i poczekać, jak rozwinie się sytuacja. Na pokładzie znajdował się przecież wykwalifikowany psycholog i najwyższej Angelika Sorono się tym zajmie.

Ruszył w stronę sterówki.

Gdy Zettenberg wszedł do pomieszczenia, przed pulpitem sterowniczym siedział Borys Łuszczak i wprowadzał nowe koordynaty nawigacyjne, które od czasu awarii komputera trzeba było nanosić ręcznie. Huberta zawsze dziwiło, że przy tak masywnej budowie ciała Rosjanin porusza się tak zwinnie. W ciasnych wnętrzach *Marka Aureliusza* przemykał jak kot, kiedy inni niezgrabnie potrącali się i wpadali na siebie.

Łuszczak był łagodnym człowiekiem, zawsze służącym pomocą, ale w oczach Huberta wydawał się drapieżnym tygrysem zamkniętym w niewielkiej klatce, jaką był statek kosmiczny. To irracjonalne wrażenie towarzyszyło Zettenbergowi niemal od startu i zastanawiał się, na ile Rosjanin naprawdę jest oazą spokoju, opanowania oraz uosobieniem dobroci, a na ile jest to tylko maska.

Hubert uświadomił sobie, że choć zdążył poznać członków załogi i

znał ich cechy osobowości, zdolności, umiejętności zawodowe – na podstawie testów, jakie przechodzili w ośrodku szkoleniowym, a do których miał dostęp jako dowódca wyprawy – to tak naprawdę nic więcej o nich nie wiedział. Jakie były ich cele życiowe, motywacja, jakimi tak naprawdę byli ludźmi na gruncie prywatnym. Dopiero prawdziwe życie miało to pokazać.

W ośrodku szkoleniowym spędzili ze sobą kilka miesięcy i choć zgrali się jako zespół, to nie można było powiedzieć, że narodziły się między nimi więzi przyjaźni. Wiedzieli, że spędzą ze sobą trzy lata w zamkniętej przestrzeni i będą mieli na to dużo czasu.

Z upływem każdego kolejnego miesiąca zaczęły się również konflikty i problemy. Pojawiały się antypatie i do głosu dojdą najgorsze ludzkie cechy. Któryś z członków załogi może w złości zrobić coś głupiego, a tutaj, w zamkniętej przestrzeni statku mknącego z prędkością podświetlną, może to być katastrofalne w skutkach. Dlatego Hubert jako dowódca gwiazdolotu powinien lepiej poznać swoich podwładnych, żeby móc w odpowiednim momencie zneutralizować niebezpieczeństwo.

Jednocześnie nie chciał się spoufalać, nie pragnął zacieśnienia więzi, a tylko to pozwalało na lepsze poznanie drugiego człowieka. Zettenberg pragnął pozostać w swojej wieży z kości słoniowej, ale przy tym sprawować nad wszystkim kontrolę. Wiedział, że to niemożliwe. Musiał się zaangażować w życie załogi, okazać więcej empatii, być dla nich bardziej przyjacielem, a nie rygorystycznym dowódcą. A tego na razie nie potrafił przeskoczyć.

– Ostatni zwrot, komandorze! – Łuszczak uśmiechnął się do Huberta. – Teraz prosto do Alfy Centauri.

Zettenberg spoglądał podejrzliwie na Łuszczaka, którego palce sprawnie śmigały po panelu nawigacyjnym, i zastanawiał się, co by się stało, gdyby Borys wpadł w szal i usiłował zniszczyć statek? Czy ktokolwiek mógł powstrzymać potężnego Rosjanina?

– Dziękuję. – Skinął głową i przeniósł spojrzenie na iluminator, postanawiając odpędzić od siebie ponure myśli.

Ujrzał Saturna. Drugi pod względem wielkości glob w Układzie Słonecznym był potężnym i majestatycznym gazowym olbrzymem, spłaszczonym nieco na biegunach w wyniku szybkiej rotacji planety. W strefach równikowych widoczne były żółte, lekko rozmyte pasy. Jednakże to nie ogrom Saturna, jego dziwne spłaszczenie ani pastelowe kolory zrobiły największe wrażenie na Hubercie, lecz niesamowite pierścienie.

Marek Aureliusz znajdował się trochę poniżej tej kosmicznej ekspozycji i można było dojrzeć, jak w zwartej formacji szybują otaczające planetę olbrzymie ilości skał. Były tam zarówno drobne kryształki lodu, jak i kamienne bloki o średnicy prawie kilometra. Ich zsynchronizowany, pełen majestatu ruch przywodził na myśl taniec w odwiecznym rytmie kosmicznego walca.

Siedem głównych pierścieni, z których żaden nie przekraczał grubością nawet jednego kilometra, oddzielonych było od siebie przerwami. Najszersza z nich nosiła nazwę przerwy Cassiniego. Powstała dzięki polu grawitacyjnemu księżycy Mimas, które, można powiedzieć, wymiotło materię z tego obszaru. Hubert spojrzął na mieniącego się srebrem sprawcę zamieszania. Na jego powierzchni dostrzegł olbrzymi krater o nazwie Herschel, mający średnicę stu trzydziestu kilometrów, co było trzecią częścią całego obiektu. Zettenberg przypomniał sobie stary film, który oglądał, będąc jeszcze dzieckiem, *Gwiezdne wojny*. Pojawiła się w nim stacja bojowa wybudowana przez złego Imperatora, kształtem przypominająca właśnie Mimasę. To tam znajdował się superlaser mający moc niszczenia całych planet. W głębokim na dziesięć tysięcy metrów kraterze księżycy na pewno nie znajdowała się żadna niszczyielska broń, za to z całą pewnością na każdego, kto zapuściłby się na jego dno, czekała mroźna i niegościnna ciemność.

Zza tarczy Saturna wyłonił się, otoczony matowo szkarłatną warstwą mgły, największy księżyc planety – Tytan. Jeden z niewielu naturalnych satelitów w Układzie Słonecznym posiadających własną atmosferę. W projektach terraformingu Tytan był poważnie brany pod uwagę właśnie dzięki swojej gęstej, złożonej głównie z azotu i metanu atmosferze, a także występującej na jego powierzchni zamarzniętej wodzie. Przedsięwzięcie jednak oceniono jako nieekonomiczne ze względu na zbyt dużą odległość od Ziemi.

Marek Aureliusz, opuszczając pole grawitacyjne Saturna, mijał jeszcze dwa najbardziej odległe księżyce planety. Pierwszym z nich był niewielki, pokryty kraterami Japet. Hubert dostrzegł zjawisko, o którym dotąd tylko słyszał. Półkula księżycy zwrócona w kierunku ruchu orbitalnego była dziesięciokrotnie ciemniejsza od swojej odpowiedniczki. Glob zawsze zwracał się tylko jedną stroną w kierunku macierzystej planety i przez to sprawiał wrażenie, jakby przedzierał się przez obłok ciemnej materii, która nie wiadomo jakim sposobem opadła na jego przednią półkulę.

Drugim zaś księżycem był bardzo ciemny, obiegający Saturna ruchem wstecznym Febe. Ten niewielki, liczący zaledwie dwieście kilometrów średnicy glob był prawdopodobnie jądrem starej komety uwięzionej w polu grawitacyjnym olbrzymiej planety.

Marek Aureliusz właśnie dzięki owemu polu, niczym pocisk wystrzelony z procy, pomknął w mrok przestrzeni międzygwiazdnej.

ROZDZIAŁ II

WIADOMOŚCI Z ZIEMI

Zettenberg obudził się, stwierdzając, że na pokładzie *Marka Aureliusza* nadal panuje pora nocna. Spojrzał na zegar pokładowy i westchnął ciężko. Znowu spał jedynie trzy godziny. To o wiele za mało, żeby zachować odpowiednią kondycję psychofizyczną. Hubert jako dowódca wyprawy musiał być zawsze w dobrej formie. Nie chciał pojawiać się na codziennej odprawie zmęczony, z podkrążonymi oczami, bo według jego mniemania mogło to podważyć autorytet dowódcy. Jeszcze przez chwilę leżał na koi, wierząc, że może uda mu się zasnąć, ale nic z tego. Tutaj, daleko od Ziemi, jego organizm przestawił się na zupełnie inny rytm. Chociaż Zettenberg już niejednokrotnie przebywał w przestrzeni kosmicznej, to jeszcze nigdy nie był w niej tak długo. Powoli zaczęła przytłaczać go ta wielka, czarna pustka, przez którą mknął *Marek Aureliusz*. A to był dopiero początek wyprawy.

W końcu stwierdził, że nie ma sensu tak leżeć i rozmyślać. Wstał, ubrał się i ruszył na obchód statku. Dokonał inspekcji wszystkich sekcji modułu mieszkalnego i przeszedł do części magazynowej. Sprawdził szczelność pojemników z wodą i kontenerów tlenowych. Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Zlustrował pomieszczenia z robotami cybernetycznymi, sondami i ładownikiem. Tu też nie znalazł żadnych uchybień.

Zettenberg miał jeszcze trochę czasu do swojej wachty i postanowił coś zjeść. Udał się do mesy, ale niestety o tej godzinie nie mógł liczyć na świeży posiłek z wyhodowanych na statku warzyw i owoców, więc pobrał z dystrybutora żywności opakowanie

lioofilizatów. Usiadł przy stole, rozerwał półelastyczną folię i spojrzął z niechęcią na tackę przypominającą paletę malarską. Nie wyglądało apetycznie. Ujął plastikowy widelec i zaczął jeść, mieszając od czasu do czasu kolorowe papki. Nic to jednak nie dało. Posiłek wcale lepiej nie smakował. Po kilkunastu minutach skrzywił się i odsunął od siebie tackę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić do kajuty i spróbować zasnąć jeszcze na godzinę, ale stwierdził, że to mu się nie opłaca. Wrzucił niedojedzony posiłek do dezintegratora i poszedł do sterówki.

Tutaj dyżur pełnił Daniel Czarnecki, który oglądał jakiś film na projektorze holowizyjnym. Nie wysiłał się nawet, żeby spojrzeć od czasu do czasu na pulpit kontrolny, bowiem w razie jakichś niezgodności komputer powinien dać znać głośnym sygnałem alarmowym. Każda wachta wyglądała tak samo: była nudna, nużąca i nic tak naprawdę się nie działo. Rutyna. Zettenberg zastanawiał się nawet, czy nie odwołać dyżurów, ale ostatecznie stwierdził, że to w jakiś sposób pozwala na zachowanie dyscypliny.

Hubert uśmiechnął się. Współcześni astronauta w niczym nie przypominali tych sprzed stu lat. Wówczas wybierano zdobywców kosmosu ze względu na ich charyzmę, odwagę i umiejętności pilotażu. Musieli to być piloci testowi – takie były wymagania. Preferowano więc twardego facetów, jak to się zwykło mówić: z jajami, których codzienna praca polegała na biciu rekordów wysokości, pokonywaniu barier dźwięku i wyciskaniu wszystkiego z maszyn o kruchej konstrukcji.

Koniecznym warunkiem była odporność psychiczna ze względu na trudne warunki, w jakich przyszło im latać w przestrzeń, oraz umiejętność radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi, bo wówczas często dochodziło do niespodziewanych awarii.

Jednakże z każdą kolejną misją eksploracja kosmosu stawała się

coraz bezpieczniejsza, loty wahadłowców nie były już wielką przygodą, stały się rutynowe i w co trudno uwierzyć, po prostu nudne. Hubert odbył dziesiątki podróży w przestrzeni kosmicznej, podczas których nic się nie działo. Czytał wówczas książki, oglądał filmy, próbując zabić czas. Potrzebny był tylko podczas lądowania lub manewrów cumowania.

W kosmos zaczęli latać specjaliści z różnych dziedzin nauki:

lekarze, biolodzy, geolodzy, którzy przeprowadzali eksperymenty w stanie nieważkości, wykonywali badania, pobierali próbki. Wśród załogantów pojawili się również inżynierowie instalujący satelity komunikacyjne, orbitujące laboratoria i przeprowadzający różnorakie naprawy na stacjach.

Piloci zajmowali się jedynie kontrolą lotu, a że z każdym rokiem produkowano coraz lepsze wahadłowce, coraz bardziej zautomatyzowane, to mieli coraz mniej pracy. I dlatego teraz to specjaliści dominowali liczebnie podczas kosmicznych misji, a piloci tacy jak Hubert powoli stawali się przeżytkiem, niepotrzebnym balastem.

Preferowanymi cechami u astronautów przestały być odwaga, brawura i męskość, a stały się nimi umiejętność nawiązywania kontaktów, empatia, komunikatywność, zdolność do działania zespołowego i adaptacji w nowych warunkach. Sto lat temu agresywność i arogancja były zaletami, teraz zaś stały się wadami. Asertywność obecnie musiała być odpowiednia do sytuacji, elastyczna, a podejmowanie ryzyka podyktowane rozumem, a nie emocjami.

Jednakże podróże kosmiczne do końca nie były sielanką. Nawet loty orbitalne niosły ze sobą spore niebezpieczeństwa i dlatego spis pożądanych cech astronauty zawierał również zdolność do funkcjonowania w obliczu zagrożenia.

Zettenberg przypomniał sobie szkolenie, jakie przechodzili w

obozie treningowym na jednej z japońskich wysp, ukrytej przed światem, a przede wszystkim wścibskimi reporterami. Uczyli się ewakuacji z płonących kapsuł, tonących wahadłowców, a wszystko to w prawdziwych warunkach bez użycia symulatorów.

Pamiętał też, jak trzydziestu wybranych kandydatów w celu ostatecznej selekcji zamknięto na miesiąc w pomieszczeniu symulującym wnętrze *Marka Aureliusza* i poddawano testom, które cały czas monitorowały kamery. Wszystkie czynności, rozmowy, reakcje poddawane były gruntownej analizie przez sztab psychologów, psychiatrów, socjologów. Kandydaci wykonywali absurdalne zadania – jak składanie origami mające pokazać, czy potrafią być cierpliwi, wspólne budowanie z klocków twierdzy określające ich zdolności współpracy, a nawet malowanie przy użyciu kolorowych kredek siebie i swoich towarzyszy.

Dopiero potem Hubert dowiedział się, że analizowano nawet to, co jedli i jak składali naczynia po skończonym posiłku. Trudno się dziwić. Wyselekcjonowana ósemka miała z sobą spędzić trzy lata. Zdolność do współpracy, umiejętności interpersonalne i dobra kondycja psychiczna były zatem niezbędne. Od tego zależało powodzenie misji. Każdy członek załogi stanowił ogniwo łańcucha, a gdy jedno z nich zawiedzie, to cała konstrukcja pęknie. Komandor miał nadzieję, że nic takiego nie zdarzy się na *Marku Aureliusz*.

– Poruczniku – rzekł do Czarneckiego – możecie odejść. Przejmuję wachtę.

Polak zerknął na zegar, potem na komandora i w zdziwieniu uniósł brwi.

– Do pana zmiany jest jeszcze godzina.

– I tak nie mogę spać.

– Przeszkadza panu szum silników? – zapytał Daniel. – Już niedługo *Marek Aureliusz* osiągnie odpowiednią prędkość, odrzucimy ostatni człon zestawu startowego i zrobi się cicho. – Pilot wykrzywił

groteskowo twarz i dodał szeptem: – Cicho niczym w grobie.

Zettenberg roześmiał się.

– A nasz statek będzie trumną? To chce pan powiedzieć?

Czarnecki wzruszył ramionami. Po chwili jednak spowaźniał i przeniósł spojrzenie na iluminator, gdzie widoczny był aksamit czerni usiany gwiazdami.

– Kto wie co nas tam czeka.

Hubert podążył za wzrokiem Daniela i poczuł przebiegające po plecach ciarki. Nagle przytłoczył go ogrom kosmosu, zrozumiał, jak kruchymi istotami są ludzie, którzy śmieli w żelaznej łupinie wypuścić się na ten niezgłębiony ocean czerni. Czy mogą egzystować poza kolebką, jaką jest Ziemia? Wydrzeć tajemnice wszechświata, poznać jego naturę i przeżyć? W tej chwili ta cała wyprawa wydawała się Zettenbergowi absurdem i po raz pierwszy poczuł tęsknotę za promieniami Słońca, które były teraz tylko odległym wspomnieniem.

Próbował wzrokiem odnaleźć najbliższe gwiazdolotu ciało niebieskie, jakim był Uran, którego orbitę niedawno przecięli. Planeta jednak była słabo widoczna, bo dopiero zmierzała w ich stronę i teraz oddalona była o setki tysięcy kilometrów. Jednakże przez iluminator można było dostrzec tego gazowo-lodowego olbrzyma lśniącego cyjanowym blaskiem.

W całym systemie trudno znaleźć glob tak niezwykły. Oś obrotu Urana znajduje się niemal w płaszczyźnie Układu Słonecznego, co skutkuje zmianami pór roku całkowicie odmiennymi od zachodzących na innych planetach. W czasie przesilenia jeden biegun zwrócony jest w kierunku Słońca, które znajduje się wówczas tam w zenicie. Na drugiej półkuli natomiast przez czterdzieści dwa lata trwa noc polarna. Muszą tam panować egipskie ciemności, pomyślał Hubert.

Uran od wieków uważano za bardzo tajemniczy glob. W astrologii

symbolizował potrzebę odkryć, łamanie barier, zmiany status quo. Zettenberg uśmiechnął się do swoich myśli. Nigdy nie wierzył w horoskopy i wróżby, ale tym razem chciał wierzyć, że Uran patronuje ich wyprawie i doprowadzi do szczęśliwego końca.

– Przekazuję panu wachtę – rzekł Czarnecki, podnosząc się z fotela przeznaczonego dla pierwszego pilota. – Jak zwykle wszystko działa sprawnie.

Daniel opuścił sterówkę, a Zettenberg zajął jego miejsce. Dla pewności sprawdził wszystkie kontrolki, odczyty czujników i tak jak powiedział Czarnecki, wszystko było w porządku. Westchnął zawiedziony. Z jednej strony cieszył się, że lot przebiega pomyślnie, z drugiej jednak chciał jakiejś odmiany, żeby coś się wydarzyło, pragnął poczuć krew płynącą w żyłach i przyływ adrenaliny.

Każdy dzień wyglądał tak samo, posiłki, wachty, sen, czytanie, oglądanie filmów, spoglądanie w przestrzeń za iluminatorem, w niezmienną czerń kosmosu. Monotonia stawała się coraz bardziej nużąca i nawet rozmowy z innymi członkami załogi nie odganiały wszechobecnej nudy. I chociaż Hubert przyzwyczajony był do dalekich lotów, to przy wyprawie do Alfy Centauri były one zaledwie sprintami w porównaniu z maratonem. Obawiał się, że może nie wytrzymać trzech lat takiej rutyny. A wówczas co? Zacznie wariować? Otworzy magazyn z bronią i zacznie zabijać współtowarzyszy podróży jak w jakimś tandetnym filmie?

Pokręcił głową, odpędzając nieprzyjemne myśli, i uruchomił holoodbiornik. Przez chwilę zastanawiał się, czy włączyć sobie dla odprężenia jakiś program rozrywkowy, może komedię albo film sensacyjny, który na trójwymiarowym wyświetlaczu pomógłby odgonić zły nastrój, ale ostatecznie zdecydował się na odtworzenie ostatnich komunikatów z Ziemi.

Bezpośrednia łączność radiowa była już niemożliwa, ale do *Marka Aureliusza* dochodziły jeszcze słabe sygnały. Zazwyczaj były to

wiadomości serwisów informacyjnych, gdyż satelity tych kanałów miały najdalszy zasięg, żeby mogli je odbierać pracownicy stacji orbitalnych na Marsie.

Zettenberg znudzonym spojrzeniem taksował trójwymiarowy obraz prezenterki, która marszcząc czoło, mówiła o kataklizmach nawiedzających południowo-zachodnie regiony Azji. Wiele maleńkich indonezyjskich wysp zniknęło pod wodą zalane przez fale tsunami, Filipiny i Japonia zmagaly się ze skutkami trzęsień ziemi o niespotykanej dotąd sile, grzebiących setki tysięcy ofiar. W Afryce nie dość, że głód dziesiątkował mieszkańców, to jeszcze susza spowodowała pożary szalejące w południowych regionach kontynentu. Północna Ameryka pustoszona była przez tornada, co jeszcze bardziej pogorszyło nieciekawą sytuację w Stanach. Kraj pogrążony w totalnym chaosie nie radził sobie zupełnie. Nie było już rządu, wojsko, zamiast pilnować porządku, podzieliło się na frakcje, które zwalczały się nawzajem, a miasta stały się strefami wojny. Zapanowała anarchia, której już nikt nie mógł zapobiec.

W Ameryce Południowej trwała wojna władz z kartelami narkotykowymi. W ostatnim czasie konflikt przybrał na sile i najbardziej na tym cierpiała ludność. Na projektorze ukazała się równina usiana tysiącami zabitych. Żołnierze układali ciała na stos, a ich wyprane z emocji spojrzenia niewiele różniły się od martwych spojrzeń tych, których zbierali z pola. Po chwili obraz się zmienił i kamera najechała na ofiary broni biologicznej i chemicznej – oszpecone, kalekie ludzkie strzępy.

W Europie natomiast zaczęły się rozruchy na tle religijnym. Samozwańczy prorocy zaczęli wyrastać jak grzyby po deszczu, wieszcząc koniec świata. Zbierali wyznawców, wyprowadzali ich na ulice, chcąc obalić rządy i zburzyć ustanowiony ład. Co prawda policja jak na razie sobie z nimi radziła, ale napięcia społeczne i niezadowolenie rosły z dnia na dzień.

Dramatyczne sceny z całego świata stanowiły tło dla wypowiedzi prezenterki, która pełnym ubolewania głosem mówiła o coraz to nowych katastrofach. Hubert nie mógł uwierzyć w to, co widzi i słyszy. Czyżby świat do reszty zwariował? – zastanawiał się. Wszystko zaczęło się zaraz po starcie *Marka Aureliusza*, jakby wyprawa do Alfy Centauri to zapoczątkowała.

Zettenberg skrzywił się. To były absurdalne myśli.

Na Ziemi codziennie dochodziło do tragicznych wydarzeń, świat nawiedzały kataklizmy, a ludzie walczyli ze sobą i się zabijali. Jednakże dopiero tutaj, w kosmosie, z dala od macierzystej planety i od codziennych problemów, Hubert mógł z dystansem spojrzeć na to, co się dzieje. Spojrzeć na ludzkość z perspektywy i dostrzec, jaka jest naprawdę. Zobaczyć, że świat nie jest idealnym miejscem, a człowiek istotą doskonałą. Powodowana chciwością, żądzą posiadania ludzkość zmierzała ku zagładzie. Ta myśl mocno go zasmuciła.

Zdawał sobie sprawę, że to, co widzi, nie jest przekazem na żywo, pomimo że taka informacja widniała podczas transmisji.

W odległości ponad dwóch i pół miliarda kilometrów sygnały dochodziły do *Marka Aureliusza* z kilkugodzinnym opóźnieniem. Hubert zastanawiał się, co mogło się przez ten czas wydarzyć? Czy rozgorzały jakieś nowe konflikty zbrojne? Czy Ziemię nawiedziły kolejne kataklizmy wywołane zmianami klimatu? A może rozwiązano już światowy senat?

Nagle Zettenberg przypomniał sobie, że ma jedną nieodebraną wiadomość opatrzoną znakiem senatu. Dostał ją pod koniec poprzedniej zmiany, ale nie zdążył przeczytać. Przy zdawaniu obowiązków Łuszczakowi zupełnie o niej zapomniał. Później jakoś wyleciało mu z głowy.

Hubert zdziwił się, bo wcześniej wiadomości otrzymywał tylko od Stefana Karpowskiego lub inżynierów pracujących przy projekcie

Raj Utracony. Raz zdarzyło się, że cała załoga otrzymała oficjalne pozdrowienia od przedstawicieli senatu, transmitowane z sali obrad, ale nigdy żaden polityk osobiście się z nimi nie komunikował. Osoba, która wysłała wiadomość, musiała być zatem dopuszczona do projektu, otrzymać niezbędne pozwolenia i dostęp do przekąźnika.

Pochylił się nad panelem, wbijając własny kod dostępu. Huberta zaskoczyło, że wiadomość miała adnotację „ściśle tajne” i została przeznaczona tylko dla jego oczu. Mając to na względzie, wyszedł ze sterówki upewnić się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Wyglądało na to, że wszyscy na *Marku Aureliusz* pogrążeni byli w głębokim śnie. Wrócił na fotel i włączył przekaz.

Obraz zamigotał, w bladoniebieskiej łunie pojawiła się trójwymiarowa twarz człowieka, którego Hubert pamiętał jak przez mgłę. Mężczyzna miał czarne włosy opadające grzywką na czoło, wąskie usta i krótki zawadiacki wąsik. Zmarszczone czoło i podkrążone oczy świadczyły, że był czymś mocno zafrasowany.

– Witam, komandorze – mówił drżącym, piskliwym głosem. – Nazywam się Manfred Köller, jestem sekretarzem senatu, a w chwili obecnej pełnię również funkcję jego przewodniczącego...

Do Zettenberga dotarło, co ta informacja oznacza.

– Rudolf Weinstein nie żyje. Został znaleziony martwy w pokoju hotelowym w północnej Anglii. Oficjalna przyczyna śmierci to zawał serca, jednakże sekcja zwłok wykazała, że to było otrucie. Podejrzewamy, że śmierć miała związek z projektem Raj Utracony, którego przewodniczący był gorącym orędownikiem. Tym bardziej że nie znaleźliśmy go samego...

Sekretarz zamilkł, przygryzając dolną wargę.

– Była z nim żona Stefana Karpowskiego. Również została otruta. Śledztwo wykazało, że ci dwoje mieli ze sobą romans. Oczywiście to również nie przedostało się do publicznej wiadomości.

Hubert zmarszczył brwi. Rudolfa Weinsteina praktycznie znał tylko z widzenia. Pewnego razu spotkali się na jakimś bankiecie, ale wymienili tylko grzecznościowe uściski dłoni. Natomiast żonę Karpowskiego zdołał poznać dosyć dobrze, gdyż często gościła w ośrodku szkoleniowym, a później w bazie Luna. Sprawiał wrażenie oddanej swojemu mężowi i wspierającej towarzyszki.

Zettenberg nie mógł uwierzyć, że mogła go zdradzać. To wszystko wydawało się nierealne.

– Na początku podejrzewaliśmy zabójstwo z zazdrości, sądziliśmy, że morderstwa dokonał sam Karpowski lub ktoś przez niego wynajęty. Ale śledztwo wykazało, że nic o romansie żony nie wiedział. Wykluczaliśmy, że miał coś wspólnego ze zbrodnią.

Manfred Köller uśmiechnął się smutno.

– Teraz zapewne zastanawia się pan, komandorze, dlaczego wysłałem tę wiadomość. – Westchnął ciężko. – Dalsze dochodzenie wykazało udział tych dwojga w tajnym stowarzyszeniu, którego celem było wspieranie projektu Raj Utracony. Zarówno Weinstein, działając oficjalnie, jak i żona Karpowskiego poprzez zakulisowe wspieranie męża i być może manipulowanie nim przyczynili się do startu *Marka Aureliusza*. W opozycji do nich działała pewna organizacja, której charakteru jeszcze nie znamy, podejrzewamy jednak którąś z fundamentalnych grup religijnych. Możemy tylko przypuszczać, że dążyli do sabotowania misji. Nie udało im się to, ale pozbyli się głównych oponentów.

Sekretarz ponownie zawiesił głos, a w jego oczach Zettenberg dojrzał lęk.

– Obawiam się, komandorze, że to nie koniec. Ci, którym zależy na niepowodzeniu misji, nie złożyli broni. Jeden z załogantów na pokładzie *Marka Aureliusza* może być sabotażystą. Wszelkimi sposobami będzie starał się nie dopuścić do tego, żeby gwiazdolot doleciał do systemu Alfa Centauri. Obaj wiemy, co to oznacza...

Hubert poczuł, jak ciarki przeszły mu po plecach. Potencjalny zamachowiec będzie usiłował zniszczyć statek, a wraz z nim doprowadzić do śmierci załogi.

– Na razie są to tylko domniemania podparte wynikami dotychczasowego śledztwa. Niestety, nic nie wiemy o organizacji, która za tym stoi, i nie znamy tożsamości sabotażysty. Gdy dochodzenie dobiegnie końca, będziecie już tak daleko, że sygnały przestaną dochodzić. Dlatego wysyłam wiadomość teraz, komandorze. Panu, jako dowódcy wyprawy, muszę zaufać. Proszę się mieć na baczności. Życzę powodzenia.

Obraz zamigotał i zgasł. Zettenberg przez kwadrans siedział w bezruchu. Nie mieściło mu się w głowie, że na Ziemi trwała rywalizacja pomiędzy dwoma tajemniczymi stronnictwami, z których jedno chciało doprowadzić do sukcesu misji, drugie zaś ją sabotować. Zastanawiał się, jaki w tym miały cel i interes?

Najbardziej jednak przerażała go świadomość, że na pokładzie *Marka Aureliusza* może znajdować się osoba pragnąca jego unicestwienia, gotowa oddać za to własne życie i życie swoich towarzyszy. A przecież poznał już całkiem dobrze wszystkich członków załogi i nie wyobrażał sobie, że ktoś z nich może okazać się zdrajcą.

Nagle przypomniał sobie epizod z awarią komputera nawigacyjnego podczas przelotu obok Jowisza. Z pamięci zniknęły koordynaty lotu i o mały włos *Marek Aureliusz* zostałby zmiażdżony w atmosferze gazowego giganta. Wówczas wraz z Czarneckim zrzucili to na karb wybuchów radiowych, ale równie dobrze mogło być to celowe działanie człowieka. Tylko kogo? To musiała być osoba mająca swobodny dostęp do komputera nawigacyjnego i znająca się na programach nadzorujących koordynaty lotu. Takich osób było zaledwie trzy. Daniel Czarnecki, Borys Łuszczak i on. Przynajmniej oficjalnie. Sabotażysta, chcąc pozostać w cieniu, mógł nie zdradzać

swoich wszystkich umiejętności, a komputer nawigacyjny przy odpowiedniej wiedzy można przeprogramować z innego stanowiska.

Zettenberg zapadł się w fotel i zapatrzył w iluminator. Poczł się strasznie bezbronny, zamknięty w metalowej puszcze, z dala od domu, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc. Nie było nawet możliwości ucieczki, bo zewsząd wyczierała straszliwa, zimna czerń.

Próbował uchwycić się nadziei, że to tylko jego własna paranoja i podejrzenia śledczych. Przecież Manfred Köller sam mówił, że na razie nic jeszcze nie mają, nie potrafią nawet rozszyfrować charakteru organizacji, która stała za śmiercią Weinsteina i żony Karpowskiego. Ta myśl napełniła go otuchą.

Hubert sięgnął do panelu i skasował wiadomość. Nie mógł dopuścić, żeby nagranie dostało się w ręce kogoś z załogi. Nie chciał wywoływać paniki. Ale od tej chwili postanowił bacznie przyglądać się towarzyszom podróży.

ROZDZIAŁ 12

KRANIEC UKŁADU SŁONECZNEGO

Marek Aureliusz odrzucił pierwszy człon silnika w chwili, gdy osiągnął swoją maksymalną prędkość. Stało się to zaraz po przecięciu orbity Neptuna. Cała załoga spotkała się w mesie. Niektórzy siedzieli na przymocowanych do podłogi krzesłach, inni na stolikach. Pierwszy raz od chwili startu spotkali się wszyscy razem. Świątowali opuszczenie Układu Słonecznego. Jeszcze żaden człowiek tak daleko nie dotarł. W rękach trzymali plastikowe kubki napełnione szampanem, który zabrany został z Ziemi specjalnie na tę właśnie okazję.

Wszyscy byli rozbawieni i rozluźnieni. Nawet Zettenberg, zazwyczaj milczący i ponury, tym razem uległ radosnemu nastrojowi i opowiedział kilka anegdot. W towarzystwie brylował jednak Daniel Czarnecki, który żartował sobie ze wszystkimi i ze wszystkich. Z szelmowskim uśmiechem na młodzieńczej twarzy komplementował Sinę Finderman, która do mesy przyszła w samych tylko majtkach i koszulce na ramiączkach. Spała, gdy *Marek Aureliusz* opuszczał Układ Słoneczny. Reszta załogi ubrana była w tradycyjne białe, funkcjonalne uniformy.

– Mam nadzieję, że to oficjalny strój biologów i teraz częściej będę miał okazję oglądać twoje zgrabne nogi – rzekł Daniel do Siny, beczelnie taksując ją wzrokiem.

Kobieta pochodziła ze Sztokholmu, który przed likwidacją państw należał do Szwecji, i odziedziczyła wszystkie cechy swojego narodu. Jak zawsze opanowana i pewna siebie, obdarzyła mężczyznę zimnym spojrzeniem stalowych oczu.

– Przypatrz się uważnie, Czarnecki, żebyś później w zaciszu swojej kajuty mógł o mnie myśleć podczas onanizowania.

– Potrafisz wszystko strywializować. – Daniel przybrał smutny wyraz twarzy.

– Miałaś nadzieję na romans?

– Raczej na szalony seks bez zobowiązań.

Sina roześmiała się, ukazując rząd białych zębów.

– Jesteś niepoprawnym marzycielem! Zapomnij! – Puściła do niego oko. – Poza tym jesteśmy w pracy.

– A co to przeszkadza?

– Mam swoje zasady.

– Misja trwa trzy lata. – Polak westchnął teatralnie. – Czy to oznacza, że mam w tym czasie nie uprawiać seksu? To mnie zabije!

– Biedaku... – Finderman pogłaskała go po głowie. – Spróbuj szczęścia z Angeliką lub Yaką.

– Ale ja pragnę ciebie.

– Doprawdy, czuję się zaszczycona. – Sina ponownie parsknęła śmiechem. Dzisiaj nie była tak powściągliwa jak zwykle. – Ale nie jesteś w moim typie.

– To niemożliwe! Wszystkie kobiety mnie uwielbiają.

– Tak ci się tylko wydaje. Masz rozbuchane ego. Powinieneś pójść na sesję terapeutyczną do Angeliki.

– Ranisz mnie, Sina. – Czarnecki teatralnie chwycił się za serce. – Jak zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać. Przez najbliższe trzy lata będę cały czas na *Marku Aureliusz*.

– Chyba że ktoś wcześniej, nie mogąc znieść twojego głupiego gadania, wypchnie cię przez służbę.

Mężczyzna spojrział na nią uważnie.

– Byłaby to wielka strata dla rodzaju ludzkiego.

– Wątpię. – Finderman mrugnęła i odeszła, przyłączając się do dyskusji prowadzonej przez Yakę Mashari i Era Yohmę.

Rozmawiający z Japonką rudowłosa mężczyzna zyskał sławę światowej klasy cybernetyka i inżyniera planetarnego. To on brał czynny udział w pierwszych pracach przy terraformingu Marsa, zaprojektował łódź podwodną, która w najbliższym czasie miała zostać wykorzystana do badania księżyca Jowisza – Europy, i był jednym z głównych twórców księżycowej bazy.

Daniel za nim nie przepadał. Er potrafił mówić tylko o swojej pracy, a robił to tak nudno, łypiąc przy tym na rozmówcę wiecznie zażawionymi, rybimi oczami, że Czarnecki starał się go unikać. Żywiołowy pilot nie potrafił znaleźć wspólnego języka z flegmatycznym inżynierem planetarnym. Yaka Mashari była zaś niską, trochę zakompleksioną kobietą o przeciętnej urodzie. O niebo wolał prowadzić dyskusje z nawiedzonym Meyerem lub pomilczeć z komandorem Zettenbergiem. W ich towarzystwie czuł się swobodnie.

Daniel nie chciał się do nich przyłączać i szukał spojrzeniem astrofizyka, żeby stoczyć z nim kolejną batalię słowną, gdy nagle spostrzegł przechodzącą obok Angelikę Sorono. Nie namyślając się, objął ją wpół i przyciągnął ku sobie. Poczul, jak mięśnie lekarki pokładowej napinają się pod ściśle przylegającym do ciała uniformem.

– Daniel, wariacie! Puszczaj! – krzyknęła. Natychmiast uwolniła się z jego objęć i potrząsnęła głową w udawanym gniewie. Bujne, kruczoczarne włosy opadły jej lokami na twarz. Zerknęła na niego ironicznie brązowymi oczami. – Wiesz, że to podpada pod molestowanie seksualne?

– Czyżby?

– Nie wyszło ci z Siną i teraz szukasz nowej dziewczyny? W ten sposób próbujesz odbudować poczucie własnej wartości.

Daniel spojrział na nią zdziwiony.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Jako pilot na *Marku Aureliusz* jesteś praktycznie zbędny przez kolejny rok.

Angelika Sorono tanecznym krokiem oddaliła się w stronę rozmawiających ze sobą Teodora i Borysa, a Czarnecki uświadomił sobie nagle, że kobieta miała rację. Przez ostatnie trzy miesiące był drugi po Bogu na pokładzie gwiazdolotu – pierwszym był oczywiście komandor. Start, rozpędzenie statku do prędkości podświetlonej 0,94c i późniejsze kontrolowanie kursu – to były rzeczy, za które odpowiadał. Odczytywał wskazania czujników, koordynował pracę systemu nawigacyjnego, nanosił ręcznie poprawki po awarii komputera. Teraz jednak był zbędny. *Marek Aureliusz* siłą rozpędu dotrze do układu Alfa Centauri, a Daniel będzie potrzebny dopiero za rok, gdy gwiazdolot rozpocznie proces hamowania. Westchnął ciężko, przez chwilę litując się nad sobą, ale zaraz odzyskał dobry humor i przyłączył się do świętowania.

– Za naszą wyprawę! – Teodor Meyer wznosił plastikowy kubek.

Zawtórowali mu pozostali członkowie załogi. Ostatni swojego szampana podniósł Borys Łuszczak, uśmiechnął się zdawkowo i wyszeptał:

– Za powodzenie misji.

Impreza się rozkręcała, wypity alkohol powoli dawał o sobie znać i astronauta wykazywali coraz większe rozluźnienie. W tej chwili nie byli załogą statku międzysystemowego przemierzającego kosmos, a zwykłymi ludźmi, znajomymi na spotkaniu towarzyskim. Nie dyskutowano o locie, o problemach dnia codziennego na pokładzie statku ani o wynikach badań prowadzonych w laboratorium. Rozmowy toczyły się wokół tematów prywatnych. Ten jeden jedyny raz zapomnieli o swoich obowiązkach, o odpowiedzialności i o tym, jak ważna jest misja, w której uczestniczą. Ale tych kilku chwil wytchnienia bardzo potrzebowali.

– Co pozostawiłaś na Ziemi, Sina? – zagadnął Meyer.

– Szansę na normalne życie – odparła kobieta, siadając na krześle. Podciągnęła swoje nagie, długie nogi tak, że teraz kolanami dotykała brody. I chociaż w pomieszczeniu było ciepło, bo klimatyzacja na statku działała bez zarzutu, opłótła się rękoma i smutno spoglądała na stalową ścianę, tak jakby chciała przebić ją wzrokiem i ujrzeć Ziemię. – Miałam możliwość pracy w prestiżowym zespole zajmującym się biologią molekularną. Zostałam zaproszona do uczestnictwa w projekcie mającym na celu budowę komputera opartego na kwasach nukleinowych i białkach.

– Idealnie nadają się do przechowywania informacji – pokiwał głową Teodor. – Interesujący projekt.

– Stworzono doskonały zespół, więc miałam możliwość pracy z największymi umysłami w tej dziedzinie, instytut zapewnił olbrzymie fundusze i kto wie, może byłby Nobel? – Sina uśmiechnęła się smutno. – A potem... Chciałam założyć rodzinę. Mąż, dzieci, domek na przedmieściach...

– A teraz jesteś tu, na pokładzie *Marka Aureliusza* – wtrącił Meyer.

– Nie mogłam się oprzeć pokusie. – Spojrzenie Finderman ponownie stało się zimne i wyniosłe. Jej niebieskie oczy gniewnie zabłyśły. – Zgłosiłam swój akces do projektu Raj Utracony, wiedząc, że to będzie jedno z największych wydarzeń w dziejach ludzkości.

– Kto wie czy nie najdonioślejsze – wtrącił Teodor.

Finderman pokiwała głową.

– Niewielu oprze się takiej pokusie. I teraz lecę tutaj z wami do Alfry Centauri, ku planecie, o której tak naprawdę niewiele wiemy. Skąd pewność, że tam da się żyć?

– To właśnie mamy zbadać – rzekł Meyer. – Żałujesz?

– Nie – odparła kobieta. – Jakbym miała jeszcze raz wybierać, zrobiłabym to samo. Czymże jest kariera naukowa wobec możliwości podróży do innego systemu gwiazdowego?

– Po powrocie możesz jeszcze osiągnąć to wszystko, o czym

marzyłaś. Praca w instytucie, mąż, dzieci. To tylko trzy lata.

– Trzy lata wycięte z życiorysu – westchnęła. – Na Ziemi minie ponad dekada.

– Myślisz, że aż tak wiele się zmieni?

Sina Finderman wzruszyła ramionami.

– Zmieni się, i to wiele – rzekł Er Yohma, który do tej pory tylko przysłuchiwał się rozmowie. – Jeśli planeta, do której zmierzamy, nadawać się będzie do zamieszkania, to większość produkcji na Ziemi zostanie przystosowana pod jej kolonizację. To zmieni obraz świata takiego, jaki znamy. Nasze życie ulegnie zmianie, albowiem pojawi się nowy cel.

– Ty jako inżynier planetarny będziesz się czuł jak ryba w wodzie – podsumował astrofizyk. – Podejrzewam jednak, że jeśli faktycznie Raj Utracony to miejsce, które będzie mogła zasiedlić ludzkość, to najpierw pojawią się sępy.

– Sępy?

– Skorumpowani urzędnicy zbijają fortuny na wydawaniu różnego rodzaju zezwoleń, na przetargach na dostarczanie komponentów do budowy statków kosmicznych. Korporacje paliwowe podniosą niebotycznie ceny. Firmy transportowe będą toczyć bezpardonową walkę o rynek lotów na Księżyc, bo, jak mniemam, tam będą powstawały gwiazdoloty. A potem, gdy już pierwsi kolonizatorzy dolecą na nowy glob i buldożery zaorają każdy kawałek dziewiczej planety, zaczną się takie same machinacje polityczne jak na Ziemi, walka o władzę, zasoby, pieniądze. Przeniesiemy do nowego świata wszystkie nasze bolączki.

– Nie popadasz w zbyt ni defetyzm? – skrzywił się Yohma. – Ta planeta to nasza szansa, a nie zagrożenie.

– Mam taką nadzieję – westchnął Meyer. – Może Bóg nam ją zesłał, wierząc, że tym razem poradzimy sobie lepiej?

Sina i Er wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nie wyśmiewali

się jednak z Teodora, uważając jego wiarę w Boga za nieszkodliwe dziwactwo. Pozostałych siedmiu astronautów znajdujących się na pokładzie *Marka Aureliusza* było zadeklarowanymi ateistami.

– Znowu zaczęliśmy rozmawiać o misji – zachnął się Teodor. – Wróćmy może do twojego marzenia, Sina...

– Zamieszkać w białym domu na przedmieściach i urodzić jakiemuś facetowi dwójkę ślicznych dzieci – ironizował Yohma.

Finderman skrzywiła się.

– Twoje marzenie odnosi się do typowo amerykańskiego stylu życia z przełomu wieków.

– Jeszcze przed wielkim kryzysem finansowym – rzekł Meyer. – Teraz w twoim kraju żyje się zupełnie inaczej.

– To prawda. – Er zmarszczył czoło. – Dzieciństwo spędziłem w Stanach Ameryki Północnej i gdyby moi rodzice nie zdecydowali się na emigrację do Europy, nigdy nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem. Nie byłoby mnie na pokładzie *Marka Aureliusza*.

Yohma westchnął ciężko.

– Jeszcze pięćdziesiąt lat temu USA były dominującym na świecie mocarstwem. Obecnie są zbieraniną okręgów rządzonych przez juntę, zupełnie nie liczącą się na arenie międzynarodowej, wstrząsaną zamieszkami wybuchającymi w zdewastowanych miastach. Na rogu każdej ulicy stoi opancerzony wóz żandarmerii, od dziesięciu lat obowiązuje stan wojenny i godzina policyjna. Codziennie łamane są prawa obywatelskie. Ludzie przetrzymywani są w więzieniach bez wyroków, torturowani i zabijani. Z potęgi prosto na dno.

– Sami sobie jesteście winni – rzekł Meyer.

– Słucham?

– Wszystko zaczęło się od kryzysu finansowego na początku dwudziestego pierwszego wieku właśnie w USA. Kryzys spowodowały pożyczki hipoteczne, których udzielały wasze banki

przy wysokim ryzyku spłaty osobom o niewystarczających możliwościach finansowych. Spadły ceny nieruchomości, większość obligacji okazała się bez pokrycia, zaczęły bankrutować fundusze inwestycyjne i banki. Efekt domina wywołał kryzys finansowy na całym świecie. Na szczęście w porę uruchomiono odpowiednie pakiety ratunkowe i uzgodniono, że rynki finansowe nie mogą istnieć bez odpowiedniego nadzoru. Europa, która już wówczas dążyła do tego, żeby być jednym wielonarodowym tworem, wprowadziła regulacje i mocno tego pilnowała, USA natomiast takich restrykcji w swoich działaniach nie wprowadziły. Zbyt mocny był tam mit wolnego rynku i zredefiniowanie kapitalizmu nie powiodło się tak jak w innych częściach świata.

Teodor zamilkł na chwilę, podnosząc do ust plastikowy kubek.

– Jeszcze przez dziesięć lat wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale z roku na rok kryzys gospodarczy się pogłębiał, bezrobocie rosło, a najgorsze było to, że USA nie chciały zrezygnować z pozycji militarnego hegemonu. Przywódcy nadal wysyłali wojska na Bliski Wschód, rozstrzygając konflikty w tamtym rejonie, już nie tylko po to, żeby położyć łapę na złożach ropy naftowej, ale dla samego prestiżu. Niestety, każda interwencja przynosiła coraz większe straty, a coraz mniejsze profity.

– Uczyłem się tego na lekcjach historii – rzekł ponuro Yohma. – Nie dość, że kampanie wojenne nie przyniosły żadnych zysków, to nasiliły się działania terrorystyczne islamskich fundamentalistów. Kraje arabskie ogłosiły dzihad i terroryści wypelzali z każdej zafajdanej dziury. Wszyscy zapomnieli o zamachu na WTC, bo każdego dnia zdarzały się poważniejsze akty terroru.

– Dziwisz się? – skrzywił się Meyer. – Przez dziesiątki lat wysyłaliście do ich krajów marines i ustanawialiście marionetkowe rządy.

– Ja ich wcale nie bronię. Mój kraj dostał to, na co sobie zasłużył.

Podczas walki z terroryzmem ograniczono w USA prawa obywatelskie. Ludzi pozbawiono prywatności, ograniczono im prawo wyboru, zwiększono jednocześnie uprawnienia policji. Zwiększyło się społeczne przyzwolenie na stosowanie przemocy. To miało zapewnić bezpieczeństwo. Nie trzeba było wielu lat, aby kraj wyznający od wieków zasady demokracji stał się dyktaturą rządzoną przez wojskowych. Co prawda ustały ataki arabskich ekstremistów, ale wojsko nie oddało władzy. Kryzys, ciągłe aresztowania, ograniczenie praw obywatelskich wywołały społeczny bunt, a co za tym idzie rozruchy. Na obecną chwilę Stany Ameryki Północnej pogrążone są w ruinie i wątpię, że się jeszcze kiedyś podniosą.

– Każde mocarstwo kiedyś musi upaść.

– To prawda – pokiwał głową Er. – Możemy mieć tylko nadzieję, że na nowym globie nie popełnimy tych samych błędów co na Ziemi.

Marek Aureliusz opuszczał Układ Słoneczny, a zebrani w mesie członkowie załogi jeszcze przez długie godziny rozmawiali i żartowali.

Od tamtego czasu już nigdy nie spotkali się wszyscy razem.

ROZDZIAŁ 13

PAS KUIPERA

Marek Aureliusz przedzierał się przez Pas Kuipera – olbrzymi pierścień obiektów transneptunowych obiegających Słońce po orbitach znajdujących się poza trajektorią Neptuna. Obszar stanowiło składowisko ciał niebieskich, które przed miliardami lat, gdy dopiero formował się Układ Słoneczny, nie zdołały włączyć się do zewnętrznych planet systemu. Posiadał grubość trzech miliardów kilometrów i przypominał bardziej torus niż pas. Stanowił ostateczną granicę systemu, granicę, za którą rozciągała się już tylko pustka kosmosu.

W Pasię Kuipera znajdowało się kilkaset tysięcy planetoid, komet, planet karłowatych, których rozmiary wahały się od małych skał wielkości zaledwie metra aż po obiekty przekraczające średnicą tysiąc kilometrów. Niektóre były nieforemne, inne jajowate lub wyglądające jak zwyczajne planety. Najlepszym tego przykładem był Pluton, który swego czasu uchodził nawet za ciało niebieskie należące do Układu Słonecznego.

W tym olbrzymim skupisku materii można było dostrzec planetoidy o szkarłatnym zabarwieniu, będącym skutkiem promieniowania kosmicznego. One poruszały się majestatycznie i dostojnie. Natomiast różnego rodzaju plutonki, twotina, cubewana płynęły w przestrzeni zgodnie niczym tancerze w najlepszym z baletów – gładko i wdzięcznie. Niektóre samotnie, inne w grupach złożonych z elementów mających wspólną genezę i zbudowanych z tego samego materiału.

Co jakiś czas obiekty z Pasa Kuipera wyrzucane są do wewnątrz

Układu Słonecznego i wówczas oblodzone skały zmieniają się w komety, ciągnąc za sobą długie warkocze gazu i pyłu. Niektóre z nich dostaną się w pole grawitacyjne gazowych olbrzymów i roztrzaskają w ich atmosferze, inne skończą swój żywot w rozpalonym Słońcu.

Lecz może się zdarzyć, że któraś z nich trafi w Ziemię, a wówczas spowoduje niewyobrażalne zniszczenia. Taka katastrofa pociągnie za sobą zagładę ludzkości. Na szczęście jednak tego typu rzeczy Ziemi przytrafiają się niezwykle rzadko. Rzadziej niż kolizje obiektów zachodzące w Pasie Kuipera. Podczas narodzin Układu Słonecznego jeden z wielkich głazów uderzył o inny, wyzwalając energię dziesięciu miliardów bomb atomowych. W wyniku katastrofy ciało niebieskie rozpadło się na dziesiątki brył skalno-łodowych tworzących samoistne planety karłowate. Największa została przez astronomów nazwana Haumeą. Uderzenie wprowadziło glob w rotację tak olbrzymią, że po pewnym czasie przybrał wydłużony kształt przypominający piłkę do rugby. Warstwa czystego lodu na jej powierzchni powoduje, że Haumea świeci najjaśniej ze wszystkich ciał w Pasie Kuipera i nie sposób jej nie dostrzec.

Jednakże skaliste planety nie posiadają zmysłu wzroku ani żadnych innych mogących ostrzec przed niebezpieczeństwem. Haumea rozpędzona do prędkości pięciu tysięcy kilometrów na sekundę uderzyła w znajdujący się na jej drodze wolniejszy głaz i po miliardach lat doszło do kolejnej potężnej kolizji, w wyniku której glob niczym kula bilardowa zmienił swoją trajektorię lotu.

I w sumie nie powinno mieć to żadnego znaczenia, gdyby nie fakt, że teraz stanął na kursie kolizyjnym niewielkiego gwiazdolotu mknącego do Alfy Centauri.

– Skoczek z C5 na D3, bije piona! – zakomenderował Yohma i na trójwymiarowej szachownicy czarny jeździec w pełnej

średniowiecznej zbroi płytowej zaszarżował kopią i zmasakrował nieudolnie broniącego się pawężą piechura. – Szach! – ucieszył się inżynier. Po raz pierwszy udało mu się zaszachować Meyera, który posiadał stopień arcy mistrza.

Po stu pięćdziesięciu dniach podróży Yohma przestał się strzyc, zapuścił brodę, wąsy i teraz przypominał wikinga, a nie jednego z najwybitniejszych synów narodu amerykańskiego.

Spojrzał na zafrasowane oblicze Meyera i pomyślał z triumfem, że tym razem go ma.

Byli w mesie sami. Po pięciu miesiącach wspólnego lotu każdy szukał samotności. Zettenberg prawie nie opuszczał sterówki, wpatrzony w przemieszczające się za iluminatorem gwiazdy. Daniel Czarnecki zamykał się w swojej kajucie, urządzając sobie maratony filmowe, i wychodził tylko na wachnię lub na posiłek. Nie był już tak skory do żartów, nie wdawał się w polemiki z Meyerem, a nawet przestał adorować obecne na pokładzie kobiety. Borys Łuszczak zawsze znajdował sobie jakieś zajęcie. To nanosił korekty na mapy nawigacyjne nieba, to walidował przyrządy pomiarowe lub pomagał Yohmie w udoskonalaniu robotów. Okazało się, że jest nie tylko wyśmienitym nawigatorem, ale również programistą. Zimna jak lód Sina nie wytykała nosa poza laboratorium, prowadząc doświadczenia. Już po paru miesiącach otrzymała niezwykle interesujące wyniki, rzucające nowe światło na wpływ prędkości podświetlonej na organizmy żywe. Nie chciała jednak podzielić się tą wiedzą z członkami załogi, z rozbajającym uśmiechem twierdząc, że poznają rezultaty jej badań, gdy już otrzyma Nobla. Pozostałe dwie kobiety zostały najlepszymi przyjaciółkami i większość czasu spędzały wspólnie. Yaka miała problemy emocjonalne i nie radziła sobie w pierwszych miesiącach wyprawy. Jednakże dzięki Angelice odzyskała spokój, a z oblicza zniknął smutek. Najwyraźniej Sorono miała na nią pozytywny wpływ. Wyglądało na to, że Angelika jako

psycholog pokładowy sprawiła się nieźle.

Teodor uśmiechnął się pod nosem i wykonał ruch nie dość, że ratujący go z, wydawałoby się, beznadziejnej sytuacji, to jeszcze zagrażający hetmanowi Amerykanina. Er zaklął pod nosem, wiedząc, że gra szybko się nie skończy.

W tym momencie do mesy wszedł Borys. Jego szary roboczy kombinezon był wytarty i pobrudzony. Bezceremonialnie zwałił swoje potężne cielsko obok Meyera i rozparł się wygodnie.

– Teodor? – zagadnął.

– Hmm? – mruknął astrofizyk, nie podnosząc wzroku znad szachownicy.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tych wymiarach, bo im bardziej się w to wmyślam, tym mniej rozumiem.

Yohma i Meyer spojrzeli skonsternowani na Rosjanina, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Dopiero po chwili zaskoczyli i wybuchli niepoohamowanym śmiechem. Łuszczak nawiązywał do dyskusji o teorii strun, którą odbyli kilka dni temu. Borys słuchał ich wtedy w milczeniu, nie odzywając się, a teraz ni stąd, ni zowąd, jak to często miał w zwyczaju, wrócił do sprawy, o której już wszyscy zapomnieli.

Nawigator wpatrywał się w nich cierpliwie, czekając, aż przestaną się śmiać.

– No dobra, co chcesz wiedzieć? – pierwszy opanował się Meyer.

– Nie potrafię sobie wyobrazić czterech wymiarów, a ty wspomniałeś o jedenastu. Jak to wygląda? Drgające membrany, bąble, krople przestrzeni zwiniętej...

– No to zaczynamy od początku – stwierdził astrofizyk tonem wykładowcy. – Jakie znasz wymiary określające naszą rzeczywistość?

– Nie traktuj mnie jak idioty! Jestem nawigatorem.

– Wybacz. – Teodor zmieszał się lekko. – Wiesz więc, że określają nas długość, szerokość i wysokość. Dzięki nim potrafimy

zdefiniować pod względem kształtu każdy obiekt we wszechświecie. Jednakże nie wszystko jest takie proste. W mikroświecie cząstek elementarnych, żeby określić właściwości danego obiektu, musimy zastosować mechanikę kwantową, a w obrębie gwiazd i galaktyk stosujemy teorię grawitacji. Niestety, jedna teoria pozostaje w sprzeczności z drugą.

Meyer pokiwał smutno głową i rozłożył bezradnie ręce.

– Teoria kwantowa opisuje poprawnie elektrodynamikę, oddziaływania jądrowe, nie obejmuje jednak grawitacji, którą stosujemy w wypadku ciał o większej masie. Uczeni nie chcieli wierzyć, że we wszechświecie obowiązują dwie fizyki. Zaawansowane obliczenia dawały nonsensowne i nielogiczne wyniki. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby jako liczbę wymiarów wstawić wartość większą od trzech. I nagle okazało się, że jeśli wstawimy jedenaście, wyniki są zgodne i identyczne dla rozpatrywanych układów!

Zdał sobie sprawę, że rozentuzjasmowany prawie krzyczy, i zamilkł, przyglądając włosy. Po chwili mówił dalej, ale już ściszym głosem:

– Przyjęto zatem, że we wszechświecie istnieje siedem dodatkowych wymiarów zwiniętych w jednowymiarowe pętelki. To, razem z długością, szerokością, wysokością i czasem, daje jedenaście wymiarów. Astrofizycy spekulują, że podczas ewolucji wszechświata większość wymiarów, zamiast się rozszerzać, jak to do dziś czyni długość, szerokość i wysokość, zaczęła się kurczyć. Obecnie zwinięte są w drobne pętelki strun, a przekrój tejże struny jest dziesięć do dwudziestej drugiej potęgi razy mniejszy od jądra atomu. Tak więc pod koniec dwudziestego wieku powstała teoria, która w sposób harmonijny łączy mikroświat z makroświatem. Mityczna i uniwersalna teoria wszystkiego.

– No dobrze, ale jak ja mam sobie wyobrazić te dodatkowe

wymiary? Nie wspomnę już o istotach je zamieszkujących.

– Zaczniemy od prostego przykładu. Słyszałeś kiedyś o płaszczakach?

– Nie.

– To takie hipotetyczne stworzenia żyjące w dwóch wymiarach. Posiadają jedynie długość i szerokość. W ich świecie nie istnieje pojęcie wysokości. Powiedzmy, że ich światem jest kartka papieru, po której się poruszają. Potrafisz to sobie wyobrazić?

– Oczywiście.

– Teraz w ich świecie pojawia się przeszkoda. Rysujemy kreskę stanowiącą barierę.

– Ależ to żadna przeszkoda! Płaszczaki przez nią po prostu przejdą, gdyż nie posiada wysokości.

– Bardzo dobrze! Widzę, że łapiesz, o co chodzi. Teraz wyobraź sobie, że stawiamy na kartce trójwymiarowy klocek. Co się stanie?

– Płaszczaki nie będą zdawać sobie sprawy z tego, że jest on trójwymiarowy. Dla nich będzie to dalsza część płaszczyzny.

– Doskonale! – wykrzyknął entuzjastycznie Teodor. – Istota żyjąca w dwóch wymiarach nie potrafi dostrzec trzeciego. Analogicznie jest z nami. Przechodzimy przez n -te wymiary, lecz dla nas jest to tylko dalsza część otaczającej nas przestrzeni.

– Czy istoty z różnych wymiarów są świadome swojego istnienia?

– Raczej nie. – Meyer wzruszył ramionami. – Wyobraź sobie teraz istoty żyjące tylko w jednym wymiarze. Powiedzmy, że nazywają się długole.

– Rozumiem. Posiadają tylko długość, bez szerokości i wysokości.

– Tak jest. Pomyśl o tym, jakie one mają życie! Gdy długole chcą się minąć, po prostu przez siebie przenikają. W jednym miejscu może istnieć kilka ich egzemplarzy. Co ja mówię?! Miliony, miliardy, biliony istot na sobie i w sobie. Pytanie brzmi: czy je zauważysz?

– Nie – odparł wolno Rosjanin. – Będą niewidoczne, bo ich

szerokość wynosi zero.

– Zrozumiałeś?

– Tak – Łuszczak pokiwał głową. – Wydaje mi jednak to dość przerażające. Jak pomyślę sobie, że w tej właśnie chwili istoty, powiedzmy, ośmiowymiarowe siedzą sobie i teoretyzują, jak nędzne jest życie istot trójwymiarowych, to... Nie chcę być robakiem, nawet teoretycznym, dla istot wyższych.

– Ładnie to ująłeś, Borysie: dla istot wyższych. Być może właśnie jesteście takimi płaszczakami dla Boga – zaczął filozofować Meyer.

– Ty znowu swoje!?! – jęknął Yohma.

Astrofizyk w dezaprobachie pokręcił głową.

– Wy, ateści, nie dopuszczacie do siebie myśli, że nie kontrolujecie świata, że istnieje ktoś potężniejszy od was – rzekł. – Zaślepieni wiarą w moc ludzkiego umysłu, nigdy nie okażecie skruchy i pokory. Ta buta was kiedyś zgubi...

– Przestań! – machnął ręką Yohma. – Pogadaj o tym z Danielem! Powiedz mi lepiej, skąd u ciebie taki fanatyzm religijny?

– Może kiedy indziej. – Teodor zmarszczył czoło i splótł ramiona na piersi. Temat musiał być dla niego drażliwy. – Ale, ale... ja nie skończyłem, Borysie. Teraz jeszcze bardziej cię skonfunduję. Wyobraź sobie, że czas i przestrzeń nie muszą być bytami podstawowymi. Mogą to być jedynie odbicia głębszych bytów.

– Jezus Maria!

– Ha! Przynajmniej w tobie, Borysie, jest odrobina wiary.

– Po prostu znowu nic nie rozumiem!

– Istnieją teorie mówiące o tym, że przestrzeń, jaką znamy, jest błędym refleksem prawdziwej, znacznie bardziej złożonej rzeczywistości lub hologramem emitowanym z jakiejś tajemniczej powierzchni o nieznanym właściwościach.

– Starczy! Zaczyna mnie boleć głowa. – Łuszczak podniósł się i przeciągnął. – Idę spać.

– Miłych snów – rzekł sarkastycznie Yohma. – Pewnie ci się przyśniły potwory z przestrzeni n-wymiarowych.

– Jakbyś miał jeszcze jakieś pytania, wal śmiało – rzucił Meyer za wychodzącym Rosjaninem.

Wrócili do gry. Na dwuwymiarowej szachownicy, gdzie poruszają się trójwymiarowe figury, wszystko jest proste. Czarne i białe pola następują po sobie bez żadnych kombinacji i permutacji. Reguły są dla wszystkich zrozumiałe. Prostota doskonała. Nic więc dziwnego, że suma, jakiej zażądał legendarny wezyr od swojego władcy za wynalezienie tej gry, była astronomiczna.

Zażyczył sobie bowiem, żeby szach na pierwszym polu szachownicy położył jedno ziarno, a na każdym następnym podwojoną liczbę poprzedniego. Sześćdziesiąt cztery pola wypełnione w przyroście geometrycznym. Istny spichrz.

Na szachownicy istnieje skończona liczba możliwych układów, rozwiązań i prawdopodobieństwo powtórzenia takiej samej partii jest o wiele większe niż zderzenie Haumei z ciałem niebieskim, w wyniku którego obrała kurs kolizyjny z *Markiem Aureliuszem*.

Alarm był niemiłosiernie i zdawało się, że był słyszalny w najdalszym zakamarku Drogi Mlecznej. Korytarz pulsował czerwonym światłem, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, i członkowie załogi *Marka Aureliusza* pognali na swoje stanowiska. Procedura w przypadku alarmu była jasna: każdy miał obowiązek zabezpieczyć sektor, za który odpowiadał.

W momencie gdy Zettenberg dotarł do sterówki, byli już w niej Czarnecki i Łuszczak. Rosjanin stał przy pulpicie nawigacyjnym i wprowadzał korekty, natomiast Polak siedział w fotelu pierwszego pilota, zafrasowany wpatrując się w iluminator. Hubert podążył za jego wzrokiem i ujrzał w oddali lśniący, wirujący obiekt.

– To Haumea – rzekł Czarnecki, nie odwracając wzroku. – Karłowata planeta o średnicy około tysiąca pięciuset kilometrów.

Doprawdy nie wiem, jak znalazła się na kursie kolizyjnym z nami.

Zettenberga ogarnęło przerażenie. Cały czas miał w pamięci to, co usłyszał od senatora Köllera. Czyżby rzeczywiście na pokładzie znajdował się sabotażysta, który najpierw wykasował z pamięci komputera koordynaty lotu, a potem zmienił kurs gwiazdolotu, tak że teraz leciał wprost na największy obiekt w Pasie Kuipera? Oczyma wyobraźni widział, jak statek roztrzaskuje się o zmrożoną skałę.

– Kiedy *Marek Aureliusz* zmienił trajektorię lotu? – zapytał.

– Nie zrobił tego. – Łuszczak zmarszczył brwi, nie odrywając wzroku od pulpitu.

– Co? – zdziwił się komandor. – Dlaczego zatem lecimy wprost na Haumeę?

– Kurs jest zgodny z wytycznymi. Planowany przelot *Marka Aureliusza* przez Pas Kuipera wynosi trzy godziny i w tym czasie na swojej drodze nie powinien natrafić na żadne większe objekty. Mniejsze odłamki skalne neutralizuje reflektor fotonowy czyszczący drogę przed gwiazdolotem.

– To co się stało?!

– Haumea musiała zmienić swój tor lotu – skrzywił się Rosjanin. – Mamy cholernego pecha...

– Dwie minuty do zderzenia – zakomunikował bezbarwnym głosem Czarnecki, zerkając na odczyty pojawiające się na panelu.

– Potrzebuję jeszcze minuty na weryfikację nowego toru lotu – warknął Borys, nawet na chwilę nie przerywając pracy. – Nie możemy popełnić błędu, bo przy prędkości 0,94c wpadniemy na inną planetoidę i nawet tego nie spostrzeżemy.

– Zdążymy?

– To się okaże.

W sterówce zapanowało milczenie. Daniel Czarnecki ze zmarszczonym czołem spoglądał na zegar, Łuszczak pochylony nad

panelem nie miał czasu nawet otrzeć kropel potu, które pojawiły mu się na czole, a Hubert spoglądał to na rosnący w oczach olbrzymi głaz wyglądający jak wirujące jajko w skorupce, to na Borysa. Przez głowę przebiegła mu myśl, że być może to właśnie potężnie zbudowany Rosjanin jest sabotażystą i dlatego zwleka z podaniem odpowiednich koordynat.

– Minuta – rzucił sucho Daniel.

Łuszczak tylko pokiwał głową, dając do zrozumienia, że usłyszał, i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

Haumea rosła w oczach i Zettenberg z sekundy na sekundę tracił nadzieję. Już chciał krzyknąć, żeby nawigator wprowadził dowolny kurs, licząc na szczęście, ale gdy otwierał usta, Borys nacisnął przycisk zatwierdzający nowe koordynaty. Na jego twarzy malowała się ulga.

– Gotowe! – rzekł i zwrócił się do Daniela: – Na mój znak odpalisz prawe silniki manewrowe dokładnie na siedem sekund.

– Zgoda.

Zaległa ponura cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak ważna jest precyzja podczas tego manewru. Nie mogli sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Zbyt wczesne odpalenie silników mogło skończyć się uderzeniem *Marka Aureliusza* w planetoidę, kometę lub planetę karłowatą, których tysiące krążyło w Pasie Kuipera. Natomiast zbyt późna reakcja będzie skutkowałą roztrzaskaniem gwiazdolotu o Haumeę.

– Przygotuj się – zakomenderował Łuszczak i zaczął odliczać: – Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden. Teraz!

Potężne silniki manewrowe *Marka Aureliusza* ryknęły ogniem, rzucając gwiazdolotem w lewo. Siła ciężenia cisnęła Zettenbergiem o ścianę. Uświadomił sobie, że powinien powiadomić resztę załogi o manewrze, ale teraz ważniejsze od kilku siniaków było to, czy wyjdą z tego żywi.

Hubert spojrział przez iluminator. Mijali Haumeę o przysłowiowy włos, co w skali kosmosu znaczyło setki kilometrów. Pomimo takiej odległości planeta i tak robiła kolosalne wrażenie. Wielka, lodowa bryła mknąca przez pustkę kosmosu. Świecąc białym blaskiem, wydawała się niczym hawajska bogini, której imię nosiła. Opiekunka płodów rolnych, orędowniczka płodności, ale również matka niszcząca swoje dzieci. Tym razem uniknęli jej gniewu, przemykając tuż za jej plecami.

Haumea oddalała się i teraz była widoczna po prawej stronie iluminatora. Hubert odetchnął z ulgą, a Borys Łuszczak usiadł w fotelu, dopiero teraz ocierając pot z czoła.

– Udało się! – krzyknął radośnie Daniel.

– To prawda – mruknął Rosjanin. – Po wyjściu z Pasa Kuipera będziemy musieli powrócić na prawidłowy kurs. Powinna wystarczyć jedna sekwencja kilkusekundowego odpalenia silników manewrowych. Już teraz zabiorę się do programowania komputera nawigacyjnego.

Łuszczak pochylił się nad panelem, a Hubert stwierdził, że jego podejrzenia w stosunku do sabotażysty działającego na pokładzie *Marka Aureliusza* musiały być wytworem paranoi. Po prostu mieli pecha, lecz koszmar minął. Zettenberg zerknął na gwiazdy. Miał nadzieję, że wyprawa do Alfy Centauri przebiegać już będzie bez żadnych problemów.

Nie przypuszczał, jak bardzo się zawiedzie.

ROZDZIAŁ 14

NOSTALGIA

Roześmiana Miriam biegła do niego po śniegu. Pochyliła się, ulepiła śnieżną kulę i rzuciła nią w Huberta. Uchylił się i objąwszy kobietę wpół, przewrócił ich oboje na ziemię. Tarzali się w świeżym, puszystym śniegu. Raz on był na górze, raz ona. Twarz Miriam pojawiała się na tle błękitnego nieba, aby za chwilę wkomponować się w biel podłoża. Jej oczy pełne były radości. Zatrzymali się. Kobieta nagle spoważniała, sięgnęła dłonią za jego ucho i wyłączyła kamerę...

Obraz zgasł, pozostawiając błękitną holograficzną smugę. Zettenberg położył się na koi i przymknął oczy. Czuł coraz większe zmęczenie i zniechęcenie. Z każdym kolejnym pokładowym dniem, z godziny na godzinę, tracił zapał i chęć do życia. Marazm i zwątpienie powoli wkradały się do jego umysłu. Ale nie tylko jego.

Depresja udzielała się całej załozdzie *Marka Aureliusza*. Otaczała ich pustka – zimna, nieprzenikniona próżnia, przez którą gwiazdolot brnął już ponad pół roku. Każdy z astronautów coraz częściej zadawał sobie pytanie: po co to robimy? I nie wystarczała im już odpowiedź, jakże naiwnie brzmiąca na tym oceanie nicości: dla ludzkości!

Lecieli do odległego układu gwiazdowego, nie wiedząc nawet, czy da się tam żyć. Ponad trzy lata wycięte z życiorysu, podczas gdy na Ziemi minie dekada. Przez ten czas wiele może się zdarzyć. Czy na ojczystej planecie będą pamiętać, że przed dziesięciu laty wysłano do układu Alfa Centauri statek kosmiczny z ośmioma ludźmi na pokładzie? A może w tym czasie ludzkość rozwiąże wszystkie

problemy i bólaczki nękające Ziemię? Wówczas ich wyprawa straci sens.

Więc po co to wszystko? Dlaczego? Odpowiedzi każdy z nich musiał poszukać w sobie, w najskrytszych zakamarkach własnego umysłu. Ale czy nie okaże się ona zbyt przerażająca? Tak naprawdę wszyscy mieli osobiste, egoistyczne powody, dla których opuścili Ziemię, i w żadnym z przypadków – mimo górnolotnych deklaracji – nie chodziło o dobro ludzkości. Pragnienie sławy, zapisania się złotymi zgłoskami w historii lotów międzygwiazdnych, chore ambicje – to pchnęło tych ludzi w kosmos. Altruizm to największa obłuda gatunku ludzkiego i nikła jest szansa, aby się to zmieniło.

Dla Zettenberga odpowiedź na pytanie, dlaczego wziął udział w wyprawie, była prosta: Miriam. Chciał uciec od niej, od wspomnień jak najdalej. Mimo że stali się najbardziej oddalonym od siebie rozwiedzionym małżeństwem, dla Huberta wciąż byli zbyt blisko. Czasami budził się w nocy, prawie fizycznie czując jej obecność obok siebie. Z zalem uświadamiał sobie, że to tylko sen.

Ogarnęła go oślepiająca wściekłość na myśl o byłej żonie rozchylającej nogi przed innym mężczyzną. Wyobraził sobie, jak pięści go i całuje. Wije się w rozkoszy, krzyczy podczas orgazmu, którego sprawcą jest ktoś inny. Później, po wszystkim, jego kobieta wtula głowę w ramiona tamtego i uśmiecha się przed zaśnięciem. Wyobraził sobie, jak wstają rano, budzeni promieniami wschodzącego słońca, które rozprasza mrok i odgania wszystkie smutki, a on w tym czasie wpatruje się w niezgłębioną czerń kosmosu. Czy potrafią dostrzec piękno tej światłości? Czy potrafią docenić ciepło, które ich otacza?

Ze złością uderzył pięścią w ścianę, pozwolił, by przeszył go ból. Zakrył twarz dłońmi i pogрузzył się w smutku. Uświadomił sobie, że nadal kocha Miriam. Jakże pragnął zabić w sobie to uczucie. Nagle poczuł ciepło rozlewające mu się po twarzy. Odsunął ręce i spojrział

na nie. Były zakrwawione, paskudne rozcięcie ciągnęło się przez całą długość kostek prawej dłoni. Wstał, wyszedł na korytarz, kierując się w stronę kabiny medycznej.

Po siedmiu miesiącach lotu, przebywania tylko i wyłącznie na pokładzie gwiazdolotu, Hubert mógł z opaską na oczach poruszać się po module mieszkalnym. Z przodu korytarza znajdowała się sterówka, po bokach – drzwi do kajut załogi z zamontowanym cyfrowym zamkiem, a na drugim końcu korytarza grodzie do części magazynowej. Tuż przed nimi, po lewej stronie, otwierało się wejście do ambulatorium połączonego z solarium i niewielką siłownią.

Wystukał czterocyfrowy kod. Gdy grodzie się rozsunęły, zawahał się zaskoczony. Nie spodziewał się, że kogoś tu spotka, a tymczasem w gabinecie zastał Angelikę Sorono i Yakę Mashari. Siedziały przy biurku, szepcząc i chichocząc. Zachowywały się jak uczennice w żeńskim internacie, drżące, że ktoś je nakryje na nocnych pogaduszkach. No tak, pewnie obgadują kogoś z załogi, pomyślał Zettenberg.

Trzymając się za krwawiącą dłoń, podszedł bliżej i dopiero wtedy kobiety go spostrzegły. Zawstydzone szybko odsunęły się od siebie.

– Przestraszył nas pan, komandorze – powiedziała Sorono. Zaraz jednak uśmiechnęła się i odgarnęła kruczoczną grzywkę, która opadła jej na oczy. W świetle neonów gabinetu lekarskiego jej tęczęwki błyszczały fioletem. Hubert musiał przyznać, że kobieta jest niezwykle piękna.

– W czym mogę... – nie dokończyła, dostrzegła jego krwawiącą dłoń. – Co się stało? Proszę tu szybko podejść. – Już otwierała apteczkę, wprawnymi ruchami dezynfekowała ranę, świeciła laserem zasklepiającym.

Kiedy rozcięcie było opatrzone, Zettenberg przyjrzał się jej. Angelika ubrana była w biały kitel lekarski. Musiała pracować,

pomyślał. Wiedział, że z nudów przekłada i kataloguje lekarstwa. Inwentaryzację robiła już chyba sto razy. Pytana o powód twierdziła, że musi być przygotowana na każdą ewentualność.

Niewiele miała na razie pracy na statku, zdarzały się jedynie niegroźne urazy i dolegliwości. Hubert trzymał kciuki, żeby nie zmieniło się to do końca wyprawy.

Natomiast Yaka siedziała ubrana w szorty i przeproconą koszulkę. Zanim przyszła odwiedzić Angelikę, musiała zapewne ćwiczyć w siłowni.

– Idę pod prysznic. – Wstała i ruszyła w stronę wyjścia. – Wpadnę do ciebie później, Angeliko. A panu, komandorze, życzę zdrowia.

– Dzięki – odburknął.

Angelika skinęła tylko głową, nie podnosząc wzroku znad opatrunku. Zostali sami.

– Czy teraz powie mi pan, co się stało? – Spojrzała na niego podejrzliwie. – To rana od uderzenia pięścią w twardą powierzchnię. Dobrze, że nie roztrzaskał pan sobie kostek. Wypadek? – dokończyła z ironią w głosie.

– Poniosło mnie – odparł i uśmiechnął się ponuro. – Pragnę panią uspokoić i zapewnić, że ścianie nic się nie stało.

– To dobrze, bo nie wiedziałabym, jaką terapię wobec niej zastosować. – Spojrzała z zadowoleniem na zasklepioną ranę. – No, skończone. W ciągu doby powinno się zagoić.

Angelika Sorono usiadła na swoim fotelu i wskazała Hubertowi krzesło po drugiej stronie biurka.

– A teraz słucham.

– Czy to sesja psychoterapeutyczna?

– Jeśli pan chce to tak nazywać, to proszę bardzo. Ja wolę określenie: przyjacielska rozmowa. Niechże pan siada.

Posłusznie zajął miejsce.

– Może powinienem położyć się na kozetce? – zażartował.

Angelika odpowiedziała urokliwym uśmiechem.

– Od ponad wieku psychoanalicy nie używają kozetek. – Spoglądała na niego uważnie, ze skupieniem, ale łagodnie. – Proszę mi powiedzieć, co pana dręczy, komandorze?

Kobieta wzbudzała zaufanie, jednakże Hubert nie chciał się przed nią otwierać. Był przecież dowódcą wyprawy i nie mógł sobie pozwolić na okazanie słabości, a taką w jego mniemaniu było zwierzanie się ze swoich problemów. Pomimo że Sorono była psycholożką, która na pokładzie *Marka Aureliusza* miała dbać o dobrą kondycję psychiczną wszystkich bez wyjątku członków załogi – była również jego podwładną. Tym bardziej Zettenberg nie chciał się przed nią otwierać. Milczał więc, unikając jej wzroku. W końcu Angelika stwierdziła:

– Chodzi o pana byłą żonę.

Nagle poczuł suchość w gardle.

– Skąd... skąd to pani wie? – wydukał.

– Komandorze, jestem psychologiem pokładowym. – Z jej ust zniknął uśmiech. Pochyliła się w jego stronę, zmniejszając dystans. – Twórcy projektu Raj Utracony przewidzieli takie sytuacje. To normalne, że w izolowanej społeczności, jaką tutaj tworzymy, wypływają na wierzch wszelkie lęki, negatywne emocje, traumatyczne wspomnienia. Dochodzi miejsce, w jakim się znajdujemy. Nie sposób stwierdzić, jak przebywanie tak długo w przestrzeni kosmicznej wpływa na nasze samopoczucie, bo jeszcze nikt nigdy nie dotarł tak daleko od macierzystej planety, biliony kilometrów od Słońca, które teraz jest zaledwie jedną z wielu gwiazd.

Zamilkła, uważnie mu się przyglądając.

– Proszę mi uwierzyć, że nie chcę wyrządzić panu żadnej krzywdy.

– Wie pani o mojej żonie...

Angelika ponownie odchyliła się w fotelu.

– Tak. Otrzymałam profile psychologiczne i dossier wszystkich członków załogi. Moim zadaniem jest dbać o zdrowie zarówno fizyczne, jak i psychiczne astronautów znajdujących się na *Marku Aureliuszu*. Pana, komandorze, też to dotyczy. Więc proszę się nie dąsać i opowiedzieć mi o tym, co pan teraz czuje. Obiecuję, że nic nie wyjdzie poza ten gabinet. Obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

Przez dobre kilka minut Hubert milczał, ponuro wpatrzony w ścianę, przez kolejne parę – wahał się, nie będąc pewnym, co powinien zrobić, aż w końcu zaczął mówić. A gdy zaczął, słowa wypłynęły z niego, a wraz z nimi emocje skrywane od długiego już czasu. Opowiedział o Miriam. Całą historię ich związku. O tym, jak się poznali, jak bardzo byli ze sobą szczęśliwi i jak w pewnym momencie przestali planować wspólną przyszłość, jak stali się dla siebie obcymi ludźmi, wreszcie o jej zdradzie i rozstaniu. Wspomnił o wątpliwościach nim targających, o emocjonalnym wyalienowaniu, o lęku, o tym, jak źle się czuje z samym sobą.

O tym, że jest pełen obaw, jeśli chodzi o powodzenie misji, i ogarnia go coraz większy pesymizm. O swoim strachu, że wszyscy na pokładzie *Marka Aureliusza* zginą w wyniku niespodziewanego wypadku lub katastrofy, o którą, jak się okazało, w kosmosie nietrudno. Nie wspominał jedynie o swoim niepokoju związanym z tym, że jeden z członków załogi może chcieć zniszczenia gwiazdolotu i tylko czeka na odpowiedni moment.

Następnie opowiedział, jak niegdyś zachwycał się gwiazdami, wszechświatem i tym, co można w nim odkryć, a teraz ta pustka kosmosu, przez którą mknęli, napawa go odrazą. Mówił i mówił, a Angelika słuchała. Nigdy jeszcze nie wyrzekł tylu słów na raz. Gdy skończył, stwierdził ze zdziwieniem, że minęła ponad godzina.

– Co pan teraz czuje?

Hubert przez chwilę się zastanawiał.

– Złość – odparł szczerze. – Na Miriam za to, że mnie opuściła. Na

Agencję Kosmiczną, że wybrała mnie do tego lotu. Na wszystkich na pokładzie *Marka Aureliusza*...

Zamilkł i wstydliwie opuścił głowę.

– Proszę się tak nie przejmować złością – rzekła łagodnie Angelika.

– Jest wyrazem tego, czego nie możemy osiągnąć. Niewyrażona lub kumulowana prowadzi do stanów nerwicowych.

– Czyli sugeruje pani, żebym wyżywał się na członkach załogi?

– Tego nie powiedziałam. – Uśmiechnęła się. – Swoją złość można wyrażać asertywnie, ale tego przecież uczył się pan na szkoleniach.

Pokiwał głową, przyznając jej rację. Jeszcze w akademii jako przyszły dowódca musiał odbyć szereg warsztatów na temat zarządzania zasobami ludzkimi, komunikacji, technik interpersonalnych. Zawsze starał się stosować do wskazówek wykładowców i ich rady zazwyczaj zdawały egzamin. Jednakże tutaj, na pokładzie *Marka Aureliusza*, cała ta wiedza gdzieś się ulotniła, a on, zamiast jednoczyć załogę, być dla ludzi wsparciem, alienował się.

– No cóż, sytuacja, w jakiej się pan znalazł tam na Ziemi, byłaby trudna dla każdego człowieka. I każdy miałby z tego powodu problemy emocjonalne. Rozstanie to swego rodzaju koniec. Po latach wspólnego życia wszystko się kończy, trzeba na nowo układać sobie przyszłość. Wiem, że to trudne. Tym bardziej dla pana, będącego typem autokratycznego introwertyka.

Jej spokojny głos rozbrzmiewał ciepłem i Zettenberg dał się mu ukoić. Nie zareagował nawet na ostatnie stwierdzenie, aczkolwiek poczuł się nim lekko dotknięty.

– Proszę jednak pamiętać, że każdy koniec to równocześnie początek czegoś nowego. Teraz dowodzi pan grupą osób i myśli, że okazywanie emocji nie licuje z pełnioną funkcją, że może zaszkodzić misji. To nieprawda. Bycie przywódcą nie oznacza alienacji, ukrywania uczuć. Decydenci wybrali na dowódcę misji człowieka

silnego, gdyż tylko taki może sobie poradzić z przeciwnościami losu, uchronić załogę przed nieszczęściami i doprowadzić statek do celu. Takim człowiekiem pan jest. Każdy z astronautów na pokładzie *Marka Aureliusza* to wie.

Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej lekkim podniesieniem kącików ust. Na tę chwilę tylko na tyle było go stać.

– Znalazł się pan daleko od żony, myśląc, że zostawi pan za sobą przeszłość i bolesne wspomnienia. Tak się jednak nie stało...

Hubert milczał.

– Problem nie leży na Ziemi ani w kosmosie, ale tylko w pana sercu i umyśle.

Zettenberg poczuł, jak coś w nim pęka, jak skorupa, która obrosła jego serce grubą warstwą bólu, zwalnia ucisk. Powoli i nieśmiało pojawiały się drobne rysy, które już niedługo miały się przerodzić w głębokie szczeliny.

– Czy mógł pan coś zmienić? Wtedy? Niewykluczone. Czy mogliście być dalej razem? Niewykluczone. Ale tak się nie stało i trzeba to zaakceptować. Nie może pan wciąż nosić w sercu nienawiści, a tym bardziej zabierać jej w kosmos. Proszę się nie izolować, częściej rozmawiać z załogą. Okazać więcej ciepła i przyjaźni. Oni też potrzebują dowódcy kolegi, a nie tylko służbisty. Myślę, że dzięki temu zdobędzie pan ich większy szacunek.

Hubert siedział oniemiały. Zrzucił z siebie ciężar. Demony przeszłości uciekały spłoszone. Zakiełkowała nowa nadzieja, pierwszy raz od ponad roku poczuł radość.

– Dziękuję – wyszeptał. Uśmiechnął się blado i wskazał na rozbitą dłoń. – I nie tylko za pomoc medyczną.

– Proszę pamiętać, że zawsze może pan do mnie przyjść i porozmawiać.

Skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

– Słyszał pan o I Ching? – głos Angeliki zatrzymał go na progu.

Odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.

– Chińska Księga Przemian zawierająca filozofię taoizmu i konfucjanizmu – odparł. – Nie wiedziałem, że to panią interesuje?

– Owszem – rzekła kobieta. – Od czasu do czasu warto do niej zajrzeć. Zawiera wiele mądrości, które mogą przydać się w codziennym życiu.

– O ile wiem, I Ching jest używana do wróżb.

– To prawda – odparła, uważnie wpatrując się w Zettenberga. – Dzisiaj, kierując się irracjonalnym impulsem, zajrzałam do niej po blisko roku i otrzymałam w odpowiedzi bardzo ciekawy heksagram o nazwie T'ung Jen, co w tłumaczeniu oznacza Wspólnotę Ludzi.

Sorono włączyła komputer, wybrała odpowiedni katalog na holograficznej poświacie i nagle ukazał się tekst.

Wspólnota ludzi w otwartej przestrzeni.

Powodzenie.

Sprzyjającym jest, by przekroczyć wielką wodę.

Sprzyjająca jest wytrwałość człowieka szlachetnego.

– I jak tutaj nie wierzyć we wróżby? – Uniosła lekko brwi. – Przepowiednia idealnie pasuje do tego, o czym przed chwilą rozmawialiśmy. Do pana, do nas. Mówi o tym, że jeśli będziemy trzymać się razem, to uda nam się przekroczyć wielką wodę, czyli przestrzeń kosmiczną dzielącą nas od celu. Potrzebna jest tylko wytrwałość człowieka szlachetnego. Pańska wytrwałość, komandorze.

Hubert wrócił do swojej kajuty przepelniony optymizmem. Tej nocy spał spokojnie po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy.

ROZDZIAŁ 15

ŚMIERĆ W OBŁOKU OORTA

Marek Aureliusz mknący po aksamicie kosmosu zdawał się pyłkiem, okruchem, drobiną materii na oceanie nieskończoności, niespotykanym zjawiskiem w zimnej i mrocznej otchłani. Otoczony przez niewidoczne gazy i ciemną materię wytrwale zmierzał do celu. Reflektor fotonowy wyznaczał świetlisty szlak poprzez cząstki pyłu i odłamki skalne.

Statek przechodził właśnie poprzez obłok kometarny Öpika-Oorta, sferyczny obszar o średnicy około pięćdziesięciu tysięcy jednostek astronomicznych, zawierający miliardy lodowo-pyłowych oraz skalnych brył poruszających się po losowych orbitach, który był niczym bańka mydlana otaczająca Układ Słoneczny. Na skutek perturbacji grawitacyjnych z obłoku od czasu do czasu wyrzucane są obiekty, które potem stają się kometami. Wydawać by się mogło, że to ostateczna granica dla rodzaju ludzkiego i jej przekroczenie jest czymś nienaturalnym.

Jeśli w tym momencie obok przypadkowo przelatywaliby przedstawiciele innej, daleko bardziej rozwiniętej cywilizacji, zdziwiliby się niepomierne, widząc, jak taki maleńki wytwór ludzkiej technologii śmie zapuszczać się w niezbadane obszary wszechświata. Jeśli przyjrzeliby się z bliska istotom podróżującym na tym niewielkim stalowym pocisku, zdumieliby się jeszcze bardziej, że tak drobne, kruche stworzenia, nieprzystosowane do życia w próżni, porwały się z przysłowiową motyką na słońce, w dodatku nie na własne Słońce. Że istoty te, które wciąż jeszcze nie rozumiały zasad panujących w kosmosie, jego fundamentalnych

praw i fenomenów, nie spodziewając się niczego złego, śmiało snuły kolonialne marzenia.

Naiwne i głupie stworzenia białkowe. Mogły przecież pozostać na swoim niewielkim, błękitnym globie i cieszyć się tą krótką, lecz bezpieczną chwilą egzystencji swego gatunku, a nie pakować palce w drzwi multiuniwersum, stając na drodze sił potężniejszych, niż mogły to sobie wyśnić w najgorszych koszmarach.

To musiało zboleć. I zabolało.

Ledwie *Marek Aureliusz* minął obłok Oorta, jakaś nienazwana, mroczna i bezosobowa siła wyciągnęła ku niemu swoje eteryczne ramiona, oplatając pełnym nienawiści uściskiem.

Wdarła się do umysłów astronautów, łączywie karmiąc się ich jaźnią. Pułapka zatrzasnęła się, nie było odwrotu. Macki archaicznej nienawiści, bytu czekającego przez eony, dotykały teraz i pieściły ich jestestwa, sondowały myśli i wysysały nadzieję.

Daniel Czarnecki przewrócił się niespokojnie w koi na drugi bok, Sina Finderman wypuściła fiolkę z substancją chemiczną, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w ścianę laboratorium, Er Yohma zastygł w czasie posiłku z łyżką zupy uniesioną do ust, Angelika Sorono otworzyła w przerażeniu oczy, budząc się naga w ciepłych ramionach Yaki Mashari. Natomiast Japonka śniła koszmary ze swojej dawno zapomnianej przeszłości. Teodor Meyer i Hubert Zettenberg, siedząc w sterówce, przerwali nagle rozmowę i instynktownie nasłuchiwali, oczekując czegoś, co zaraz miało się wydarzyć. Czegoś strasznego.

I doczekali się. Poczuli gwałtowny wstrząs i usłyszeli ryk alarmu.

W tym czasie Borys Łuszczak umierał w przestrzeni kosmicznej. Śmierć przyszła nagle. Gazy rozpuszczone we krwi, wydzielając się w postaci bąbelków, zablokowały naczynia krwionośne nawigatora. Jego twarz stała się pośmiertną maską wyrażającą zaskoczenie i cierpienie. *Marek Aureliusz* zdążył już zniknąć, pozostawiając

martwe ciało szybujące w cichej pustce kosmosu.

Alarm wył niemiłosiernie, we wszystkich pomieszczeniach światła pulsowały czerwonym blaskiem. Astronaucci wypadli w panice na korytarz, zasypując się pytaniami. Zabezpieczyli swoje stanowiska i pobiegli do sterówki. Tam za pulpitemi kontrolnymi siedzieli Zettenberg i Meyer, próbując dociec, co się stało.

– Pożar w piętnastce! – wrzeszczał Teodor.

– To skład chemiczny – wyszeptała przerażona Yaka Mashari. Zdawała sobie sprawę, że przechowywane są tam niebezpieczne substancje, które mogą w każdej chwili eksplodować.

– Kurwa mać! Mamy rozhermetyzowany cały jeden obszar magazynowy. Sektory trzynasty i czternasty! – krzyczał Czarnecki, wpatrując się we wskaźnik poziomu ciśnienia.

– Komputer! Zamknąć wszystkie grodzie. Odciąć zagrożone sektory! – wydał rozkazy komandor. – Co jest w trzynastym i czternastym?

– Trzynastka: butle gazowe, czternastka: próbniki i automaty – sprawdził Daniel, który doskoczył do panelu kontrolnego. Uruchomił wszystkie systemy bezpieczeństwa, wizualizacji pozycyjnej oraz monitoring pomieszczeń.

Na hologramie pojawił się obraz objętej pożarem sekcji. Płomienie w pomieszczeniu rozprzestrzeniały się od lewa do prawa, liżąc szkarłatnymi językami ściany. Musiał panować tam intensywny żar, bo w oczach topniały plastikowe kontenery służące do składowania substancji chemicznych. Widok przesłaniał unoszący się toksyczny dym. Po izolacji pomieszczenia pożar stopniowo się wypalił.

Czarnecki chciał sprawdzić, co dzieje się w innych sekcjach, ale po przełączeniu obraz tylko śnieżył.

– Nie mogę uzyskać monitoringu z zagrożonych sekcji.

Zettenberg obejrzał się, spoglądając na ludzi zebranych w sterówce. W pierwszej kolejności powinien pomyśleć o ich

bezpieczeństwie.

– Poruczniku, proszę namierzyć pozostałych członków załogi.

Czarnecki uruchomił skan i przez chwilę panowała kompletna cisza.

– Sina jest uwięziona w laboratorium – zakomunikował. – Nie mogę namierzyć Łuszczaka.

Zettenberg zerwał się z fotela, chwycił komunikator i przypiął go sobie za uchem, tak żeby mikrofon mieć blisko ust.

– Meyer i Yohma, za mną. Idziemy po Sinę – zadysponował. – Poruczniku, kiedy dam znać, otworzy pan grodzie!

– Tak jest.

– Biegiem!

Po kilkunastu sekundach stanęli przed częścią magazynową statku. Od modułu mieszkalnego odgradzała ją stalowe grodzie.

– Teraz!

– Zrobione – rozległ się zniekształcony głos z komunikatora.

Grodzie rozsunęły się niczym bramy sezamu z opowieści Szeherezady i mężczyźni wskoczyli do środka. Tutaj alarm był jeszcze głośniejszy. Poczuli dym i spaleniznę. Mieli olbrzymie szczęście, że w porę odcięli zagrożone sektory, bo cały statek byłby teraz rozhermetyzowany, a oni umieraliby w zimnej pustce kosmosu.

Dotarcie na miejsce zajęło im kolejne kilkadziesiąt sekund.

– Dobra. Jesteśmy. Otwórz laboratorium! – komandor wydał dyspozycje.

Drzwi odskoczyły z hukiem. Na szczęście w środku nie było pożaru. W kącie pomieszczenia siedziała przerażona Sina.

– Słyszałam wybuch – wyszeptała, łkając. – A potem nie mogłam... Drzwi się zatrzęsły.

– To my odcięliśmy sektory, żeby pożar się nie rozprzestrzenił. – Zettenberg ukląkł przy niej. – Nic ci nie jest?

Kobieta potrząsnęła głową. Wyglądało na to, że jest tylko w szoku.

– Już po wszystkim – rzekł uspokajająco Hubert i zwrócił się do Yohmy: – Proszę ją zabrać do Angeliki. Niech ją zbada.

Er podniósł ostrożnie kobietę i wyprowadził z laboratorium. Gdy tylko opuścili pomieszczenie, zabrzączał komunikator Zettenberga.

– Komandorze! Komandorze!

– Mów!

– Udało mi się uzyskać monitoring reszty pomieszczeń. W czternastce mamy potężną wyrwę, wszystko zostało wysrane w przestrzeń. Z piętnastki nic nie uratujemy, choć pożar ustał. Pozostałe pomieszczenia są w porządku...

Czarnecki nagle zamilkł.

– Komandorze.

– Tak?

– Nigdzie nie widzę Łuszczaka.

Zapanowała cisza. Zettenberg i Meyer spojrzeli po sobie, wiedząc już, że Borys w chwili wybuchu znajdował się w sektorze czternastym. Nie ulegało wątpliwości, że został wyspany w przestrzeń. Komandor wciągnął głęboko powietrze i rzekł grobowym głosem:

– Przyjąłem.

– Co możemy zrobić? – zapytał niepewnie Polak.

– W tej sytuacji nic – odparł Hubert. – Z Meyerem przeszukamy pozostałe pomieszczenia na statku. Może się okaże, że Łuszczak jest w jednym z nich...

Po wypowiedzeniu tych słów wiedział już, jak naiwnie one brzmią.

– Rozumiem.

– Później wrócimy do sterówki. Musimy dowiedzieć się, co się stało.

– Przyjąłem.

– Niech Er sprawdzi stan robotów i uruchomi te, które są na chodzie. Będą nam potrzebne do uporządkowania tego burdelu. Bez

odbioru.

Hubert wraz z Meyerem następny kwadrans poświęcili na przeszukanie wszystkich pomieszczeń *Marka Aureliusza*. Przede wszystkim tych nieobjętych monitoringiem. Otwierając grodzie każdej następnej sekcji, Zettenberg łudził się nadzieją, że odnajdą Łuszczaka, może oszołomionego, rannego, ale za to żywego. Niestety, Rosjanina nie było na statku.

– Wracamy – rzekł Hubert, gdy już sprawdzili ostatnie z dostępnych pomieszczeń gwiazdolotu.

– On musi gdzieś tu być – wyszeptał Meyer.

– Zajrzeliśmy już wszędzie. Musiał być w czternastce...

– To niemożliwe! – Astrofizyk nie chciał dopuścić do siebie myśli o śmierci Łuszczaka. – Co on tam robił?

– Może chciał dokonać przeglądu próbników?

– Zostało nam dziewięć miesięcy lotu, a automaty i próbniaki będą potrzebne dopiero w chwili dotarcia do celu. A poza tym Borys był nawigatorem i miał inne zadania na pokładzie – mówił rozgoryczony Meyer.

Zettenberg musiał mu przyznać rację. Rosjanin miał wyznaczone wachty w sterówce i za to odpowiadał. Oczywiście zdarzało się, że wyręczał członków załogi w ich obowiązkach i jego obecność w sekcji czternastej nie była niczym niezwykłym. Jednakże w tej chwili do umysłu komandora wkraść się niepokój. Cały czas miał w pamięci ostrzeżenie przed sabotażystą.

Hubert jeszcze przez długą chwilę wpatrywał się w grodzie oddzielające uszkodzoną sekcję od reszty statku, pragnąc, żeby to był tylko koszmarny sen. Niestety, wypadek zdarzył się naprawdę i nic tego nie odmieni. Pokręcił głową i przeniósł spojrzenie na Meyera. Oblicze astrofizyka przybrało barwę kredy, usta miał mocno zaciśnięte, spoglądał na swoje dłonie, których drżenia nie mógł opanować.

– On naprawdę nie żyje – rzekł zrezygnowany. – Borys nie żyje.

Zettenberg tylko skinął głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze do niego nie dotarło, że stracił człowieka, nie tylko podwładnego, ale również towarzysza podróży. Jako dowódcy zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

Poczuł złość.

– Muszę wiedzieć, co tam się stało – powiedział i ruszył korytarzem, nie oglądając się za siebie.

W sterówce zastał Czarneckiego przeglądającego dane holograficzne i Angelikę Sorono stojącą przed iluminatorem. Wzrok kobiety utkwiony był gdzieś daleko w przestrzeni. Milcząca i smutna wyglądała jak posąg greckiej bogini. Hubert zwrócił się najpierw do niej:

– Co z Siną?

– Jest w szoku – odparła, nie odwracając się. – Zaaplikowałam jej środek uspokajający i odesłałam do kajuty. Nic jej nie będzie.

– To dobrze. A jak pani się czuje?

Angelika spojrzała na Zettenberga, próbując się uśmiechnąć. Wyszedł tylko grymas, a jej oczy nabiegły łzami.

– Poradzę sobie – powiedziała, próbując nadać swojej wypowiedzi pewny siebie ton. – Pójdę już. Zobaczę, co z pozostałymi członkami załogi.

Gdy wyszła, Hubert spojrzał na panel sterujący.

– Teraz proszę mi powiedzieć, jak do tego doszło?! – zapytał ostro Czarneckiego. Zbyt ostro, jakby wypadek był winą młodego porucznika.

– Nie jestem pewny, komandorze – odparł Daniel. – Potrzebuję więcej czasu na analizę, ale wygląda na to, że wpadliśmy w ogon komety.

– Jak to możliwe?

– No cóż, to jest obłok Oorta. Tutaj kometa to nie rzadkość, pewnie

zahaczyliśmy o warkocz pyłowy. Przy takiej prędkości, jaką osiągnął *Marek Aureliusz*, wystarczy drobina, żeby nas roztrzaskać.

– System ostrzegania?

– Nie wiem. – Porucznik pokręcił głową. – Zawiódł. Może ten pyłek był zbyt mały?

– Wówczas reflektor fotonowy powinien go zneutralizować.

– To prawda – przytaknął Daniel. – Chociaż prawdopodobieństwo jest nikłe...

Zamilkł, widząc posępną minę dowódcy. Hubert przymknął powieki, ponownie do jego głowy wkradły się ponure myśli, że ktoś z załogi sabotuje wyprawę. Tak wiele awarii nie mogło być zbiegiem okoliczności. Postanowił, że później dokładnie zbada sprawę, ale na razie musiał opanować sytuację.

– Sekcja trzynasta i czternasta muszą być odcięte do końca lotu – zdecydował. – Jak wygląda nasz kurs?

– Uderzenie spowodowało niewielkie odchylenie, ale da się to skorygować, odpalając silniki manewrowe.

– To już po raz drugi, a jesteśmy zaledwie w połowie drogi do Alfy Centauri.

Daniel Czarnecki zbył uwagę milczeniem.

– Proszę nanieść odpowiednie poprawki, poruczniku, i wykonać manewr – rzekł Hubert. – W razie czego będę w swojej kajucie.

– Tak jest, komandorze.

Pogrzeb Borysa Łuszczaka odbył się kilka godzin później. Siedmioosobowa już teraz załoga *Marka Aureliusza* zebrała się przy śluzie statku. Wszyscy ubrani byli w nieskazitelnie białe mundury Zjednoczonej Floty Kosmicznej. Na ich twarzach można było dostrzec przygnębienie, żal i niepokój. Nie tak to sobie wyobrażali.

Trumnę symbolizowała pusta kapsuła ratunkowa owinięta w trójkolorową flagę Federacji Rosyjskiej. Do środka zapakowali kilka osobistych rzeczy Łuszczaka oraz jego zapasowy elektroniczny

identyfikator. Jeśli ktoś kiedyś znajdzie dryfującą w przestrzeni kapsułę, będzie wiedział, że jest to miejsce spoczynku rosyjskiego nawigatora, uczestnika pierwszej wyprawy do innego systemu gwiazdowego, któremu niestety nie było dane dotrzeć do celu.

Komandorowi trudno było wymieniać zasługi człowieka, którego znał zaledwie od roku. Przypomniawszy sobie za to kilka zabawnych sytuacji podczas testów w obozie treningowym, jak choćby tę, gdy wszyscy uczestnicy szkolenia musieli przez trzy dni tworzyć origami. Borys był potężnym mężczyzną, o dłoniach stworzonych raczej do pracy fizycznej niż do misternego składania przestrzennych figur. Łuszczakowi wychodziło to niezgrabnie i jego trójwymiarowe bryły były koślawe, a papierowe zwierzęta w niczym nie przypominały swoich żywych odpowiedników. Ćwiczenie jednak miało na celu sprawdzenie cierpliwości kandydatów, a on nie zrażał się niepowodzeniami i spokojnie tworzył swoje dzieła bardziej przypominające kubistyczną sztukę niż origami.

Każdy z członków załogi ciepło wspominał Borysa. Nie sposób było nie lubić jowialnego, serdecznego Rosjanina, który zawsze służył pomocą i nigdy nie narzekał. Gdy inni skarżyli się na jedzenie, na nudę wypełniającą ich dni, na niezmienny krajobraz za iluminatorami, on potrafił odnaleźć radość w każdym aspekcie życia. Hubert zrozumiał, jak bardzo będzie mu brakowało nawigatora.

Zamiast tego wszystkiego Zettenberg powiedział kilka suchych zdań. Kiedy zamilkł, zapanował cisza. Po paru chwilach zaczęli opuszczać pomieszczenie. Gdy wreszcie wszyscy wyszli i zamknęli za sobą grodz, dowódca otworzył służbę i kapsuła uleciała w przestrzeń. Przez przezroczystą osłonę widzieli, jak w jednej chwili znika, aby pozostać w próżni, w nieprzeniknionym, czarnym grobie.

Teodor Meyer szepcem zmówił modlitwę.

ROZDZIAŁ 16

ŚLEDZTWO

Przez kilka następnych dni załoga była pogrążona w żałobie. Każdy na swój sposób przeżywał odejście Borysa. Niektórzy niczym zjawy snuli się po korytarzach statku, inni, nie mając ochoty na towarzystwo, pogrążali się w pracy.

Teodor przestał prowadzić z Danielem teologiczne dysputy, zaprzestał nawet gry w szachy z Erem. Praktycznie nie opuszczał własnej kajuty, w której oddawał się medytacjom i modlitwie.

Yaka i Angelika zbliżyły się do siebie i teraz już wszystkie noce spędzały wspólnie. Ostentacyjnie okazywały swoją zażyłość w obecności innych członków załogi, całując się i pieszcząc. Hubertowi to się nie podobało, nie ze względu na nietolerancję wobec homoseksualizmu, ale dlatego, że romans na pokładzie statku zazwyczaj zwiastował kłopoty. W swojej karierze zawodowej niejednokrotnie był świadkiem, jak namiętność wpływała na funkcjonowanie najlepszych zespołów. Nawet przy szczególnym zadbaniu o intymność relacji trudno o nieprzenoszenie osobistych spraw na grunt zawodowy. Na razie związek kobiet wydawał się idealny, ale Zettenberg wiedział, że prędzej czy później dojdzie między nimi do konfliktów, a wówczas odbije się to na ich pracy, a także całej załodze.

Sina Finderman z dumnej, silnej i niezależnej kobiety stała się cieniem dawnej siebie. Widmo śmierci spoglądające jej w oczy podczas ostatnich wydarzeń zachwiało jej poczuciem własnej wartości. Chodziła ze spuszczoną głową, ze spojrzeniem utkwionym w podłogę. Podczas posiłków w mesie Hubert czasami ją zagadywał,

ale ona odburkiwała tylko coś pod nosem lub pytania zbywała milczeniem. Angelika twierdziła, że Finderman potrzebuje trochę więcej czasu, i aplikowała jej środki antydepresyjne.

Er Yohma spędzał długie godziny ze swoimi robotami, praktycznie nie opuszczając sekcji cybernetycznej. To było jego królestwo, gdzie czuł się dobrze i pewnie. W kontaktach z ludźmi stał się jeszcze bardziej zamknięty i mrukliwy.

Jedynie Daniel Czarnecki próbował ożywić atmosferę na statku ciągłymi żartami, opowieściami, anegdotami, ale nie były one już tak zabawne jak wcześniej i widać było, że jego dobry humor jest wymuszony. Na twarzy porucznika pojawiły się lekkie zmarszczki, a oczy pozostawały smutne.

Nie ulegało wątpliwości, że śmierć Borysa Łuszczaka zmieniła coś w każdym z nich.

Zettenberg zszedł ze swojej wachty, zamknął się w kajucie i położył na koi. Ale sen nie przychodził. Śmierć Rosjanina nie dawała mu spokoju. Przewracał się z boku na bok, próbując odpędzić nieprzyjemne myśli, lecz nadaremnie. Po kwadransie zrezygnował, usiadł przy prywatnym panelu komputerowym. W rejestrze plików muzycznych wybrał I symfonię D-dur *Tytan* Mahlera. Chwilę później z wmontowanych w ścianę głośników popłynęła muzyka. Pomieszczenie wypełniło się dźwiękami skrzypiec, wiolonczeli, piszczałek, bębnów, waltorni. Hubert potrzebował odprężenia i wytchnienia, a łagodne pociągnięcia smyczków kołysły jego nerwy, subtelnie wdzierały się w najgłębsze obszary mózgu.

Przyjemne konsonanse wypełniły go całego. Zauroczone muzyką przymknął oczy i pozwolił się ponieść. Zobaczył bawarskie łąki, tańczące w locie różnobarwne motyle, błękit nieba i zieleń traw, o wiele piękniejsze od szarości ścian *Marka Aureliusza*. Kwiaty wyciągające płatki w kierunku życiodajnego słońca, liście szepczące o wodę, wiatr smagający połacie pól. Ciepło melodii przenikało jego

ciało. Niemal czuł pod powiekami blask słońca, widział odcień ziemskiego nieba. Tak bardzo za tym tęsknił.

Nagle utwór z radosnej sielanki przerodził się w patetyczną i niepokojącą kakofonię dźwięków. Mózg Huberta w pierwszej chwili odebrał to jako dysonans i chciał odrzucić, jednak po chwili rytm się ustabilizował. Zagrzmiały basy. Bębny w tle zmieniły obraz ciepłej i wesołej polany. Krajobraz się nieznacznie przeobraził. Zettenberg wizualizował sobie teraz alpejskie sosnowe lasy, szczyty gór strzelające w niebo, czapy lodowe odbijające szkarłatne promienie wschodzącego słońca. Jakże pragnął ciepła rodzimej gwiazdy, chciał, żeby otuliła go swoimi promieniami, ukołysała w rytm muzyki.

Wtem wszystko ucichło. Po chwili jedynie bębny zaczęły wybijać rytm. Cicho, spokojnie, majestatycznie. Hubert, pozbawiony cielesnej powłoki, wystrzelił niczym rakietą w przestworza. Ujrzał błękitno-białą Ziemię, srebrny Księżyc, malejące z każdą chwilą Słońce. Minął szkarłatnego Marsa, Jowisza, Saturna, Urana, Neptuna, Pas Kuipera, układ Alfa Centauri, lecz nie zatrzymał się. Pędził dalej! Przemierzał kolejne systemy gwiazdne, aż opuścił Drogę Mleczną i ruszył w stronę innych galaktyk. Przeleciał obok Małego i Wielkiego Obłoku Magellana, orbitujących wokół Drogi Mlecznej, i w błyskawicznym tempie przebył Mgławicę Andromedy. Potem mknął już przez całe mnóstwo galaktyk spiralnych, eliptycznych, nieregularnych... Dalej! Dalej! Muzyka była paliwem jego świadomości. Pulsary, kwazary, cefeidy – fenomeny urzekające swym pięknem. Jakże mały czuł się przy tych cudach kosmosu.

Cisza.

Zatrzymał się. Dotarł tam, gdzie nie było już nic, a może było wszystko? Początek wszechświata! Ryknęły wszystkie instrumenty w ogłuszającym muzycznym finale. Patetycznie rozbrzmiały fanfary. Dźwięki niosły ze sobą strach i niepokój, lecz równocześnie niewyobrażalną potęgę. Znalazł się w miejscu, w którym fizyka nie

istniała. Zobaczył, czy raczej wyczuł jakimś nowym zmysłem, niesamowite twory. Drgające w takt muzyki czterowymiarowe membrany absurdu, sfery nierealności, chmury substancji zdziwienia, figury geometryczne niemożliwe w swym szaleństwie, n-wymiarowe przestrzenie Banacha. Obłąd w czystej postaci. Tu czas i przestrzeń nie miały racji bytu. Nie istniało nic i istniało wszystko. Wbrew prawom fizyki, nieuporządkowane we wszechobecnym chaosie. Nic zakłęte we wszechrzecz. A przecież na początku było słowo. Jakże teraz pragnął słowa, by wszystko zaistniało i wróciło do normy.

Symfonia dobiegła końca. Hubert przetarł oczy, otrząsając się z głębokiego snu. A może wizji? Muzyka uaktywniła jakieś obszary jego mózgu, tego był pewien. Zastanawiał się nad tym, co ujrzał. Według taoistycznych rozważań wszystko, co się wokół dzieje, jest tylko odzwierciedleniem zdarzeń w świecie niedostępnym dla ludzkiej percepcji, jeśli zaś chodzi o czas wydarzeń, dzieją się one później niż ich widziane prototypy. Może więc w swojej wizji dotarł do owego źródła wszelkiego istnienia, rzucającego hologramy miliardów wszechświatów? Do Wielkiej Macierzy.

A jeśli tak jest w istocie i ktoś bawi się w operatora filmowego wyświetlającego świat, oznacza to wtedy, że wszystko jest z góry zaprogramowane, ustalone, a obraz dociera do nas z pewnym opóźnieniem. Czy wówczas można przewidzieć bieg wydarzeń? Zapobiec tragediom takim jak śmierć Łuszczaka? A może w takim razie uda się przewidzieć przyszłość? Powinna zatem istnieć możliwość zdobycia informacji o tym, co ma się wkrótce stać.

Hubert uruchomił plik I Ching, który dostał od Angeliki Sorono. Pomyślał, że skoro Księga Przemian używana jest przez ludzi do wróżb, to może jest furtką wykorzystującą opóźnienia w projekcji świata wzorcowego.

– *Zadaj pytanie wyroczni* – oznajmił beznamiętny głos z komputera.

Zettenberg skrzywił usta. Nigdy nie wierzył w żadnego rodzaju przepowiednie, gusła, proroctwa i uważał się za człowieka twardo stąpającego po ziemi, więc nie rozumiał, co go podkusiło do włączenia programu.

Zastanawiając się, jakie pytanie zadać wyroczni, nagle poczuł niepokój. Do jego świadomości zakradła się myśl, że śmierć Łuszczaka to nie koniec problemów, a dopiero ich początek.

– Czy nasza misja zakończy się sukcesem?

W I Ching zawarte zostały myśli mędrca Lao-cy, chińska wiedza i filozofia ujęta w sześćdziesiąt cztery heksagramy. Opatrzone tekstem odkrywają przeszłe i przyszłe zdarzenia. Niegdyś wróżono przy pomocy łydyg krwawnika lub monet, ale w dwudziestym pierwszym wieku zastąpiono te archaiczne metody programami holowizyjnymi.

Komputer wylosował sekwencję i przedstawił ją w formie graficznej. Na wyświetlaczu ukazało się sześć linii, z czego pierwsza od dołu, trzecia i szósta były przerywane. Z głośników dobiegł metaliczny głos:

– *K'un.*

– Co oznacza?

– *Opresję.*

Huberta to nie zdziwiło. Wyglądało na to, że wróżba jest bliska prawdy.

– Zacytuj tekst.

Komputer wyrecytował:

Sześć na początku znaczy:

Siedzi się w opresji pod drzewem bez liści.

Zbłądzi się w mroczną dolinę.

Przez trzy lata nie widzi się nic.

Zettenberg drgnął zaskoczony trafnością przepowiedni. Opresja wskazywała na obecną sytuację, na zagrożenie misji. Mroczna dolina mogła symbolizować zimną czerń kosmosu, a trzy lata to akurat czas lotu do Alfy Centauri i z powrotem.

– Komentarz – zażądał.

– Gdy człowiek popadnie w niedolę, jest dla niego ważne przede wszystkim, by był silny i wewnętrznie przewycięzał przeciwności losu. Jeśli jest słaby, przeciwności losu pognębią go. Zamiast kroczyć dalej, siada pod bezlistnym drzewem i coraz głębiej popada w mrok przygnębiania i melancholii, przez co jego sytuacja staje się jeszcze bardziej beznadziejna. Postawa taka jest skutkiem wewnętrznych iluzji, które koniecznie trzeba przewyciężyć.

Według wróżby jeśli załoga okaże się silna, a ludzie zdeterminowani, to przewyciężą kryzys, jeśli zaś popadną w marazm, skończy się to porażką. Hubert ze złością wyłączył program. Tego nie musiała mu mówić żadna wyrocznia, sam o tym dobrze wiedział.

Heksagramy w Księdze Przemian były tak niejasno sformułowane, że dawały się przypasować do wszystkich sytuacji życiowych i każdy mógł odnaleźć coś dla siebie. Ludzie będą szukać ukrytych znaczeń nawet tam, gdzie ich nie ma.

Hubert westchnął ciężko. Wybieganie w przyszłość nie miało sensu. Co ma być, to będzie. Postanowił skupić się na tu i teraz. Musiał bez pomocy wyroczni znaleźć przyczynę śmierci Borysa, o którą cały czas się obwinał. Jako dowódca wyprawy zawiódł, dopuszczając, aby podwładny zginął.

Ponownie pochylił się nad wyświetlaczem komputera i dotykając palcami trójwymiarowych projekcji graficznych, zaczął przeszukiwać rejestr plików z zapisem kamery umieszczonej w sektorze czternastym. Postanowił zacząć od zbadania przyczyny wyrwy w kadłubie.

Po raz kolejny raz przeszukał najgłębsze zakątki pamięci komputera, ale Daniel miał chyba rację. Brakowało dwudziestu czterech godzin zapisu wizyjnego przed wypadkiem. Dlaczego? Awaria systemu monitoringu? Uszkodzona kamera? A może ktoś celowo wykasował dane?

Tknięty nagłą myślą rozkazał komputerowi odtworzyć obraz sektora czternastego tuż po wypadku, zarejestrowany dzięki kamerze awaryjnej, która automatycznie włączyła się w czasie alarmu.

Wyteżał wzrok, żeby dostrzec coś, co potwierdziłoby jego przypuszczenia. W pewnej chwili zatrzymał film i powiększył obraz. Poczul, jak po plecach przechodzą mu ciarki. W burcie okrętu ziała czernią kilkumetrowa, nieregularna dziura. Jednakże Hubert przeraził się naprawdę, gdy dostrzegł, że poszarpane krawędzie wygięte są na zewnątrz. Oznaczało to jedno. Eksplozja nastąpiła WEWNĄTRZ statku!

Przejrzał szybko skatalogowaną listę ekwipunku znajdującego się w pomieszczeniu. Wybuch nie mógł nastąpić samoczynnie, na stanie nie było żadnych niebezpiecznych ani wybuchowych substancji. Hubert jeszcze bardziej przybliżył obraz i dostrzegł czarny osad wokół krawędzi. To potwierdzało jego przypuszczenia: ktoś podłożył ładunek wybuchowy.

Uświadomił sobie, że uszkodzenie nastąpiło w takim punkcie konstrukcyjnym statku, że gdyby wybuch posiadał większą siłę, *Marek Aureliusz* rozpadłby się na pół. Zettenberg nie miał już wątpliwości, że był to akt sabotażu. Tylko kto to zrobił?

Pierwsze podejrzenie padło na Borysa. Pragnął zniszczyć statek, zabić załogę i tym samym skazać misję na niepowodzenie.

– Ale dlaczego? – wyszeptał w pustkę Hubert.

Odszukał w komputerze dossier Łuszczaka. Pojawiło się jego zdjęcie, dane osobowe, profil psychologiczny, dokonania i zasługi.

Cała litania zasług. Zaczął czytać. Czterdziestoletni Rosjanin, urodzony w Moskwie. Akademia Astronautyki ukończona z wyróżnieniem. Trzykrotny uczestnik wypraw na Marsa. W dwa tysiące czterdziestym ósmym roku uratował kolonię górniczą na Deimosie. Nie udzielał się w organizacjach politycznych ani religijnych. Żył dwa lata z kobietą, która miała pozwolenie na dziecko. Ojciec trzyletniego chłopca. To tyle...

Komandor odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Zastanawiał się, co skłoniło Borysa do takiego czynu? Nie wyglądał na zamachowca ani tym bardziej na samobójcę. Może był komunistą? W Rosji ten ruch nie wygasł jeszcze zupełnie. Ci szaleńcy nadal wierzyli w idee Marksa i Lenina, chcieli przywrócić świetność dawnemu Związkowi Radzieckiemu. Organizacja była jednak bardziej folklorem lokalnym niż realnym zagrożeniem dla porządku świata, zresztą Hubert nie słyszał, żeby komuniści byli przeciwnikami misji. Ale Borys musiał zrobić to w imię jakiejś idei. Projekt Raj Utracony miał wielu wrogów...

Po raz kolejny przypomniał sobie słowa Manfreda Köllera o jakiejś tajemniczej organizacji chcącej sabotować misję. Na całe szczęście plan Łuszczaka nie powiódł się i zginął tylko sam zamachowiec. Może sprawiła to opatrność? A może Bóg, w którego na pokładzie gwiazdolotu wierzył tylko Meyer?

Zettenberg zdecydował nie mówić nikomu o swoim odkryciu; wolał pozostawić wspomnienie o Borysie jako bohaterze i dobrym koledze. Przynajmniej na razie. Tak będzie lepiej dla wszystkich, uznał.

Najważniejsze, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

ROZDZIAŁ 17

ZAMACHOWIEC

Alfa Centauri rośła w oczach. Nie była już dalekim i bladym odbiciem na firmamencie kosmosu, ale coraz realniejszym, zbliżającym się celem. Słońce nowej ery, już niemal na wyciągnięcie ręki, lecz nadal tak odległe. Nadzieja na nową przyszłość, ratunek dla ludzkości.

Tak naprawdę jednak Alfa Centauri nie była pojedynczym obiektem, lecz składały się na nią trzy gwiazdy. Toliman i KIV tworzyły układ podwójny, któremu towarzyszył czerwony karzeł o nazwie Proxima Centauri obiegający je po dalekiej orbicie. Raj Utracony krążył wokół pierwszej z gwiazd, która przypominała Słońce.

Była tylko trochę masywniejsza i jaśniejsza. Dzięki temu podobieństwu na planecie mogły powstać warunki sprzyjające życiu.

Marek Aureliusz zmierzał ku niej w ciszy, niemalże rozrywając przestrzeń kosmiczną. Niepomny krzywd, jakie wyrządziła mu wyrwa w burcie, z determinacją cechującą bezwolne byty brnął do celu. Gigant na usługach człowieka, zbudowany z tysiąca ton stali i milionów układów scalonych, wypełniał postawione mu zadanie.

Priorytetem było doprowadzić załogę na miejsce.

Zupełnie odmienny cel miał jeden z astronautów...

Skupiony zakładał ładunek wybuchowy w pomieszczeniu przylegającym do silosu z paliwem. Użył trójnitrotoluenu, choć na początku chciał skorzystać z pentrytu. Zastanawiał się także nad tetrylem, ale w ostateczności zdecydował się jednak na klasyczny

trotyl. Jako zapalnika użył detonatora pobudzającego. Odpowiednio połączył kable, sprawdził zaciski. Odsunął się i z dumą spojrzął na swoje dzieło. Przynurzył sobie, że tym razem nie popełni błędu, i dał dwukrotnie silniejszy ładunek, co w połączeniu z sąsiedztwem wybuchowego paliwa powinno dokonać ostatecznego dzieła zniszczenia.

Poprzednio zamontował bombę, ale nie dopilnował osobiście jej eksplozji. Wówczas założył detonator czasowy, chcąc pozostały mu czas spędzić na modlitwie. Niestety, nie przewidział mocnej konstrukcji statku, grubego poszycia kadłuba i szybkiej reakcji załogi. *Marek Aureliusz* przetrwał eksplozję, a efektem dywersji było uszkodzenie zaledwie dwóch sektorów i śmierć tylko jednego człowieka. A przecież mieli zginąć wszyscy, łącznie z nim. Tymczasem gwiazdolot nadal zmierzał do celu.

Gdy zorientował się, że jego sabotaż zawiódł, jedyne, co mógł zrobić, to odwrócić od siebie podejrzania, zrzuć winę na przypadek i spróbować szczęścia ponownie w późniejszym czasie. W powstałym zamieszaniu udało mu się na konsoli centralnego komputera wykasować zapis z kamer sekcji czternastej. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Podejrzewał, że gdyby tak było, nie siedziałby tutaj, tylko zamknięty w swojej kajucie, a komandor prowadziłby śledztwo.

Żał mu było Borysa. Lubił tego potężnego, zazwyczaj milczącego, ale zawsze tryskającego optymizmem Rosjanina. Żał mu też było pozostałych członków załogi, z którymi zdążył się żyć. W niczym nie zawinili. Po prostu pragnienie przygody i ambicja pchnęły ich w kosmos, na szlak, na który ludzkość nigdy nie powinna wkraczać. Teraz złożą swoje życie na ołtarzu wojny. Wojny z największym wrogiem ludzkości. Z Szatanem.

Książę Ciemności już czekał. Po przekroczeniu obłoku Oorta był stale obecny na pokładzie gwiazdolotu, obserwował, być może miał

tu nawet sprzymierzeńców. Jego cuchnący siarką oddech dało się wyczuć z daleka, z każdego zakamarka statku wyzierały straszne, koźle oczy spoglądające z nienawiścią. W powietrzu roztaczała się aura bezosobowej wściekłości, z ciemności dochodził szydery śmiech.

Zamachowiec zatkał dłońmi uszy, pragnąc, żeby diabelski chichot ustał, ale on niestety narastał, rozbrzmiewając już teraz wewnątrz niego. Sięgnął po detonator i trzymał go mocno w spoconej dłoni. Bomba była uzbrojona i już za chwilę będzie po wszystkim. Uratuje świat od zagłady, dusze ludzkie przed wiecznym potępieniem, losem gorszym niż sama śmierć. Od mroku piekła.

Nie wolno mu było dopuścić do tego, żeby Szatan powrócił na Ziemię. *Marek Aureliusz* nie ma prawa dotrzeć do Alfy Centauri – dziedziny Beliara. Wielki Adwersarz nie może otrzymać swojej ofiary.

Zaczął się modlić półgłosem, jak go uczono. Ostatnio twarze nauczycieli coraz częściej stawały mu przed oczami. W szczególności jego mentora i przyjaciela Bernarda Cantona.

Kardynał odnalazł go w przytułku dla trudnej młodzieży i pomógł skończyć szkołę, potem studia. Cały czas był poddawany indoktrynacji, szkolony w najlepszych ośrodkach treningowych Watykanu i przygotowywany do misji służenia Panu. Nie było dziedziny, w której nie potrafił sobie poradzić. Władał biegle dziesięcioma językami, posiadał wiedzę z zakresu wszystkich dziedzin naukowych, umiał posługiwać się bronią i był wytrenowany w sztukach walki. Po zakończeniu nauki przez lata szpiegował, inwigilował i zabijał w imię Chrystusa.

Umiejętności i doświadczenie doprowadziły go tutaj. Na *Marku Aureliuszu* miał poświęcić swoje życie ku chwale Boga. Nadszedł czas, żeby umrzeć z Jego imieniem na ustach.

Skończył inwokację.

Był gotowy.

Amen...

Nagle poczuł czyjąś obecność. Kątem oka dostrzegł cień. Błyskawicznie odwrócił się. Było już jednak za późno.

– Ty? – zdołał tylko wyszeptać, widząc twarz napastnika.

Potem ogarnęła go ciemność.

Er Yohma umarł ze skrzyconym karkiem.

Kolejna śmierć, kolejny pogrzeb. Tylko takie myśli kłębiły się w głowie Zettenberga, gdy przekraczał próg laboratorium medycznego. W śnieżnobiałej sali na stole operacyjnym leżał Er Yohma. Jego głowa była nienaturalnie wykrzywiona. Martwe oczy wyrażały nieme zdumienie.

Nad denatem krążyły autonomiczne czujniki medyczne, wykonujące badania. Co jakiś czas niebieskie światło skanera przeszywało martwe już ciało. Nad sekcją zwłok czuwała Angelika.

– Jak zginął? – spytał.

– Skręcił kark – odparła ponuro. – Gdzie pan go znalazł?

– W sekcji cybernetycznej, gdy robiłem obchód statku. Musiał spaść, konserwując automaty.

Komandor spojrział na Angelikę. Na jej twarzy malowała się rezygnacja. Cała załoga była jakby otepiała, w głosach nie słyhać było żalu ani smutku. Nikt nie zapłakał, jak przy śmierci Łuszczaka, nikt nie podniósł lamentu, nawet nikt nie zaklął. Na wieść o śmierci Yohmy wszyscy opuścili głowy i wrócili do swoich zajęć.

Włóczyli się po korytarzach bez celu, pracowali bez zaangażowania. Jak tak dalej pójdzie, *Marek Aureliusz* zamieni się w statek widmo, mknący w upiornie czarnej otchłani kosmosu z martwymi i żywymi trupami na pokładzie, pomyślał Hubert.

On sam miał ochotę zamknąć się w kajucie i nie wychodzić do końca wyprawy. Na to jednak nie mógł sobie pozwolić. Był przecież dowódcą misji i na nim ciążyła odpowiedzialność za jej powodzenie.

Po stracie dwóch astronautów będzie ciężko, ale na szczęście każdy z członków załogi posiadał kwalifikacje pozwalające zastąpić innych na ich stanowiskach. Po śmierci Borysa obowiązki nawigatora przejął Meyer, bo jako astrofizyk posiadał też ku temu odpowiednie kwalifikacje. Natomiast automatami mógł zająć się Czarnecki. Co prawda pełnił obowiązki pilota, ale jak na razie wachty były jedynie ciągnięciami się w nieskończoność dyżurami i sterówkę można było spokojnie pozostawić bez nadzoru. W pustej przestrzeni pomiędzy dwoma układami gwiazdnymi *Markowi Aureliuszowi* nie groziła żadna kolizja. W tej chwili ważniejsza była odpowiednia konserwacja wszystkich automatów, z których będą korzystali po dotarciu na miejsce.

– Wie pan, że Er był wierzący? – zagała Angelika.

– Co? – zdziwił się Zettenberg. – Przecież określał się jako ateista i często wyśmiewał Teodora za jego chrześcijańskie praktyki.

– Na lewej piersi, pod skórą, miał wszczep.

– Jaki?

– Niewielki tytanowy krzyż.

– Symbol chrześcijan.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Może porzucił wiarę?

– Wówczas usunąłby wszczep. Nie jest to trudne. Nawet w naszym laboratorium mógł to zrobić.

– To prawda – zgodziła się Sorono. – Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Hubert musiał przyznać Angelice rację. Rozpatrywanie tego, czy Yohma był chrześcijaninem, nie miało teraz sensu. Jednakże komandorowi nie dawała spokoju myśl, że Er ukrywał to przed załogą. Dlaczego? Może bał się, że zostanie wyśmiany jak Teodor? Zettenberg jednak czuł, że kryło się za tym coś więcej niż tylko wstyd. Teraz jednak, mając na głowie ważniejsze sprawy, nie mógł

się nad tym zastanawiać.

– Jutro urządzimy pogrzeb – zdecydował.

– Ciało będzie w chłodni – odparła Angelika głosem pozbawionym emocji.

Teodor Meyer źle spał, bez przerwy przewracał się z boku na bok. Zimny pot wystąpił mu na czoło i spływał teraz cienką strużką po skroniach. Śnił koszmary. W jego snach pojawili się Borys i Er. Jakimś sposobem wrócili z mroźnej pustki kosmosu i znaleźli drogę do *Marka Aureliusza*. Pukali w szybę śluzu i czekali, aż im ktoś otworzy. Zimne, blade ciała, martwe oczy...

We śnie Teodor wpuścił ich do środka, bo nie mógł patrzeć na niedolę współtowarzyszy. Stanęli przed nim chwiejnie na nogach, niezgrabnie młócąc powietrze rękoma, jakby nie posiadali już kontroli na swoich ciałami. Spoglądali na niego błagalnie, a on nie wiedział, jak im pomóc. Czuł przerażenie. Zastanawiał się, czy to nadal są jego przyjaciele, czy jakieś istoty, które przybrały tylko ich ciała? Ale odczuwał również żal i współczucie. Pragnął, żeby znowu wszystko było jak dawniej, znowu chciał grać z Yohmą w szachy, tłumaczyć Łuszczakowi różnego rodzaju teorie naukowe, cieszyć się ich obecnością. Nagle uświadomił sobie, że ich tu nie powinno być. Przecież są martwi i dryfują w przestrzeni kosmicznej. Zapragnął odpędzić od siebie ten sen, obudzić się. Wówczas Er postąpił krok do przodu i wyciągnął błagalnie zgrabiałą rękę.

– Uratuj nas – wyszeptał posiniałymi ustami. – Uratuj nasze dusze.

– Jak?

– Nie pozwól Szatanowi zapanować nad światem.

– Co mam uczynić?

– To, co zrobiłby każdy miłujący Boga chrześcijanin. – Er wyszczerzył spróchniałe zęby w uśmiechu. – *Marek Aureliusz* nie może dotrzeć do celu. Zawróćcie!

Meyer obudził się przerażony, z zaschniętym gardłem. Przez

chwilę leżał na koi, próbując uspokoić oddech. Wreszcie wstał i od razu zadrżał, gdy ukłuł go chłód posadzki pod bosymi stopami. Nie przejął się tym. Zimno go otrzeźwi, rozwieje resztki koszmaru. Otworzył drzwi kajuty i ruszył w stronę mesy. Musi napić się wody, przepłukać gardło, odsunąć od siebie wspomnienie snu.

Korytarz pogrążony w ciemności wydawał się nierealny. Widział go jakby za mgłą oddzielającą świat rzeczywisty od onirycznego. Poruszał się powoli, brnąc przez tę mleczną maź, a ona hamowała jego ruchy. Za otwartymi drzwiami sterówki widział migające różnymi kolorami diody pulpitu. Ale mimo że szedł, nie zbliżał się do nich. Dziwne. Czyżby jeszcze śnił?

Usłyszał kapanie, najpierw ciche, potem przybierające na sile. W pierwszej chwili pomyślał, że dobiega z mesy. Może ktoś zostawił odkręconą i wywróconą butelkę z wodą? Ale dźwięknie dochodził z jakiegoś konkretnego miejsca, zdawał się wypełniać wszystkie pomieszczenia na statku.

Nagle poczuł czyjąś obecność. Odwrócił się. Korytarz aż do grodzi magazynowych otulony był mgłą, która zgęstniała i utrudniała widoczność. Nikogo więc nie dostrzegł. Usłyszał natomiast uderzenie skrzydeł. Wytężył wzrok, usiłując coś wypatrzyć. I wtedy to zobaczył. Jakiś czarny stwór wynurzył się z mroku i leciał prosto na niego. Próbował uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wszystko nadal działało się w zwolnionym tempie. Wiedział, że nie zdoła zbiec. Zasłonił się rękoma, czekając na atak.

Tuż przy jego uchu rozległo się złowróźbne krakanie. To kruk! Minął go dosłownie o cal. Co robi kruk na statku!?! Serce waliło Teodorowi jak oszalałe.

Ptak zniknął równie szybko, jak się pojawił. Wszystko wydawało się wracać do normy. Mgła powoli się rozrzedzała. Meyer wziął głęboki oddech. Zaczynam mieć halucynacje, pomyślał. Odwrócił się w stronę mesy i stanął jak wryty. Serce podeszło mu do gardła.

Naprzeciw niego stał krzyż z przybitym doń Chrystusem. Nie był to holoobraz czy rzeźba Zbawiciela, lecz prawdziwy ukrzyżowany Jezus. Krople krwi z jego pokaleczonych gwoździami dłoni spadały, uderzając o podłogę, tak że miarowy, głuchy odgłos niósł się echem po korytarzu.

Astrofizyk stał jak zahipnotyzowany, wpatrzony w cierpiącą twarz Mesjasza. Ostre semickie rysy zdradzały niezwykłą siłę charakteru, ale również pełną miłości łagodność. Bruzdy nadawały obliczu wyraz męki. Pod oczami malowały się głębokie cienie. To naprawdę jest On? – zastanawiał się Meyer. Wreszcie udało mu się spotkać Chrystusa, po tylu latach poszukiwań, wyrzeczeń i wiary. Doznał objawienia. Daleko od Ziemi, w mrocznej pustce kosmosu.

Zaraz jednak jego myśli powędrowały do ukrzyżowanego Jezusa. Wydawało się, że już umarł. Ale nie, jego klatka piersiowa uniosła się delikatnie. Żyje! Teodor chciał biec, podtrzymać go za nogi, nie pozwolić umrzeć... Lecz wtedy Chrystus nie wypełniłby przecież swojej misji. Nie zbawiłby ludzkości, uwalniając ją od grzechu. Nie dokonałaby się ofiara. Teodor zatrzymał się w pół kroku.

Nagle Jezus otworzył powieki, a on cofnął się przerażony. Chrystus wpatrywał się w niego oczyma pozbawionymi białek, wypełnionymi czernią kosmosu. Łagodność na jego twarzy zastąpił grymas wściekłości. Do uszu mężczyzny dobiegł szyderczy, pełen nienawiści śmiech, rozbrzmiewał w jego uszach jeszcze długo, ścigał go, gdy uciekał do swojej kajuty, by ukryć się i zostawić za sobą ten koszmar. Kłujący niczym sztylet, chrapliwy, gardłowy głos krzyczał za nim:

– Jak mam cię zbawić?! Przecież ty nie posiadasz DUSZY! DUSZY!
DUSZY!

ROZDZIAŁ 18

KOSZMARY YAKI MASHARI

Dżungla, jak ją sami nazwali, rozciągała się między sektorami dwudziestym czwartym a trzydziestym szóstym i nie licząc zbiorników wodnych, stanowiła największy obszar członu magazynowego. Przeznaczona była do uprawy genetycznie modyfikowanych roślin. Nad krzakami i niewielkimi drzewami jarzyły się reflektory solarne i pochylały swoje pochłaniacze metaliczne filtry.

Rosły tu, generując tlen, najprzeróżniejsze kwiaty, a przede wszystkim rozłożyste paprocie.

Wśród ścieżek i plątaniny krzewów znajdowały się grządki pomidorów i ziemniaków.

Kiedy załoga miała już dość syntetycznej papki z dystrybutora, robiła sobie ucztę z prawdziwych warzyw. Zazwyczaj były wtedy serwowane sałatki i surówki. Na Ziemi nic nadzwyczajnego, ale tutaj rarytas.

Po ostatnich wydarzeniach Zettenberg postanowił podnieść morale załogi, a nic tak nie poprawia samopoczucia, jak dobre jedzenie. Zdecydował, że własnoręcznie przygotowuje dla nich kolację.

Jakże pragnął, aby wszystko wróciło do normy, żeby załoga była ponownie skonsolidowana i pełna zapału. Przypomniawszy sobie, jak to było tuż po starcie, jakie nastroje wówczas panowały: nadzieja, ciekawość i chęć przygody. Teraz dominowały strach i rezygnacja. Marazm widoczny był w poczynaniach ludzi, w ich rozmowach, biernym wykonywaniu codziennych obowiązków. Rok po starcie *Marka Aureliusza* na jego pokładzie panowała atmosfera

przygnębienia i wydawać by się mogło, że misja już nie ma znaczenia dla żadnego z załogantów.

Nawet Zettenberg miał chwile zwątpienia i chociaż do celu było już bliżej niż dalej, zastanawiał się, czy nie zawrócić gwiazdolotu z powrotem na Ziemię. Zaraz odpędzał od siebie takie myśli, był przecież dowódcą odpowiedzialnym za los wyprawy. Wiedział jednak, że musi coś przedsięwziąć, bo w przeciwnym razie do Alfy Centauri dolecą tylko ludzkie wraki. Stąd pomysł wspólnej kolacji.

Minął krzaki z pomidorami, wszedł między grządki ziemniaków i już nachylał się, żeby je wykopać, gdy nagle pod konarem rosnącego niedaleko karłowatego drzewa dostrzegł Sinę. Siedziała oparta o pień, w wojskowych spodniach khaki, wysokich butach i czarnej obcisłej koszulce na ramiączkach, pod którą rysowały się duże, krągłe piersi. Musiała niedawno wykonywać jakieś prace ogrodnicze, gdyż na automacie do pielienia migiała lampka sygnalizująca pauzę. Teraz kobieta odpoczywała, bezmyślnie wpatrzona w dal.

Usłyszała, jak nadchodzi, i spojrzała na niego obojętnie.

– Wszyscy umrzemy, prawda? – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Hubert zmarszczył brwi.

– Nieprawda! – Usiadł obok niej na ziemi. – Proszę tak nie mówić.

– Tam coś na nas czeka. – Jej stalowoniebieskie oczy błyszczały niezdrowo.

Poczuł dreszcz.

– O czym pani mówi?

– Jakaś moc, pociągająca i mroczna. Ona tam jest. Mami, obiecuje, uwodzi. Wzmaga w nas nasze żądze. Jest w tym obietnica potęgi i władzy. Sięga do naszych najskrytszych pragnień i marzeń. W zamian chce coś od nas dostać, coś nam wydrzeć. Może duszę?

Komandor spoglądał na nią przerażony. Nie wiedział, o czym Sina mówi, dla niego był to bełkot. Zastanawiał się, czy Finderman

postradała zmysły? A może wypadek w laboratorium, gdzie omal nie straciła życia, tak ją odmienił? Traumatyczne wydarzenia mogły wpłynąć na jej psychikę. Jednakże to było kilka miesięcy temu, Angelika twierdziła, że Sina już zapomniała o tamtym wydarzeniu.

– Er i Borys... to coś ich zabiło!

– Bzdura! – zaprzeczył. Zbyt gwałtownie. – To były wypadki.

Nie skłamał, ale nie mógł jej zdradzić swoich podejrzeń w przypadku Łuszczaka.

– Nie! To coś ich zabiło... ja wiem.

– Proszę nie mówić głupstw.

– Ta moc jest zła! – Zadrżała, w oczach zatańczyły łzy. – Nie mogę się skupić. Nie mogę pracować. Mgła ogarnia moje myśli. Nie wiem, co się ze mną dzieje...

– Spokojnie – rzekł Hubert. – Wszystko będzie dobrze.

Miał świadomość, że jego słowa brzmią sztucznie, ale nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał pocieszać ludzi, nigdy to mu dobrze nie wychodziło. Znał się na wydawaniu rozkazów, wymuszaniu dyscypliny, ale miał problem z okazywaniem empatii i zrozumienia. Na stanowisku dowódczym nie była to cecha niezbędna, a w życiu prywatnym poniósł na tym polu klęskę. Gdyby tylko potrafił dać Miriam więcej ciepła, okazywał emocje, może nie szukałaby pocieszenia w ramionach innego mężczyzny, a ich związek by przetrwał. Wówczas jednak nie byłby tutaj, biliony kilometrów od niej, ale na Ziemi, wraz z nią. Siedzieliby przytuleni na kanapie, słuchali muzyki, pili wino, rozmawiali, śmiali się, kochali.

Zettenberg objął Sinę ramieniem, a ona wtuliła się w niego. Poczuł jej ciepło i zapach. Zadrżał. Uświadomił sobie, jak dawno nie miał kobiety, jak bardzo potrzebował bliskości i czułości. Odgarnął kosmyk jej włosów opadający na twarz, musnął palcami policzek. Uśmiechnęła się lekko, a potem odszukała jego usta. Oddał pocałunek.

Wypełniło ich podniecenie, gwałtownie przywarli do siebie, języki się splotyły. Pieszczoty stawały się coraz śmielsze. Hubert zaczął całować szyję kobiety, wsunął dłoń pod jej koszulkę, gładząc piersi. Sina westchnęła z rozkoszy. Sięgnęła do jego krocza, wprawnymi ruchami rozpinając spodnie. To go jeszcze mocniej podnieciło. Zettenberg gotowy był zedrzeć z niej ubranie, osiąść ją tutaj, pomiędzy grządkami warzyw, nie bacząc na wszystko i wszystkich. Wedrzeć się w nią głęboko, poczuć jej wilgoć, usłyszeć urywany oddech kobiety, mieć świadomość, że to on jest sprawcą jej orgazmu.

Nagle zamarł. Uświadomił sobie, że nie są parą nastolatków obściskujących się w jednym z ziemskich ogrodów, a astronautami wypełniającymi ważną dla ludzkości misję. Finderman zaś jest jego podwładną i związek ten mógł negatywnie odbić się na dalszej współpracy. Poza tym... ona nie była Miriam.

Odsunął się od niej.

– Nie powinniśmy.

Spojrzała na niego zaskoczona, nie rozumiejąc, co się stało. Po chwili jednak dotarła do niej niestosowność tej sytuacji, bowiem opuściła wzrok i spłonęła rumieńcem.

– Ma pan rację, komandorze – rzekła oficjalnym tonem. – Proszę o wybaczenie.

– Uznajmy, że to, co się tutaj zdarzyło, nigdy nie miało miejsca. Wszyscy jesteśmy w kiepskim stanie emocjonalnym i robimy rzeczy, których normalnie byśmy nie zrobili. To ja jestem winny przeprosiny. Naruszyłem swój autorytet dowódcy...

– Proszę się nie obwiniać – przerwała mu gwałtownie. – Nie wracajmy do tego.

Zettenberg uśmiechnął się do niej ciepło.

– Niech mi pani pomoże zebrać trochę warzyw na dzisiejszą kolację.

– Czego panu potrzeba?

Grodzie magazynowe zamknęły się z cichym pneumatycznym sykiem. Zettenberg wracał z pełnym pojemnikiem warzyw. Przechodząc obok kajuty Angeliki, przez uchylone drzwi usłyszał rozmowę. Zrobił jeszcze kilka kroków i przystanął. Nie miał w zwyczaju podsłuchiwać, ale słowa, które padły, jak również ich ton, zaintrygowały go. Yaka Mashari mówiła głosem słabym, pełnym rozpacz. Angelika odpowiadała zimno, mechanicznie, bez emocji.

– Dlaczego to robisz?

– Bo mi się znudziło.

– Jesteś okrutna.

– Trudno.

– To boli.

– Wiem.

– Myślałam, że coś nas łączy.

– Myliłaś się.

– Więc jak to nazwiesz? To, czego razem doznałyśmy?

– Kaprys?

– Nie wierzę ci!

– Twoja sprawa.

– Czy to już koniec?

– Tak.

– Czy jest szansa, że ty i ja...?

– Nie.

– Kto będzie następny? Komandor? Daniel? A może Sina?

– A to już nie twoja sprawa.

– Angelika, ja się zaangażowałam uczuciowo. Dla mnie to nie była zwykła przygoda.

– Przykro mi.

Zdażył wejść do mesy, kiedy Yaka, szlochając, wybiegła na korytarz. Słyszał, jak zamykają się drzwi jej kabiny. Na szczęście go

nie zauważyła.

Hubert był zszokowany. Nie mógł uwierzyć, że Angelika, ta łagodna, ciepła i delikatna istota, zdolna jest do takiej podłości. Podobna gra na czyichś uczuciach była według niego poza wszelkimi normami moralnymi. Co powodowało Angeliką? Czy była taka od zawsze, a stres związany z ostatnimi wydarzeniami uwypuklił u niej negatywne cechy, czy sytuacja na *Marku Aureliusz* ją odmieniła?

Zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedziała mu Sina. Kobieta była pewna, że jakaś tajemnicza, zła siła próbuje nimi zawładnąć, podsyca ich żądze, rozpala namiętności. Po tym, czego sam doświadczył w dżungli i co przed chwilą usłyszał, był skłonny przyznać jej rację.

Ze strachem rozejrzał się po pomieszczeniu. Podświadomie czuł, że coś złego czai się w każdym zakamarku gwiazdolotu i tylko czeka na to, żeby wychynąć, opętać ich swoimi mackami, doprowadzając do zagłady.

Ręce mu drżały, gdy brał się do przygotowywania posiłku.

Na pokładzie *Marka Aureliusza* panowała pora nocna. Yaka Mashari przewracała się z boku na bok, a jej poduszka była mokra od łez. Na zmianę zalewały ją fale rozpaczy i wściekłości. Pograżała się w żalu za utraconą miłością, zaciskając usta w bezsilnej złości. Angelika ją wykorzystwała i wyrzuciła jak zużytą szminkę.

Jakże pragnęła przytulić się teraz do nagiego, ciepłego ciała swojej byłej kochanki. Usłyszeć jej śpiewny, melodyjny głos, poczuć delikatny dotyk, zatracić się w doznaniach. Obsypałaby pocałunkami jej szyję, językiem pieściła brodawki piersi, zsuwała się niżej, smakując ustami gładką skórę brzucha, i wreszcie dotarła do miejsca wypełnionego wilgocią. A potem dawałaby rozkosz. Nic nie sprawiało jej większej radości niż widok Angeliki wijącej się w pościeli z zamkniętymi powiekami i lekko przygryzającej dolną

wargę, gdy nadchodził orgazm.

Yaka ponownie zaczęła szlochać. Z rozpaczy cisnęła poduszką o ścianę kajuty.

Przypomniała sobie, jak Angelika ślicznie wyglądała na dzisiejszej kolacji, ubrana w biały jak śnieg, obcisły uniform, zgrabnie opinający jej ciało. Na tę okazję zrobiła sobie makijaż podkreślający jej śródziemnomorską urodę. Fiołkowe oczy kontrastowały ze śniadą cerą, a włosy w odcieniu granatu opadały kaskadą na ramiona. Przy niej zgasła nawet Sina, która po ostatnich wydarzeniach jakoś nie potrafiła się odnaleźć i siedziała przy stole smutna, markotna, z podkrążonymi oczami.

Angelika flirtowała i kokietowała niemal cały czas. Hipnotyzowała spojrzeniem, trzepotała rzęsami i w opinii Mashari zachowywała się jak dziwka, co zupełnie nie przeszkadzało mężczyznom. Pod jej urokiem znalazł się nawet Zettenberg, który nie potrafił oderwać od niej wzroku. Daniel, jak niegdyś, prawił jej komplementy. Nawet powściągliwy zazwyczaj Teodor traktował Angelikę wyjątkowo. A ona była jak drapieżca szukający nowej ofiary. Próbowwała uwodzić także Sinę, zapewne tylko po to, żeby dodatkowo upokorzyć Yakę. Japonka, poniżona i zrozpaczona, stosunkowo wcześniej wymknęła się do swojej kajuty, nie próbując nawet drugiego dania. Nikt nie spostrzegł jej zniknięcia.

Teraz przewracała się w koi, nie mogąc zasnąć. Wtem usłyszała pneumatyczny syk otwieranych drzwi i kroki bosych stóp na korytarzu. Serce zaczęło jej bić mocniej. To Angelika! – pomyślała z nadzieją. Przyjdzie zaraz do niej i wyjaśni, że to był tylko głupi żart. Przeprosi. Powie, że nie chciała jej zranić, zrzuci całą winę na stres. A ona jej uwierzy, wybaczy i będzie jak dawniej.

Angelika jednak ominęła jej drzwi. Kroki ustały kawałek dalej. Do uszu Yaki dobiegło głuche pukanie, potem szum otwieranych drzwi. Yaka poczuła, że zaraz zwymiotuje. Cała nadzieja czmychnęła, a

czarne skrzydła rozpaczy ponownie ją otuliły. Świat zawirował i w jednej chwili się zawalił.

Sąsiednia kajuta należała do Daniela.

To już nie było podle czy złe, to było zniewalająco okrutne. Angelika dobrze wiedziała, że tej nocy Yaka nie będzie spać. Wybrała Czarneckiego, bo jego kajuta sąsiadowała z kabiną Japonki.

Będzie słyszeć...

Nie myliła się. Po kilku minutach usłyszała jęki Angeliki. Szybkie, urywane okrzyki ekstazy. Słysząc je było chyba w każdym zakątku statku. Szybki, ostry seks, pozbawiony tej dozy kobiecej subtelności, jaka je niegdyś łączyła. Oczyma wyobraźni widziała, jak Daniel brutalnie wdiera się we Włoszkę, a ona przyjmuje go najpierw z pewnym oporem, a następnie z niepohamowaną rozkoszą. Głębiej, głębiej, głębiej! Gwałtowność i brutalna namiętność. Coraz szybciej i szybciej. Głośny spazm i nagle (czy Angelika rzeczywiście to zrobiła, czy też kobiecie się tylko wydawało?) krzyk rozkoszy przechodzi w okrzyk bólu...

...okrzyk bólu rozrywa jej ciało. Tokijskie metro. Dwunastoletnia Yaka wraca ze szkoły, jak co dzień ubrana w przepisowy mundurek. Krótka granatowa spódniczka, biała koszula i podkolanówki. Może to sprowokowało napastników? Wcześniej dość często musiała odganiać się od spoconych dłoni bezwstydných mężczyzn. Ile to razy miała sińce na udach, kiedy obleśne palce dobierały się do jej majtek? Ile to razy miała pomiętą koszulę i przesunięty stanik? W tłoku metra dużo rzeczy przechodzi niezauważonych. Prawie codziennie widziała dziewczynki wysiadające z pociągu ze łzami w oczach. Nie tylko ona była narażona na pożądlive spojrzenia i beczelne molestowanie. Nie tylko ona – jednakże ją spotkało coś znacznie gorszego.

Tamtego wieczoru wracała ze szkoły nieco później. Tłoku już nie było. Nawet się cieszyła, bo myślała, że tym razem uniknie

nieprzyjemnych sytuacji. Jakże się myliła. Wyciągnęli ją z pociągu. Czterech mężczyzn w garniturach. Wracali z pracy, ale po drodze musieli chyba zajrzeć do baru. Byli lekko podpiici. W wagonie zaczepiali ją, robili aluzje. W końcu na jakiejś nieznannej jej stacji złapali za ręce i nogi. Nikt nie słyszał, jak krzyczy, a może nikt nie chciał słyszeć? W ciemnym korytarzu brutalnie rzucili nią o ziemię.

Jeden z nich rozerwał bluzkę i zaczął niecierpliwymi dłońmi miętosić jej ledwo ukształtowane piersi. Inny zdarł z niej majtki i rozchylił nogi. Następnie przywalił ciężarem swojego ciała. Poczowała obrzydliwy zapach męskiego potu, mieszający się z odorem taniej whisky. Krzyczała. Ktoś zakrył jej dłonią usta. Nagle wstrząsnął ją ból. Defloracja bez przyzwolenia, zbyt wczesna, okrutna, pozostawiająca piętno. Gwałtowne kopulacyjne ruchy, a każdy wywoływał kolejną falę cierpienia. Poniżenie i rozpacz. Strach i obrzydzenie. Gwałcili ją po kolei. Nie pamięta, jak długo. Zemdląca.

Kiedy się ocknęła, leżała na zimnej posadzce stacji. Napastników nie było. Nie było nikogo. Dotknęła wściekle bolącego krocza, poczuła ciecz między palcami. Krew! Wytarła dłoń o śnieżnobiałą bluzkę. Szkarłat na tle niewinności. Z ledwością się podniosła, zatoczyła niebezpiecznie do tyłu. Zakryła skrawkami rozerwanej tkaniny nagie, małe piersi i uciekła w mrok...

...zawsze uciekała w mrok. Mrok jest miejscem, które otuli, przyniesie zapomnienie, ukołyszże do spokojnego snu. On nie skrzywdzi, nie wykorzysta, nie zrani. Mrok zrozumie ból, otuli mgłą zapomnienia.

Yaka podniosła się z koi i stanęła na chwiejnych nogach. Po chwili się zatoczyła. Jak wtedy... Angelika krzyczała. Z bólu czy rozkoszy? Krzyk rozsadzał uszy Japonki. Podeszła do toaletki, otworzyła szafkę. Wiedziała, czego szuka, i znalazła to. Kolejny okrzyk. Mocniejszy i głośniejszy. To Angelika szczytowała. Drżącymi dłońmi Japonka chwyciła za skalpel. Spazm był coraz szybszy. Ból czy

rozkosz? „Może to by ci się podobało, Yaka? Nie! Może tak lubisz, na ostro? Nie!”. Cięcie po nadgarstku – ból. Drugi nadgarstek – rozkosz. Ostatni, najgłośniejszy spazm. To koniec. Angelika osunęła się na spocone ciało Daniela, Yaka zaś na podłogę. Czuła, jak świadomość ją opuszcza. Teraz będzie już dobrze. Na zawsze ucieknie w mrok.

Gdzieś w ciemnościach na granicy rzeczywistości i snu dostrzegła niewyraźne postacie. Czterech mężczyzn w garniturach o orientalnych rysach twarzy. To oni! Czekają na nią po drugiej stronie. Czekają, by dalej ją gwałcić i zadawać ból. Przez całą wieczność. Yaka Mashari jęknęła w niemym przerażeniu. Próbowwała powrócić do życia, do świata.

Za późno.

ROZDZIAŁ 19

CO SIĘ Z NAMI DZIEJE?

Zettenberg wrócił do swojej kajuty niezwykle zadowolony. Kolacja się udała. Co prawda nastrój astronautów daleki był od doskonałego, ale na ich ustach ponownie zagościł uśmiech. Podczas jedzenia żartowali, dyskutowali i wydawało się, że wszyscy zapomnieli o śmierci dwóch członków załogi. Jednakże Hubert czuł, że to tylko na chwilę, że twarze załogantów znowu stężeją, a w powietrzu unosić się będzie trudne do zidentyfikowania napięcie.

Usiadł na koi i przetrął zmęczone oczy. Dzisiejszy dzień był ciężki. Przygotowanie wyjątkowej kolacji dla sześciu osób z niewielu dostępnych produktów było sporym wyzwaniem, lecz to nie wysiłek fizyczny czy umysłowy z tym związany tak go wyczerpał, lecz lęk, czy uda się ponownie skonsolidować załogę. Wyglądało na to, że pierwszy krok w tym kierunku został zrobiony i sympatyczna atmosfera w czasie kolacji stanie się przyczynkiem do odbudowania dobrych relacji.

Teraz nie mógł być dla załogi dowódcą, lecz towarzyszem wyprawy. Nie surowym ojcem, lecz przyjacielem. Tak jak kiedyś radziła mu Angelika. I chyba się udało.

Tylko Yaka Mashari siedziała smutna, osowiła i ledwo tknęła jedzenie. Jako pierwsza opuściła mesę i udała się do swojej kajuty. On wiedział dlaczego, pozostali członkowie załogi chyba również. Nie sposób było nie zauważyć, że Angelika i Yaka już nie są parą. Potwierdziły się obawy Huberta, że związki podczas służby źle się kończą. Miał tylko nadzieję, że kobiety będą potrafiły się ze sobą porozumieć i współpracować. Nie chciał na pokładzie konfliktu.

Wrócił myślami do wydarzenia z Siną. Podczas kolacji unikali swojego wzroku, wymieniali tylko zdawkowe słowa, oboje mieli w pamięci to, co się między nimi stało. Pozwolił sobie na emocje, na chwilę zapomnienia. Obiecał sobie, że to się już nigdy nie powtórzy.

Przymknął oczy. Przypomnił sobie zapach Siny, kobiecą miękkość, gdy ją obejmował, wilgotne i chętne usta. Pragnął jej, ale musiał zdusić w sobie żądze. Tak często to robił. Zastanawiał się, czy tak samo postępował z Miriam. Może to nie długie rozłąki były przyczyną rozpadu ich małżeństwa, ale jego chłód i trzymanie emocji na wodzy? Czyżby był zimny jak kosmiczna próżnia i dlatego właśnie uciekł w gwiazdy? Tam, gdzie jego miejsce.

Jakby w odpowiedzi na swoje myśli usłyszał kobiecy chichot. Błyskawicznie otworzył oczy i wtedy ją ujrzał. Stała w kącie, z daleka od światła, tak że twarz skrywał cień. Jednak on wiedział, kim ona jest. Tej sylwetki, bujnych włosów nie zapomni nigdy.

– Miriam – wyszeptał.

Kobieta nie odpowiedziała i chociaż nie mógł dostrzec jej oczu, to był pewien, że spogląda na niego. Hubert zaczął się gorączkowo zastanawiać, skąd się tu wzięła, biliony kilometrów od Ziemi? Jakim cudem przemierzyła przestrzeń kosmiczną i dostała się na pokład *Marka Aureliusza*? To nie mogła być ona! A zatem kto?

Zerwał się z koi i ruszył w jej stronę. Serce ze strachu waliło mu jak opętane, ale chciał się dowiedzieć, z czym ma do czynienia.

– Nie zbliżaj się – zasyczała i mocniej wtuliła się w mrok. Zatrzymał się.

– Kim jesteś?

– Przecież to ja, kochany – odparła, siląc się na słodycz w głosie, ale zabrzmiało to groteskowo.

– Nie! – Próbował dojrzeć rysy jej twarzy, ale było zbyt ciemno. – To niemożliwe.

Zarechotała. Miriam nigdy tak się nie śmiała.

– Przecież znasz teorię Everetta opartą o mechanikę kwantową – rzekła. – Za każdym razem kiedy pojawia się nowa możliwość fizyczna, wszechświat dzieli się i w każdym z jego odłamów przebiega inna wersja danego zdarzenia. Idący drogą człowiek może skrócić lub pójść prosto. W wyniku jego decyzji powstaną dwa wszechświaty, w których zrealizowało się każde z tych rozwiązań. Można to sobie wizualizować jako wiecznie rozszerzające się drzewo. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Hubert przytaknął w milczeniu.

– Istnieją takie wszechświaty, w których nie wsiadłeś na pokład *Marka Aureliusza* i zostałeś na Ziemi. Walczyłeś o moje uczucie, walczyłeś o mnie. Zachowałeś się tak, jak powinieneś, a nie jak tchórz. Tam nadal jesteśmy kochającym się małżeństwem.

– To ty zdecydowałaś, że nie chcesz być ze mną! – krzyknął ze złością.

– A ty w to uwierzyłeś? – prychnęła.

– Co miałem robić?

– Starać się o mnie. Pokazać, że ci na mnie zależy. Tak naprawdę ważny dla mnie byłeś tylko ty.

Nagle jego myśli zaczęły biec innym torem. Czy to prawda? Czy Miriam rzeczywiście mogła tego pragnąć? Poczul potworny żal ściskający w piersi.

– Czasami wszechświaty przenikają się i wówczas można uchylić rąbek tajemnicy, dostrzec to, co jest ukryte za kurtyną – mówiła. – Przeniknąć do innej rzeczywistości i w niej pozostać. W takiej, którą sam sobie wybierzesz.

Zettenberg poczuł suchość w gardle. Gdyby tylko dostał jeszcze jedną szansę na wspólne życie z Miriam.

– To niemożliwe – wyszeptał. – Wybrałem tak, a nie inaczej i nic tego nie zmieni.

Kobieta westchnęła.

– Przyczyny i skutki. Czy mają jakiegokolwiek znaczenie? Przecież wszystkie możliwe rozwiązania muszą się zrealizować. To nie wolna wola kieruje ludzkimi poczynaniami, a determinizm. Możesz jednak zmienić swoje przeznaczenie w... – zamilkła na chwilę, szukając odpowiedniego określenia – w tym stanie kwantowym.

– Pytam raz jeszcze: kim lub czym jesteś? – zdenerwował się Hubert. – W co ze mną grasz?

– Zadajesz złe pytania, kochany.

– A ty mnie okłamujesz. Nie jesteś Miriam.

– Jestem tym, czym pragniesz, żebym była.

– Brednie! – warknął. – Czego chcesz?

– I to jest pytanie, które powinienś zadać na początku. – Ponownie zarechotała, a jej ohydny śmiech rozbrzmiewał w niewielkim pomieszczeniu, drażniąc uszy Huberta. Zamilkła dopiero po dłuższej chwili i rzekła zbolalym głosem: – Uratuj mnie.

– Co?

Wynurzyła się z cienia i dopiero teraz ujrzał jej twarz.

Cofnął się przerażony dwa kroki i opadł z powrotem na koję. Widział przed sobą Miriam, ale starszą o co najmniej dziesięć lat. Poznał po zmarszczkach okalających twarz, lekko obwisłej skórze na szyi i włosach przetykanych siwizną. Jednak nie to go tak przerażyło, ale oczy o czarnych tęczęwkach. Straszne, nieprzeniknione, pozbawione życia, w których próżno było szukać śladów człowieczeństwa.

– Uratuj moją duszę – wyszeptala posiniałymi wargami. – Proszę.

Nagle zniknęła tak samo nagle, jak się pojawiła, a Hubert długo jeszcze siedział na koi, zastanawiając się, czy to, czego doświadczył, było snem, czy rzeczywistością.

Duchota nie pozwalała Danielowi zasnąć, choć umieszczony pod sufitem wentylator pracował na pełnych obrotach. Niewielki silniczek cicho brzęczał i był to jedyny odgłos, jaki dochodził jego

uszu. Poza tym otaczała go cisza.

Wiercił się niespokojnie, uważając, aby nie obudzić śpiącej obok Angeliki. Zastanawiał się, jak dawno nie miał kobiety? Przypomniał sobie ostatni raz. To było na długo przed startem. Tak, noc przed tym, jak zamknęli go w ośrodku szkoleniowym. Od tamtego czasu minął rok. Na Ziemi pewnie znacznie więcej.

Angelika okazała się doskonałą kochanką, świetnie wiedziała, co i jak zrobić, żeby doprowadzić go do ekstazy. Niczym niewolnica spełniała wszelkie jego niewypowiedziane zachcianki, a on poddawał się jej pieszczotom. A potem on obsypywał jej ciało pocałunkami, lizał śniadą skórę, wchodził w nią kilkakrotnie tej nocy.

Czemu wybrała właśnie mnie? – myślał. Czy to ważne? Było mu dobrze i tylko to się liczyło. Niemniej czuł się wykorzystany. To śmieszne! Uprawiał seks z wieloma kobietami, większość z nich otwarcie mu mówiła, że interesuje je tylko jego ciało, i nigdy z tego powodu nie rozpaczał. Tym razem jednak było inaczej.

Podejrzewał, że Angelika wykorzystuje go do gry przeciwko Mashari. A może po prostu nabrała ochoty na seks z mężczyzną? Postanowił nie zagłębiać się w ten temat. Liczyło się tu i teraz.

Spojrzał na śpiącą kobietę. Cudowne stworzenie o posągowych kształtach. Śniada, gładka skóra, opalona światłem solarium. Okrągłe piersi zakończone bladymi brodawkami. Czarne jak noc włosy opadające na oczy. Długie, smukłe dłonie obejmowały jego tors. Piękna i nieodgadniona. Z jednej strony ciepła, miła, zmysłowa. Z drugiej *femme fatale*, bezlitosna modliszka niszcząca własnych partnerów. Czarnecki uśmiechnął się do swoich myśli. Czy naprawdę postrzegał Angelikę jako zagrożenie? Wiedział, że doprowadziła Yakę do rozpaczy, ale z nim tak nie będzie.

Zastanawiał się, co stanie się za kilka godzin, kiedy światła *Marka Aureliusza* zapalą się w symulacji dnia? Czy powita go radosnym

„cześć, kochanie”, czy też raczej ubierze się i bez słowa wyjdzie? Bardziej prawdopodobny był ten drugi wariant. Zdziwiłby się, gdyby było inaczej. To wszystko jednak okaże się dopiero jutro. A teraz zasnąć, zasnąć... – powtarzał w rytm ruchu skrzydeł wentylatora.

To był długi dzień, a za trzy godziny czekała go wachta.

Śnił, a może było to jeszcze pogranicze jawy? Nagle zamknęły się bramy racjonalizmu i coś prymitywnego, starożytnego wdarło się do jego świata. Najpierw pojawiły się dziwne cienie na ścianie. Daniel poczuł w nozdrzach nieokreślony smród. Przyjrzał się uważnie i dopiero teraz dostrzegł, że to nie cienie, a szkarłat spływający od sufitu kabiny do podłogi, na której tworzyły się kałuże bulgoczącej cieczy. Naraz uświadomił sobie, że to KREW! Usłyszał nieludzkie szepty i towarzyszący im szydery chichot. Dźwięki dochodziły zewsząd, mimo to instynktownie wyczuł, że ich źródłem jest pomieszczenie obok. Kajuta Yaki! To tam rozgrywał się dramat.

Usiłował się podnieść, żeby iść sprawdzić, co się stało, ale nie mógł. Coś paraliżowało go, przygniatało. Spojrzał. To Angelika. Obudziła się, odgarnęła włosy i zwróciła ku niemu.

Zobaczył przerażającą twarz staruchy. Przez zgniłe ochłapy mięsa przezierały białe kości. Jedno oko było pustym oczodołem, drugie powoli spływało mu na klatkę piersiową. Czuł pełzający śluz na swojej skórze.

Krzyczał, lecz jego głos nie wydobywał się z krtani. Angelika wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Kochaj się ze mną – wyszeptwała.

Pozostała przy życiu piątka astronautów siedziała w mesie. Sina Finderman z nienawiścią wpatrzona w Angelikę Sorono, Teodor Meyer pogrążony we własnych myślach z oczami wbitymi w blat stołu, Daniel Czarnecki zmieszany, unikający wzroku zebranych. Zettenberg zajął miejsce u szczytu i zastanawiał się, jak zacząć rozmowę.

Wszystko wydawało się jednym wielkim koszmarem. Najpierw Borys, potem Er, a teraz Yaka. Gdy nie stawiała się na odprawę, komandor pomyślał, że jeszcze śpi. Nie robił ze spóźnień afery, ale gdy zaczęli omawiać kolejność dyżurów w laboratorium, a Japonki nadal nie było, spróbował wywołać ją przez interkom. Nie odpowiadała, więc wysłał po nią Daniela. To on ją znalazł, leżącą w kałuży zaschniętej krwi.

– Nie będę owijał w bawełnę – rozpoczął. – Sytuacja jest kryzysowa. Przebyliśmy dwie trzecie drogi, a z ośmioosobowej ekipy, która wyruszyła z Ziemi, została nas piątka. Nie możemy się jednak poddawać.

Spojrzał po zebranych, w ich wygasłe twarze, smutne oczy. Gdy zatrzymał wzrok na Angelice, zmarszczył gniewnie brwi.

– Sorono – zwrócił się do niej – nie obchodzi mnie pani życie osobiste i preferencje seksualne, ale to, co pani zrobiła, nie mieści się w etyce oficera floty kosmicznej, nie wspominając już o etyce lekarskiej. Bądź co bądź, Yaka była pani pacjentką. Jako psycholog powinna pani tym bardziej wiedzieć, jak tego typu manipulacja może się skończyć. Nie zakładam, że zrobiła to pani świadomie. To równałoby się morderstwu! Daleki jestem od stawiania takich oskarżeń. Niemniej uważam, że pani zachowanie nie mieściło się w ogólnie przyjętych normach i miało poważny wpływ na decyzję Mashari.

Zaczerpnął powietrza.

– W związku z tym informuję, że po powrocie na Ziemię zostanie sporządzony pełny raport na temat zaistniałych tu wydarzeń. Powołana zostanie komisja śledcza, która ustali stopień pani winy i wyciągnie odpowiednie konsekwencje. Ale w obecnej sytuacji, biorąc pod uwagę miejsce i okoliczności, nie mogę zawiesić pani w obowiązkach służbowych. Jednakże zgodnie z artykułem czternastym, punkt trzeci regulaminu Zjednoczonej Floty

Kosmicznej pozbawiam panią części praw i obowiązków członka załogi. Regulamin jest do wglądu w centralnym komputerze. To by było na tyle w tej kwestii...

– Nie zgadzam się! – wybuchła Sina. – Ta dziwka ją zabiła! Powinniśmy ją zamknąć w izolatce. To wariatka!

Komandor uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Proszę się opanować...

Przerwał mu szyderczy śmiech Angeliki.

– Yaka była słaba! Nie powinna opuszczać swojej rodzinki i pchać się w kosmos. Głupia idiotka dostała to, na co zasłużyła.

Nie mogłam już znieść jej ciągłych narzekań, niskiej samooceny. Była najślabszym ogniwem. – Przerwała, a na jej twarzy, która jeszcze przed chwilą wyrażała złość i pogardę, pojawił się smutek. – Trauma z dzieciństwa uczyniła ją bezradną wobec pewnych stresowych sytuacji. Ja próbowałam jej pomóc...

– I w ramach tej pomocy musiałaś się z nią rżnąć, choć nie wiem, czy to dobre określenie na to, co razem robiłyście? – Sina była wściekła. – Pieprzona lesba! Wykorzystałaś ją i odepchnęłaś, gdy już ci się znudziła.

Finderman spojrzała z wyrzutem na Daniela, a ten jakby skulił się w sobie. Czuł się współwinny śmierci Yaki.

– Nie sądziłam, że tak zareaguje – Angelika próbowała się nieporadnie bronić. – Jestem tylko człowiekiem.

– Przede wszystkim tutaj na statku jesteś psychologiem. Powinnaś przewidzieć skutki swoich poczynań. I nie zgrywaj tu przed nami skruszonego niewiniątka. Jesteś winna jak diabli, Angelika!

– Odwał się!

– Dziwka. – Oczy Siny płonęły. – Po powrocie na Ziemię będę zeznawać i dopilnuję, żeby spotkała cię zasłużona kara.

– Jeśli w ogóle wrócimy na Ziemię – prychnęła lekarka.

– Spokój! – Zettenberg pierwszy raz podniósł głos na swoich

podkomendnych. – Teraz Sorono jest nam potrzebna. Koniec dyskusji. Rozumiemy się?!

Wszyscy pokiwali głowami na znak zgody.

– Pogrzeb Mashari odbędzie się jutro – rzekł już spokojnie. – Chciałbym jednak poruszyć jeszcze jedną sprawę. Od pewnego czasu obserwuję dziwne zachowania członków załogi, które pani Sorono określi pewnie jako depresyjne. Nie możemy tego ignorować. Przyznaję, że ja także mam pewne problemy z koncentracją, uczucie zubożenia, zaburzenia snu, a nawet...

Zawahał się. Nie wiedział, jak nazwać to, czego wczoraj doświadczył. W jego kajucie pojawiła się Miriam, z którą rozmawiał około pięciu minut. Kiedy jednak po jej zniknięciu odtworzył zapis z kamery rejestrującej kajutę, okazało się, że był w niej sam. Wyglądało to komicznie, a jednocześnie przerażająco, jak spoglądał na pusty kąt i do niego mówił.

– Halucynacje? – dokończył za niego Meyer.

Hubert skinął głową.

– Zapewne ma to związek z brakiem słońca i zachwianiem trybu dnia i nocy – odezwał się Daniel. – Od roku znajdujemy się w kosmosie, lecimy z prędkością niemalże równą światłu. Ponadto oddalenie od macierzystej planety, izolacja, to wszystko są czynniki, które mają wpływ na nasze organizmy i umysły.

– To coś więcej, Danielu... – zaczęła cicho Sina. – Czy wy dobrze śpicie? Bo ja nie. Te wizje i sny na jawie... Nachodzą mnie coraz częściej. Czasami, kiedy jestem sama, słyszę jakieś dziwne szepty. Kątem oka dostrzegam przesuwające się cienie. Tak jakby na mnie czekały, obserwowały. Nie wiem, kto to. Ale czasem...

Zamilkła na chwilę, opuściła głowę.

– Czasem, przemierzając korytarz, czuję się jak w surrealistycznym śnie. Idę, idę i nie mogę dojść do celu. Otacza mnie obezwładniająca mgła, jakbym była w innym wymiarze. Niby

wszystko jest takie samo, ale jednak inne. Jak gdybym nie patrzyła własnymi oczami, lecz oczami obcej istoty. Wydaje mi się, że ściany są żywe, tracę perspektywę i postrzeganie głębi. Później wszystko wraca do normy... Nie mówcie, że z wami jest inaczej. Nie oszukacie mnie, widzę to w waszych oczach.

– Pleciesz głupstwa – machnął ręką Daniel.

– Nie! – rzekł twardo Meyer. – Ona ma rację. Ja też mam halucynacje. Coś jest nie tak. Zastanawiam się tylko, co to może znaczyć? Czy wypływa to z nas samych? A może pochodzi z zewnątrz? Coś nas opętało. Maczało palce w tych wszystkich wypadkach. To zły znak dla wyprawy. Myślę, że powinniśmy zawrócić.

– Co?! – Czarnecki wytrzeszczył oczy. – Oszalałeś?

– Tylko tak zdołamy uratować nasze dusze... – Teodor zawahał się.
– I nie tylko nasze.

Zettenberga przeszył dreszcz. Miriam, czy też jej zjawa, również wspominała o ratowaniu duszy. Może rzeczywiście należy wrócić na Ziemię? – myślał gorączkowo. Ludzkość dopiero zaczynała odkrywać tajemnice kosmosu, pchać palce w ledwo uchylone drzwi. Nie wiadomo, jak funkcjonuje wszechświat, co w sobie kryje. Może coś, co powinno pozostać na zawsze uspięne, a ich wyprawa do Alfya Centauri może to obudzić?

– Nigdzie nie będziemy zawracać – racjonalizm Huberta wzięło górę nad mglistymi fantazjami. – Kontynuujemy naszą misję. Zabrnęliśmy tak daleko, że nie ma już odwrotu. A żeby osiągnąć wyznaczony cel, trzeba wziąć się w garść i zapomnieć o wzajemnych niesnaskach. Nie będzie to łatwe w obliczu ostatnich wydarzeń, ale musimy spróbować.

– A co z naszymi snami i wizjami? – spytał astrofizyk.

– Na pewno istnieje na to jakieś racjonalne wytłumaczenie. Zarządzam dla wszystkich badania psychofizyczne. Sorono, od tej

chwili jest pani za to odpowiedzialna.

Jutro na porannej odprawie chcę znać wyniki. Póki co misja będzie kontynuowana.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – rzekł Meyer.

ROZDZIAŁ 20

TAJEMNICA TEODORA MEYERA

Hubert przyglądał się czwórce swoich podwładnych, zastanawiając się, gdzie podzieli się ci odważni zdobywcy kosmosu, którzy ponad rok temu tak dumni i pełni wigoru wkraczali na pokład *Marka Aureliusza*. Teraz widział tylko szare, zmęczone twarze i przygaszone spojrzenia. W sumie im się nie dziwił. Od śmierci Mashari nie zmrużył oka i na jego policzkach można było zauważyć bruzdy, a pod oczami sińce. Jedyne, czego teraz pragnął, to wrócić na Ziemię, położyć się na zielonej, ukwieconej łące i wystawić twarz ku słońcu. Cieszyć się jego promieniami, oddychać świeżym powietrzem i zapomnieć o wszystkim. Jednakże był dowódcą misji i musiał wypełnić zadanie. Czas rozpocząć odprawę.

– Sorono, przygotowała pani to, o co wczoraj prosiłem?

– Tak, komandorze. Wszyscy przeszli badania zarówno pod względem fizycznym, jak i psychologicznym.

– Jakie są wyniki?

– Jeśli chodzi o stronę fizyczną, wszystko w normie. Niewielkie zastrzeżenia co do kondycji, ale to normalne w takich warunkach. Pan, komandorze, ma lekko podwyższony poziom cukru. Dokonamy niewielkiej korekty w diecie i niebezpieczeństwo zażegnane...

– Co wykazały badania psychologiczne?

– Tu zaczynają się problemy. Przeprowadziłam badania członków załogi i porównałam je z wynikami z okresu szkolenia oraz z badaniami kwalifikacyjnymi.

– I jaki jest rezultat?

Sorono zamilkła na chwilę, przygryzając dolną wargę.

– Wszyscy mamy depresję.

– To chyba nic strasznego? – powiedział Daniel. – Przecież wiele osób na Ziemi cierpi na depresję zimową, a my jesteśmy w kosmosie, więc chyba też mamy prawo do lekkiej niedyspozycji psychicznej wynikającej z braku światła słonecznego?

– Mówisz o tak zwanej depresji dnia krótkiego. Pojawia się jesienią i zazwyczaj zanika wiosną. Leczenie polega na przebywaniu w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Myślisz, że po co zainstalowali nam solarium? Żebyś lepiej wyglądał na randce? – ironizowała Angelika. – Nie. Twórcy projektu Raj Utracony zdawali sobie sprawę z problemu i zainstalowali nam substytut słońca. Muszę was jednak zmartwić, nasza depresja jest głębsza i ma inne podłoże.

– To znaczy? – spytał komandor.

– Depresje można podzielić na dwa rodzaje: wywołane przez widoczny czynnik zewnętrzny, zwane reaktywnymi, oraz niemające uchwytnej przyczyny, endogenne. Depresja reaktywna może pojawić się po ciężkich urazach psychicznych, takich jak utrata bliskiej osoby, utrata zdrowia, kłopoty finansowe. Objawami są smutek i przygnębienie. Po pewnym czasie następuje poprawa. Niestety, moje badania wskazują na podłoże endogenne, wynikające z konstrukcji psychiki pacjenta.

Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Choroba może mieć przyczyny genetyczne, biochemiczne i psychologiczne. Genetyczne wykluczam, gdyż prawdopodobieństwo wystąpienia uszkodzonego genu w chromosomie jedenastym u pięciu osób na pięć, które akurat są w drodze do Alfy Centauri, jest bliskie zera. Dalsze analizy, które przeprowadziłam, wykazują odchylenia poziomu serotoniny i noradrenaliny, czyli związków chemicznych przekazujących impulsy nerwowe. W naszym krwiobiegu wykryłam także zbyt wysoki poziom glikokortykoidów.

- Co to takiego?
- Hormony sterydowe wydzielane przez nadnercza.
- Co spowodowało podwyższone poziomy... tego czegoś?
- Nie wiem. – Angelika rozłożyła bezradnie ręce. – Może sposób odżywiania, stres, jakieś nieznane nam związki chemiczne przedzierające się przez poszycie statku.
- Statek jest ekranowany.
- Pewnie chemik lepiej by to wytłumaczył.
- Nasz chemik nie żyje – powiedział Hubert nieco zbyt ostro. Zabrzmiało jak zarzut.

Kobieta odwróciła wzrok.

– Jakie są objawy klasycznej depresji? – zapytał, nieskutecznie starając się złagodzić ton głosu.

– Przede wszystkim pogorszenie nastroju, uczucie niepokoju i lęku. Spowolnienie toku myślenia, zaburzenia snu, przemęczenie, nerwość, uczucie bezcelowości. Mam wymieniać dalej?

– A halucynacje?

– Chwilę. – Sięgnęła po osobisty komputer i szybko coś sprawdziła.

– Czasem występują omamy i urojenia.

– Czy może być jeszcze gorzej?

– Tak. – Opuściła głowę. – Mogą pojawiać się myśli samobójcze.

– Rozumiem. – Hubert głęboko wciągnął powietrze. – Jak to leczyć?

Jak przeciwdziałać?

– Farmakologicznie, podając antydepresanty. Leki zwiększają poziom serotoniny w mózgu. Są też środki poprawiające równowagę neurochemiczną. Zaleca się równorzędne prowadzenie psychoterapii.

– Z tobą!?! – parsknęła Sina. – Raz już próbowałam i zobacz, jak to się skończyło. Lepiej od razu otwórzcie mi służę.

– Niech pani przestanie – ofuknął ją Zettenberg. – Przypominam, że temat jest skończony.

– Zdaję sobie sprawę z zaistniałych okoliczności. Wiem, że obwiniaacie mnie o śmierć Yaki, ponadto sama nie jestem w najlepszej kondycji i dlatego nawet nie podjęłabym się terapii.

– Zatem odradza pani tę formę leczenia?

– Tak – odparła spokojnie Sorono. – Proponuję zostać przy metodzie farmakologicznej, chyba że Finderman woli elektrowstrząsy.

Sina wyduła pogardliwie usta, ale nie odpowiedziała na zaczepkę Angeliki.

– Proszę wydać załodze stosowne leki – zadysponował komandor.

– Jest jeszcze coś...

– Tak?

Kobieta niepewnie spoglądała na astronautów.

– Po porównaniu wyników badań jednego z członków załogi przeprowadziłam dodatkowe testy przesiewowe. Mam na pokładzie bardzo dobre oprogramowanie. Potem na wszelki wypadek wykonałam jeszcze skan mózgu. Wykryłam zmiany w płatach czołowych, ale nie wiem, czy i jak łączyć jedno z drugim.

– Dlaczego?

– Wyniki testów są... osobliwe.

– To znaczy?

– Obraz przypomina schizofrenię, ale wiek tej osoby raczej ją wyklucza ze względu na to, że praktycznie nie występują rezydualne objawy negatywne. Zaburzenia pamięci, katatonie, spowolnienie myślenia – dodała, widząc pytający wzrok Siny.

– Skoro nie wiemy, jak to nazwać, to przynajmniej powiedz, czego możemy się spodziewać – odezwał się Daniel.

– Rozpad osobowości – podjęła kobieta po chwili namysłu. – Rozszczepienie pomiędzy myśleniem, zachowaniem a emocjami połączone z głębokim wypaczeniem obrazu świata i swojej w nim roli. Nie wykluczam możliwości wystąpienia halucynacji, urojeń i...

– Kto? – przerwał jej Hubert.

– Mogę spróbować to leczyć neuroleptykami... – kontynuowała bezwiednie.

– Kto!?

– Teodor.

Astrofizyk jakby zapadł się w siebie, skulił ramiona, przymknął oczy i otarł drżącą dłonią pot z czoła.

– Chyba oszalałaś! – wrzasnęła Sina. – To ty jesteś wariatka! Teodor jest najnormalniejszy z nas wszystkich.

– Wyniki badań są w komputerze. Chcesz, idź i sprawdź.

– Twoje też?

– Też. Przebadałam się pierwsza – szepnęła Angelika.

Finderman spojrzała współczująco na Meyera.

– To niemożliwe.

– Myślę, że mamy do czynienia z chorobą, która rozwija się powoli – zimno zdiagnozowała Angelika. – Meyer pozornie się nie zmienił. Wydaje się, że funkcjonuje prawidłowo, daje się jednak zauważyć pewne odchylenia od normy...

Sorono przerwała, spoglądając z zakłopotaniem na Teodora. Astrofizyk siedział blady ze skulonymi ramionami.

– W przypadku schizofrenii chory często sam zauważa zmiany – kontynuowała Angelika. – Czuje odrealnienie, jakby otaczający go świat nie był jego światem. Doświadcza omamów, urojeń, halucynacji. Do tego dochodzi depresja i zaburzenia lękowe. W przypadku Meyera nie zaobserwowałam wyraźnych cech zdeorganizowanego zachowania, myślenia i emocji, natomiast...

– Bzdury. – Finderman kręciła głową, nie mogąc w to uwierzyć.

– To może być prawda, Sino – rzekł cicho Teodor.

Pozostali spojrzeli na niego w ciszy.

– Meyer, zrobimy wszystko, co możliwe... – zaczął Hubert.

– Komandorze... Muszę coś wyjaśnić.

Astrofizyk wziął głęboki oddech.

– Wiedziałem, że prędzej czy później dopadnie mnie coś takiego. Chyba od dzieciństwa się z tym zmagalem. Życ z dnia na dzień, nie będąc pewnym własnego człowieczeństwa, to olbrzymie brzemię. Tyle lat zadawałem sobie pytania bez odpowiedzi. Kim jestem? Czym jestem? Próbowałem zdefiniować własne przeznaczenie. Wkomponować się w plan boży.

– O czym ty, kurwa, mówisz?! – zniecierpliwiał się Daniel.

– Ja nie mam duszy!

– Co!?

– Jestem klonem.

Zapanowała grobowa cisza.

– Nie rozumiem – wykrztusił wreszcie Zettenberg.

Teodor uśmiechnął się błado.

– Od czego tu zacząć?

– Najlepiej od początku.

Astrofizyk skinął głową.

– Nad klonowaniem pracowano już w dwudziestym wieku w celu stworzenia identycznej kopii ludzkiej. Najpierw naukowcom chodziło o otrzymanie naturalnych organów i implantów do przeszczepów, które będą identyczne genetycznie z tkankami chorego. Potem zaś, gdy badania dawały coraz lepsze efekty, zastanawiano się nad produkcją klonów w celu stworzenia z nich idealnych żołnierzy. Jeden z naukowców nawet planował, że stworzy je, pozbawiając mózgow, w celu użycia ich jako zapasowych ciał dla ludzi nieuleczalnie chorych lub takich, którzy zginęli w wypadku. Wierzył, że w przyszłości będzie możliwość przeszczepu mózgu do takiego ciała. Nie pomyślał jednak o świadomości...

– Teodorze... – przerwał mu obcesowo Daniel – oszczędź nam wykładu i przejdź do rzeczy. Co znaczy, że ty jesteś klonem?

– Właśnie do tego zmierzam – odparł Meyer. – Na początku

dwudziestego pierwszego wieku technologia klonowania była już opracowana i można było... wyhodować noworodka z tą samą informacją genetyczną co dawca.

– Metoda agregacji blastomerów. – Finderman jako biolog dobrze rozumiała, o czym mówi Meyer.

– Możliwe.

– Ale przecież klonowanie ludzi od zawsze było zabronione prawem!

– To prawda – rzekł Teodor. – Pamiętacie sektę radian?

– Tak – odparł Czarnecki. – Uważali, że całe życie na Ziemi, włącznie z ludźmi, zostało stworzone przez pozaziemską cywilizację. Wierzyli, że kosmici wysyłali do nas swoich emisariuszy jak Mojżesz, Jezus, Budda, Mahomet, aby przygotować ludzkość na nadchodzące zmiany.

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Meyer.

– Jedna wielka bzdura!

– Nie chodzi jednak o ideologię. Na początku dwudziestego pierwszego wieku ogłosili całemu światu, że stworzyli pierwszego ludzkiego klona. Dziecko było dziewczynką i nosiło imię pierwszej kobiety. Ewa.

– Pierwszą kobietą była Lilith – wtrącił Daniel. – Została wygnana z raju za puszczanie się z demonami.

Astrofizyk uniósł lekko brwi.

– Nie wiedziałem, Danielu, że posiadasz taką wiedzę. Myślałem, że jesteś ateistą?

– Bo jestem. – Czarnecki wyszczerzył się w bezczelnym uśmiechu.

– Ale swojego wroga trzeba poznać i stąd moje zainteresowanie religiami.

– Panowie – zniecierpliwiał się Zettenberg – odbiegamy od tematu.

– Racja – zgodził się Teodor. – Klonowanie ludzi zostało potępione przez wszystkie ówczesne państwa, organizacje społeczne,

instytucje wyznaniowe. Raelianie, zdając sobie sprawę z problemów i trudności ich czekających, ukryli pełną tożsamość i miejsce narodzin Ewy. Musieli dbać o jej bezpieczeństwo. Według nich miała być nowym zbawicielem, mesjaszem, prorokiem. A kilka miesięcy po stworzeniu dziewczynki zwiastowali narodziny kolejnego dziecka. Tym razem chłopca, Adama.

– Nie pomieszały im się pierwszeństwa? – ironizował Polak.

– Łatwiej jest stworzyć klon żeński – stwierdziła Sina. – Weź za przykład owieczkę Dolly. No ale znowu zeszedliśmy na boczny tor. Kontynuuj, Teodorze.

– W następnych latach Kościół katolicki zdobył rzeszę wyznawców, ustabilizował swoją pozycję w polityce. Ówczesny papież na nowo rozpalil żar ognia inkwizycji. Zdobywszy poparcie narodów świata, rozpoczął polowanie na sekty. Wrogiem numer jeden stali się oczywiście raelianie. Ich wspólnoty zostały zdelegalizowane. Świetnie wyszkolone komanda katolickie szybko i sprawnie rozbiły kryjówki sekciarzy. Wkrótce wyeliminowano z życia publicznego wszelkie odłamy religijne. Przywódców raelian aresztowano, laboratoria spalono, zygoty zniszczono.

Teodor otarł pot z czoła.

– Ewa umarła rok po swoich narodzinach, ale Adam przeżył. Jedna z rodzin raelian przetrwała pogrom i zaszyła się w małej miejscowości w Alpach. Przybrali nazwisko Meyer. Przygarnęli chłopca, zdając sobie sprawę z jego pochodzenia. Dorastając, wykazywał się wysoką inteligencją i głodem wiedzy. Ukończył kilka fakultetów, stał się wybitnym specjalistą z dziedziny kosmologii i astrofizyki, pracował w światowej sławy instytucji, aż wreszcie został wybrany do lotu do Alfy Centauri.

Uśmiechnął się blade.

– Na długo przed wyprawą, świadomy swego pochodzenia, zacząłem zadawać sobie pytania natury filozoficznej. Czy można

kochać Boga, nie będąc Jego tworem? Czy klon także obdarzony jest łaską Pana? Czy posiada duszę? Czy dostąpi zbawienia? Jakie implikacje teologiczne wynikają ze stworzenia ludzkiego klona? Religia stała się dla mnie bardzo ważna. Ale teraz widzę, że w specyficznych warunkach otoczenia nie poradziłem sobie z własną tożsamością. Ciężar mnie przytłoczył, zaczęły się sny na jawie, wizje o podłożu religijnym. Angelika twierdzi, że to coś podobnego do schizofrenii? Bardzo możliwe.

Zebrani próbowali przetrwać to, co przed chwilą usłyszeli. Zatopieni we własnych myślach unikali wzajemnych spojrzeń.

– Sorono – odezwał się komandor – czy Meyer jest w stanie pełnić swoje obowiązki?

– Nie widzę przeciwwskazań. Zaaplikuję mu atypowe leki przeciwpsychotyczne, co powinno powstrzymać rozwój choroby. I będziemy obserwować.

Hubert pokiwał głową i zakończył odprawę. Wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, a on długo jeszcze zastanawiał się nad sytuacją na *Marku Aureliusz*. Trzy osoby z załogi nie żyły, na lekarzu pokładowym ciążyły zarzuty o nieumyślne spowodowanie śmierci i złamanie etyki zawodowej. Kolejny astronauta okazał się mieć problemy psychiczne i trudno było zgadnąć, czyjego stan w ciągu najbliższych tygodni się nie pogorszy. Musiał mieć go cały czas na oku. Wszyscy zaś wykazywali objawy depresji, a niektórzy z nich doświadczali dziwnych halucynacji. W tym także Zettenberg.

Zaczął poważnie wątpić w powodzenie misji.

ROZDZIAŁ 21

U CELU

Marek Aureliusz rozpoczął proces hamowania. Silniki statku ryknęły, uwalniając potężne pokłady energii, i Zettenberg poczuł silne drgania pokładu. Sprawdził koordynaty na panelu sterującym i stwierdziwszy, że wszystko jest w najlepszym porządku, przeniósł spojrzenie na widok rozprzestrzeniający się za iluminatorem.

Tolimán rósł w oczach. Gwiazda była teraz wielkości Słońca widzianego z orbity Neptuna. Rزتaczała podobny blask, prawie identyczne widmo i była tylko trochę masywniejsza oraz jaśniejsza. Czekala tam na nich, jeszcze niewielka, ale wyróżniająca się już na tle innych gwiazd. Hubert niemal fizycznie czuł jej ciepło, niczym czule matczyne dotknięcie.

Zettenberg przeniósł spojrzenie na KIV, który w porównaniu ze swoim towarzyszem był tylko bladym odbiciem. Pomimo że bardziej przypominał Słońce, to planeta nadająca się do zamieszkania krążyła wokół Tolimána.

Gdzieś tam na niebie dojrzał jeszcze trzecią gwiazdę tworzącą układ. Proxima Centauri była czerwonym karłem niewiele większym od Jowisza i oddalona była znacznie od swoich sióstr. Jeszcze nie tak dawno astronomowie zastanawiali się, czy można ją zaliczyć do układu, ale okazało się, że wokół nich orbituje i jej ruch w przestrzeni jest taki sam jak gwiazd głównych.

Ponownie zwrócił głowę w stronę Tolimána i dostrzegł w jego sąsiedztwie znaczną liczbę świecących niewielkich punktów. Asteroidy, od których roił się układ. System nawigacyjny statku naliczył ich dwa razy więcej niż w Pasie Kuipera. Komputer już

obliczał tory lotu największych z nich i nanosił poprawki, wyznaczając nowe trajektorie *Marka Aureliusza*, żeby bezpiecznie ominął dryfujące w przestrzeni skały.

W innych układach gwiazdnych, w tym także w Układzie Słonecznym, astronomowie nie wykryli takiego nagromadzenia asteroid, które były kosmicznymi śmieciami, pozostałościami po tworzeniu się planet i księżyców. Tutaj, ze względu na silne oddziaływanie grawitacyjne między bliźniaczymi gwiazdami Alfy Centauri, ciała niebieskie nie zdążyły się ustabilizować. Głoby rozpadły się, nim zdążyły się na dobre uformować, i zapewne stąd wzięło się tyle kosmicznego odpadu.

Hubert przez chwilę zastanawiał się, jak to się mogło stać, że jedna planeta przetrwała i co więcej, panowały na niej warunki sprzyjające życiu. To zakrawało na jakiś fenomen, a może to zwykłe szczęście? Zettenberg nie miał zamiaru roztrząsać teraz tego problemu, gdy cel podróży był na wyciągnięcie ręki.

Westchnął ciężko.

Od czasu opuszczenia Ziemi minęło półtora roku, ale on, podobnie jak pozostali astronauty, przestał zwracać uwagę na upływ czasu. Na pokładzie gwiazdolotu dni niczym się od siebie nie różniły, panowała monotonia, nuda i wszechogarniająca pustka. Hubert nie umiał powiedzieć, czy była ona w nich, w ich sercach i umysłach, czy to nieskończona przestrzeń kosmosu tak na nich wpłynęła.

Teodor Meyer, otępiony lekami, snuł się po pokładzie z książkowym wydaniem Biblii i poruszając wargami, recytował bezgłośnie. Kiedyś serdeczny i przyjacielski, teraz nie szukał już kontaktu z pozostałymi członkami załogi, a gdy już z kimś rozmawiał, po chwili zaczynał mówić od rzeczy. Twierdził, że u celu wyprawy czeka na nich niewyobrażalne zło, które zgubi nie tylko ich dusze, ale również dusze wszystkich ludzi. Przynajmniej raz dziennie ze łzami w oczach błagał Zettenberga, żeby zawrócili,

porzucili misję.

Zachowywał się dziwnie, zdarzało mu się mówić do siebie, wybuchać niepohamowanym pustym śmiechem, ale nie zaniedbywał obowiązków. Zlecone prace wykonywał jednak bez entuzjazmu, jakby mechanicznie. Wydawało się, że astrofizyk żył w swoim własnym świecie, a na *Marku Aureliusz* był tylko przechodniem.

Sina Finderman prawie nie wychodziła z laboratorium. Setki razy przeprowadzała te same badania i choć zawsze dawały identyczny rezultat, to twierdziła, że musi próby powtórzyć. Laboratorium było dla niej bezpiecznym sanktuarium, azylem, w którym się chowała. Przed czym? Tego chyba sama nie wiedziała. Niegdyś dumna i pewna siebie kobieta, teraz przemykała korytarzami statku zgarbiona, załękniiona, niepewnie oglądając się za siebie, wypatrując w kątach jakiegoś zagrożenia.

Przestała się prawie odzywać, a gdy już została przez kogoś zagadnięta, mówiła szeptem, drżącymi ustami, a w jej oczach cały czas gościł strach. Zettenberg mocno obawiał się o jej zdrowie i w normalnych warunkach odesłałby ją do lekarza pokładowego. Ale warunki normalne nie były.

Angelika straciła zaufanie załogi i nawet tabletki antydepresyjne każdy pobierał sobie sam. Wyjątek stanowił Meyer, który cały czas znajdował się pod jej nadzorem. Sorono czasami zwiększała mu dawki leków, a czasami zamieniała na inne, gdy widziała, że stare przestały działać. Hubert w tym względzie musiał jej zaufać. Cieszył się, że choroba astrofizyka drastycznie się nie pogłębiała i nie miewał stanów psychiatrycznych.

Natomiast jeśli chodzi o Angelikę, to zamykała się w swojej kajucie i rzadko z niej wychodziła. Nawet zaniedbała dyżury w gabinecie medycznym. Na szczęście rzadko była potrzebna. Kobieta straciła gdzieś cały swój urok, stała się osowiała i opryskliwa. Nie sposób

było dojść z nią do porozumienia, każda rozmowa kończyła się awanturą. Wiecznie podkrążone oczy wskazywały, że mało sypia. Sprawiała wrażenie osoby, dla której misja przestała mieć znaczenie.

Wydawało się, że jedynymi członkami załogi zachowującymi normalność byli on i Daniel Czarnecki. Pilot *Marka Aureliusza* zapuścił brodę i wyglądał jak alkoholik na kacu po długiej i wyczerpującej libacji. Rzadko się uśmiechał, przestał żartować, w spojrzeniu już nie było tego entuzjazmu co kiedyś. Coraz częściej zaciskał szczęki, na czole pojawiły się głębokie bruzdy i widać było, że trzyma się tylko dzięki żelaznej dyscyplinie, jaką sobie narzucił.

Zettenberg również nie był w najlepszej formie. Wróciła bezsenność. Spał najwyżej trzy godziny na dobę, a nocami przewracał się bezradnie w koi lub włóczył po gwiazdolicie. Od czasu do czasu miewał halucynacje, które składał na karb zmęczenia i niewyspania. Nigdy już więcej nie ujrzał Miriam, co jednocześnie napawało go ulgą i żalem. Nie chciał jej oglądać w takiej postaci, w jakiej mu się objawiła: zimna, nieludzka, pozbawiona jakiejś części człowieczeństwa. Może duszy? Natomiast czuł smutek, bo wówczas, gdy się pojawiła w jego kajucie, była taka rzeczywista, na wyciągnięcie ręki. Już nigdy tak blisko z nią nie będzie.

Marek Aureliusz wróci na Ziemię po trzech latach wyprawy, ale tam minie jedenaście. Miriam będzie starsza o ponad dekadę, ułoży sobie życie na nowo, zapewne będzie miała męża, dzieci, a Hubert będzie dla niej tylko mglistym wspomnieniem. On zaś cały czas będzie nosił ją w sercu.

Miriam już się nie pojawiła, ale za to doświadczał innych halucynacji. W nocy, kiedy nie mógł zasnąć, spacerował po statku i chociaż niewiele było do zwiedzania, a wszystkie plamy na ścianach, przebarwienia materiału na podłodze znał na pamięć, było to lepsze od przewracania się w koi z boku na bok. Zdarzyło się, że słyszał

kroki na korytarzu, ale gdy się odwracał, to nikogo nie było. Czasami kątem oka w mroku korytarza udało mu się uchwycić cień, innym razem sylwetkę człowieka. Był to mężczyzna jego wzrostu, o siwych włosach i zgarbionych ramionach, tak jakby jakiś ciężar strasznie go przygniatał. Wydawał się samotny i zdany na ponurą egzystencję. Nigdy nie udało mu się ujrzeć jego twarzy. Zjawą, gdy tylko na nią spojrział, zaraz zniknęła.

Hubert zastanawiał się, czy to wytwór jego wyobraźni, psychiki narażonej na ekstremalne warunki gwiazdnej podróży, czy też to, co widział, było prawdziwe? Czyżby przebiecia z innego, równoległego wszechświata? A może przyszłość?

Żeby nie zwariować, uczeplił się pazurami racjonalizmu. To, co widział, uznał za halucynację i chociaż inni członkowie załogi twierdzili, że również widzieli snującego się po statku siwowłosego mężczyznę, nie chciał do siebie dopuścić myśli, że na *Marku Aureliusz* dzieją się rzeczy niezwykle, których nie rozumie, a co ważniejsze, nie kontroluje.

Próbował zachować resztki pozorów. Codziennie ubierał się w służbowy uniform i przeprowadzał odprawy, na których rzadko był komplet. Jeśli nawet któryś z astronautów raczył łaskawie przyjść, siedział ze wzrokiem utkwionym w ścianie, otulony we własne, mroczne myśli. Nikt nie pragnął towarzystwa.

Co rusz przedstawiał załodze zadania do wykonania, czasem bezsensowne i absurdalne. Później przeprowadzał kontrole, pilnując, żeby wszystko, co polecił, zostało wykonane. Chciał wzbudzić w podwładnych poczucie obowiązku i chęć do życia. Gdyby nie wprowadzona przez niego dyscyplina, ludzie skoczyliby sobie do gardła, a misja zakończyłaby się fiaskiem. Mimo że nie dochodziło do otwartych konfliktów, w powietrzu niemal dawało się wyczuć aurę wzajemnej niechęci.

Komandor zaczął wątpić w swoje zdolności przywódcze. Zadręczał

się myślą, że przez jego niekompetencję *Marek Aureliusz* nie dotrze do celu. Stracił trzech ludzi, nie zapanował nad emocjami załogi i nie wiedział, co dalej robić.

Tak było przez ostatnie miesiące.

I nagle wszystko się zmieniło. W dniu przekroczenia obrzeży układu Alfa Centauri mroczna mgła zwątpienia otulająca umysły opadła. Zniknął zamęt i uczucie niepokoju. Wszyscy jakby obudzili się z niezwykłego letargu. Błędne spojrzenia odzyskały ostrość widzenia. Znikły senne koszmary i halucynacje. Sina zaczęła się znowu uśmiechać, Angelika rozmawiać, Teodor zaś z zapalem zabrał się do analizy widma gwiazdy.

Pytanie, co się z nimi działo, pozostało na razie bez odpowiedzi. Czy dopadła ich zwykła psychosomatyczna dolegliwość spowodowana pustką kosmosu? A może coś obcego, tajemniczego i jeszcze niezbadanego wyciągnęło po nich swoje macki? Cokolwiek to było, odeszło.

Spoglądając na świecącego żółtym światłem Tolimana, odetchnął głęboko. Poczul wypełniającą go ulgę. Pomimo przeciwności losu dotarli na miejsce. Teraz mogli myśleć o nowym etapie misji. Za dwa miesiące znajdą się na orbicie planety, a potem... Potem może zdarzyć się wszystko. Oczywiście miał na myśli wszystko, co najlepsze.

Usłyszał śmiech i głośne rozmowy dochodzące z mesy. Ucieszyło go to.

– Myślę, że spotkamy tam istoty, których budowa będzie oparta na krzemie. – Daniel stał niedbale oparty o ścianę mesy. Sina siedziała na krześle z nogami nonszalancko zarzuconymi na blat stołu. Uśmiechnęła się do wchodzącego komandora. Naprzeciw niej siedział Meyer. Brakowało jedynie Angeliki, która odsypiała dyżur w laboratorium.

Zettenberg pobrał z dystrybutora opakowanie żywności, usiadł

przy stole i zaczął jeść, przysłuchując się rozmowie.

– Nie sędzę – odparła Finderman. – Raczej na bazie białka. Z tego, co mi wiadomo, geneza geologiczna Raju Utraconego jest zbliżona do ziemskiej i dlatego...

– Pozwól, że ja opowiem – wtrącił Teodor. – Geologia to przecież moja działka. Jeśli ta planeta jest podobna do Ziemi, na początku swojego istnienia była w przeważającej części zalana gorącą wodą i cały czas podgrzewana przez żarzące się skały, stanowiące dno oceanu. Powstał tak zwany bulion, posiadający wszelkie składniki potrzebne do syntezy żywych organizmów. I wtedy zapoczątkowana została reakcja wywołana przez aktywność wulkaniczną, intensywne promieniowanie nadfioletowe oraz energię elektryczną pochodzącą z wyładowań atmosferycznych.

– Chcecie mi wmówić, że powstałszyśmy niczym potwór Frankensteina?! – oburzył się Daniel.

– To się nazywa biogeneza, czyli powstanie materii żywej z materii nieożywionej – tłumaczyła Sina. – W praocenie nastąpiły reakcje chemiczne i cząsteczki cukrów połączyły się w skrobię oraz celulozę. Aminokwasy zapoczątkowały powstanie białek, a gdy cukry oraz związki azotu połączyły się ze sobą, powstał kwas dezoksyrybonukleinowy.

– Że co?

– DNA – uśmiechnęła się Sina. – Najbardziej niesamowity związek, zdolny odtwarzać sam siebie, a jednocześnie dostarczający instrukcji obsługi innym substancjom złożonym. Im bardziej złożona forma życia, tym bardziej złożone dna. Na przykład w komórce bakterii dna jest bardzo proste, choć i tak tworzy labirynt tysięcy atomów ustawionych w grupy zwane nukleotydami.

Każdy nukleotyd jest sam w sobie złożoną strukturą, nie wspominając już o innych cząsteczkach organizacyjnych, jak białka i węglowodany.

– Sina... – niemal błagalnie przerwał jej Czarnecki.

– Wracając do tematu – uśmiechnęła się – na początku zaistniały proste komórki, produkujące dla siebie pożywienie. Te przekształcały się w bardziej złożone związki organiczne, aż powstały białka, z których zbudowane są współczesne organizmy żywe. Jeśli Raj Utracony ma to samo podłoże geologiczne co Ziemia, to można śmiało założyć, że istoty tam żyjące mają budowę opartą na bazie białka.

– Więc życie, które tam zastaniemy, będzie podobne do ziemskiego? Dzięki! Nie po to leciałem taki kawał, żeby teraz spotkać krówki, konie, pieski i kotki! Ja wracam.

– Nigdy nie wiadomo... – Sina wydawała się szczerze ubawiona oburzeniem Czarneckiego. – Ewolucja może przybrać różne formy i odmiany.

– Ewolucja!? – spytał ironicznie Teodor. – Więc wierzysz, że proces wygenerowania białka lub samego dna zaszedł samoczynnie i do tego zdarzyło się to dwukrotnie, raz na Ziemi i ponownie w odległości zaledwie czterech lat świetlnych od niej? Zastanów się, jakie jest tego matematyczne prawdopodobieństwo.

– Jestem biologiem, nie matematykiem – wzruszyła ramionami kobieta. – A ty znowu wyjeżdżasz z tym swoim kreacjonizmem. Nadal twierdzisz, że Bóg stworzył dla nas Raj Utracony?

– Nie jestem pewny, czy to był Bóg – cicho odparł Meyer.

ROZDZIAŁ 22

SPACER W KOSMOSIE

Podróż dobiegła końca. Obecnie *Marek Aureliusz* z gwiazdolotu przeistoczył się w stację kosmiczną, majestatycznie zawieszoną nad jedynym światem systemu Alfa Centauri. Z kadłuba niczym ślimak ze swojej skorupy wychynęły ukryte do tej pory baterie słoneczne, teleskopy, różnego rodzaju czujniki rejestrujące fale radiowe, plazmowe, promieniowanie kosmiczne. Dane z urządzeń spływały wprost do centralnego komputera.

Wystrzelone zostały sondy i teraz zmierzały już w kierunku Raju Utraconego w celu pobrania pierwszych próbek powietrza, gleby i roślin. To wszystko miało następnie zostać poddane szczegółowej analizie w laboratorium. Sina Finderman zajmie się badaniem flory i fauny, Angelika Sorono sprawdzi je pod względem bakteriologicznym, natomiast Teodor Meyer zbada próbki geologiczne. Będzie musiał również dokonać analizy chemicznej, gdyż po śmierci Yaki Mashari nie mieli chemika. Jeśli nie będzie przeciwwskazań, już niedługo wylądują na planecie.

Ale na razie czekali.

Na *Marku Aureliuszu* było sporo pracy. Pomimo tego, że wiele urządzeń na statku było zautomatyzowanych, sterowanych przez komputer, to jednak niektóre rzeczy musiał wykonać człowiek. Brak trzech osób załogi był odczuwalny i wszyscy mieli pełne ręce roboty.

To zaktywizowało astronautów i gdy tylko poczuli się potrzebni, poprawiły się ich nastroje. Wydawać by się mogło, że poprzednie pół roku było tylko sennym koszmarem, z którego się wreszcie zbudzili.

Zettenberg szybował w przestrzeni kosmicznej. Brak oporu

powietrza i bezwładna lewitacja wywołuje w ludziach euforię, ale i lęk. Niezależne od woli człowieka uczucie rodzi się w podświadomości, wynika z odwiecznego pragnienia oderwania się od przyziemnej egzystencji. Jednak to, co niezwykle, nienaturalne, napawa również strachem.

Ubrany w kosmiczny skafander i przypięty stalową liną do statku wyszedł razem z Czarneckim naprawić uszkodzenie w sekcji czternastej. Z głośników zamontowanych w skafandrze dobiegały radosne okrzyki Daniela, który z niezwykle prędkością przeleciał mu nad głową.

No tak, pomyślał Hubert, odpalił osobisty zespół manewrowy, w skrócie OZM. Był to rodzaj napędu odrzutowego, zbudowany z dwudziestu czterech niewielkich dysz, które wyrzucając z siebie azot, umożliwiały poruszanie w próżni, a mieścił się w plecaku przymocowanym z tyłu do skafandra. Za pomocą drążków przyczepionych do rękawów kombinezonu regulowało się prędkość i kierunek ruchu.

Komandor musiał przyznać, że Polak świetnie sobie radzi. W próżni czuł się jak ryba w wodzie. Niech się bawi, załodze należy się chwila luzu, myślał Hubert, pobłażliwie patrząc na ekwilibrystkę podwładnego. Sam jednak nie czuł się komfortowo. Nie lubił przebywać w stanie nieważkości.

Większość astronautów, przebywając na orbicie, przeżywa dolegliwości podobne do choroby lokomocyjnej. Problemy z poruszaniem się, nudności, czasem zdarzały się wymioty. Powodem niedyspozycji jest błędnik, znajdujący się w uchu wewnętrznym. Gdy nie ma ciążenia, komórki zmysłowe nie wiedzą, jak interpretować bezwładny przepływ płynów. Dlatego zanim astronauta wyjdą w skafandrach w przestrzeń kosmiczną, zawsze przyklejają sobie plaster z dimenhydrynatem. Związek ten zapobiega nudnościom i działa przeciwwymiotnie.

Jednakże nie z tego powodu Zettenberg czuł się niekomfortowo. Przeraziła go czarna, niezmierna otchłań kosmosu. Oczyma wyobraźni widział, jak stalowa linka łącząca go ze statkiem nagle pęka, a on oddala się coraz dalej, dalej, dalej...

Otrząsnął się z ponurych myśli i ponownie skupił na powolnym przesuwaniu się w stronę uszkodzonego sektora. Czynił to nieumiejętnie, odpychając się od wystających części statku i poręczy specjalnie w tym celu zamontowanych. Projektanci *Marka Aureliusza* zakładali, że może pojawić się konieczność wyjścia na zewnątrz, i dostosowali kadłub do kosmicznych spacerów. Pomimo tego męczył się przy tym strasznie.

Tak samo jak przy półtoragodzinnej procedurze zakładania skafandra kosmicznego, którą musiał przejść, żeby wyjść w przestrzeń. Najpierw trzeba było założyć urządzenia zbierające mocz i umocować je w pasie. Następnie włożyć bardzo niewygodną bieliznę, wykonaną z elastycznej siatki i wplecionych w nią cienkich rurek z tworzywa sztucznego. To w nich krąży schłodzona woda, która zapobiega przegrzaniu się organizmu, o co nietrudno podczas ciężkiej pracy na orbicie. No i wreszcie, najważniejszy w tym wszystkim, skafander składający się z dwu warstw: wewnętrznej z włókien nylonowych i zewnętrznej, pokrytej teflonem, kevlarem, nomeksem. Tylko taki skutecznie chronił przed mikrometeorytami, promieniowaniem kosmicznym i zabójczymi temperaturami. W cieniu planety czujniki wskazywały minus sto pięćdziesiąt stopni Celsjusza, a przy bezpośrednim wystawieniu na działanie promieni Tolimana temperatura dochodziła nawet do plus stu osiemdziesięciu.

Na koniec włożył na głowę miękki kaptur, do którego przymocował mikrofon oraz słuchawki połączone z przenośnym nadajnikiem. Dzięki temu miał stały kontakt z Danielem i Teodorem, monitorującym ich z pokładu *Marka Aureliusza*.

Kolejnym etapem żmudnych przygotowań do wyjścia w kosmos było założenie plecaka, w którym mieścił się OZM, zapas tlenu na sześć godzin oraz urządzenie usuwające dwutlenek węgla i parę wodną z wnętrza skafandra.

Na sam koniec szczelnie przytwierdził za pomocą metalowych obręczy rękawice i buty. Hełm z przyciemnioną szybką, zatrzymującą promieniowanie ultrafioletowe, założył mu już Meyer. Tak wyekwipowany, z walizką narzędzi w ręku ruszył w niegościnną otchłań.

Nieporadnymi ruchami, na przemian odpychając się i przyciągając, dotarł wreszcie do miejsca uszkodzenia. Wyglądało paskudnie – ponad cztery metry rozerwanego kadłuba. Zettenberg zapalił lampkę umieszczoną na hełmie i natychmiast przystąpił do pracy. Wiedział, że nie będzie łatwo, a musieli wyrobić się w sześć godzin, bowiem na tyle mieli tlenu. A Hubertowi nie uśmiechało się wychodzić w kosmos po raz drugi.

Po chwili dołączył do niego Czarnecki. Trochę zazdrościł Polakowi gracji, swobody ruchów i tej radości, którą odczuwał z braku grawitacji. Chętnie zostawiłby go tu samego, ale wiedział, że to niemożliwe. Regulamin surowo zabraniał wychodzenia w przestrzeń w pojedynkę. Zawsze musiała być dodatkowa osoba na wypadek nieprzewidzianej sytuacji. Hubert nie miał sumienia wysłać Siny, chociaż bardzo się do tego paliła, a Angelika musiała zostać na pokładzie, by w razie potrzeby służyć pomocą medyczną. Teodor natomiast nie był już pierwszej młodości, a załatanie wyrwy w pokładzie wymagało wysiłku fizycznego. Poza tym bał się o jego kondycję psychiczną. Co prawda ostatnio zachowanie Meyera wróciło do normy, ale Hubert nie chciał ryzykować. Spacer w kosmosie był niezwykle niebezpieczny. W związku z brakiem większej liczby załogantów płci męskiej musiał osobiście podjąć się tego zadania.

Daniel nucił jakąś piosenkę.

– Co ci tak wesoło? – usłyszał w słuchawkach głos Meyera. Pytanie skierowane było do Czarneckiego.

Polak roześmiał się.

– Dostawałem już klaustrofobii na statku.

– Młodość – skomentował sucho astrofizyk. – Do pracy, panowie, czas ucieka.

Promienie Tolimana leniwie muskały planetę, ukazując ją w całej okazałości. Urzekła swoim łagodnym pięknem i zdawała się przyzywać przybyszów z odległego systemu gwiazdnego, żeby zakosztować jej owoców. Wydawała się rajem obiecującym wieczną szczęśliwość. Ludzkość nie mogła sobie wymarzyć wspanialszego daru.

Planeta powoli wirowała wokół własnej osi niczym zmysłowa tancerka, prezentując wszystkie swoje zalety. Dostrzec można było błękit mórz i oceanów. Kipiące morską pianą wody i gnane wiatrem fale. Biel skłębionych chmur, które w dzień chroniły powierzchnię globu przed przegrzaniem, w nocy zaś przed wyziębieniem.

Hubert zapatrzył się na ten niesamowity widok. Zauważył cirrusy tworzące się nad jeszcze niepoznanym i nienazwanym oceanem. Widział porozrywane cirrocumulusy. Przypominały wstążki targane przez wiatr. Żałował, że nie może dostrzec niższych warstw chmur: altocumulusów, stratocumulusów, cumulonimbusów. Uśmiechnął się do siebie. A może tutaj w niższych warstwach atmosfery tworzą się inne chmury? Jeszcze bardziej niezwykle i fantastyczne. Przekona się o tym, kiedy sondy przyślą pierwsze zdjęcia planety.

Nagle pociemniało mu przed oczami i ujrzał inne chmury, gnane przez wiatr po błękitnym niebie, w miejscu oddalonym o ponad cztery lata świetlne stąd. Przyglądał się im z uśmiechem, czując wypełniające go szczęście. Wszystko układało się lepiej, niż to sobie wymarzył. Właśnie dostał awans na kapitana i propozycję udziału w

projekcie astronautycznym. Oznaczało to, że wreszcie spełni się jego marzenie i za kilka miesięcy poleci w kosmos. Miał zostać pilotem promów latających na Księżyc. Nie mógł się doczekać i najchętniej już dzisiaj stawiliby się w ośrodku treningowym Agencji Kosmicznej. Jednakże teraz był tutaj, na Balearach, gdzie spędzał zaległy urlop.

Próbował cieszyć się słońcem, plażą i obecnością Miriam, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Nie potrafił smażyć się na leżaku, popijając drinki i beczynn timer gapiąc się w morze. Jego żonie to odpowiadało.

Minęły trzy lata od ślubu i namiętność między nimi powoli gasła, zastąpiona rutyną, przyzwyczajeniem. Nadal kochał Miriam, ale coś się zmieniło. Już tak bardzo nie łaknął jej obecności, nie zachwycał się każdym gestem, słowem, nie wpatrywał się w nią jak w obrazek. Pragnął wyrwać się z jej ramion i polecieć w kosmos. Teraz to było jego największą namiętnością, czymś, czego pożądał nad życie.

– Znowu o tym myślisz? – zagadnęła Miriam rozłożona na leżaku obok. Wyglądała oszałamiająco w czarnym dwuczęściowym kostiumie.

– O czym? – zdziwił się Hubert.

Nie mógł dojrzeć jej oczu skrytych pod okularami słonecznymi, ale na jej smagłej twarzy malował się smutek.

– O nowej pracy.

– Mam szansę na spełnienie marzeń. – Uśmiechnął się.

Miriam przygryzła dolną wargę.

– Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Nie rozumiem.

– Przez najbliższe pół roku będziesz zamknięty w ośrodku szkoleniowym tydzień mil od Berlina...

– Będę przyjeżdżał w co drugi weekend. – Ujął jej dłoń. – To tylko pół roku. Damy radę.

Kobieta westchnęła ciężko.

– A co będzie potem?
– Potem?
– Loty, misje, kolejne szkolenia. Nie będzie cię w domu całe tygodnie, a może nawet miesiące.
– Wiedziałaś przecież, że tak będzie.
Zacisnęła mocno usta.
– Miriam – rzekł łagodnie – rozłąka nie zmieni naszych uczuć.
– Jesteś tego pewien?
– Oczywiście! Nawet jak zapakują mnie do rakiety, wystrzelą daleko w kosmos i znajdę się lata świetlne od Ziemi, nadal będę cię kochał.

Wreszcie się roześmiała.

– Akurat! Chciałabym w to wierzyć. Będziesz spoglądał w gwiazdy i szybko o mnie zapomnisz.

– Nieprawda. Całymi godzinami będę rozmyślał o tobie.

Zachichotała. Tak jak lubił. Uwodzicielsko. Przechylił się na leżaku i ją pocałował.

– Jesteś najwspanialszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła.

Uniosła lekko brwi.

– A myślałam, że kontrakt z Agencją Kosmiczną.

– Wracajmy do hotelu – rzekł, delikatnie muskając palcami jej policzek. – Udowodnię ci to.

Tamtego dnia kochali się długo i namiętnie. Jednakże Hubert cały czas był myślami przy nowej pracy. Całując i pieszcząc swoją żonę, myślał o kosmosie...

Zettenberg ocknął się i rozejrzał wokoło. Cały czas znajdował w kosmicznej próżni. Wakacje na Balearach, upojna noc z Miriam były tylko odległymi wspomnieniami.

– Komandorze – usłyszał w komunikatorze głos Daniela – wszystko w porządku?

– Tak.

– Dziwnie pan zastygł wpatrzony w planetę. Myślałem, że coś się stało.

– Wszystko w porządku. Wracajmy do pracy.

Naprawa zajęła niecałe cztery godziny i teraz ściana statku była jak nowa. Jedyłą pamiątką po eksplozji była stalowa łąta przymocowana do poszycia kadłuba. Hubert, przyglądając się z zadowoleniem grubym nitom, które założyli, po raz kolejny zadał sobie pytanie, dlaczego Borys dokonał sabotażu? Odrzucił absurdalną myśl, że potężny Rosjanin związany był z ruchem komunistycznym. Organizacja nie miała takich wpływów, żeby umieścić swojego człowieka w projekcie. Zatem kto?

Może rządy państw afrykańskich, które od początku przeciwne były misji, twierdząc, że pieniądze powinny zostać przeznaczone na inne, ważniejsze cele. Ale gdy już wyprawa została sfinansowana i *Marek Aureliusz* wyruszył w podróż, to jaki był cel jej sabotowania?

Pozostawały różnego rodzaju wspólnoty religijne obawiające się tego, że na Raju Utraconym może istnieć życie, a to podważy ich dogmaty wiary. Mocno przeciw misji oponował kardynał Bernard Canton, który był częstym gościem na księżycowej stacji Luna, gdy gwiazdolot powstawał. Zettenberg miał okazję go poznać tuż przed odlotem. Duchowny nie wyglądał na zadowolonego. Czy jednak w imię swoich idei gotowi byli dopuścić się zbrodni?

Nagle komandora tknęła niepokojąca myśl. A może to nie Łuszczak był sabotażystą, tylko ktoś związany z Kościołem katolickim? Borys mógł być tylko przypadkową ofiarą. Poczul, że idzie dobrym tropem. Zatem kto mógł stać za zamachem?

Meyer był religijny. Nieżyjący już Yohma także. Podejrzane było, że ukrywał swoją wiarę. Tajemnicą pozostawało nadal to, czy jego śmierć była wypadkiem? Samobójstwo Mashari już mniej, ale kto wie czy ktoś jej do tego nie namówił. Uświadomił sobie, że chyba zbyt pochopnie oskarżył Borysa. Jeśli tak w istocie było, to wśród

załogi nadal znajdował się morderca.

Rozgorączkowany umysł natychmiast podsunął najprostszą odpowiedź. Angelika! To ona pośrednio przyczyniła się do śmierci Yaki, tylko po co miałyby zabijać Yohmę i Rosjanina? I dlaczego pragnęła niepowodzenia misji? Nie mógł znaleźć motywu. A może powód wcale nie był racjonalny? Przecież morderca mógł działać z powodów irracjonalnych, a tak właśnie zachowują się ludzie dotknięci chorobą umysłową.

Teodor! – rozbłysło w umyśle Huberta. A on i Daniel znajdowali się obecnie w otwartej przestrzeni kosmicznej, zdani na łaskę Meyera nadzorującego ich prace. Przeraził się, uświadamiając sobie, że nieroztropnie powierzył życie swoje i pilota choremu psychicznie człowiekowi czy raczej klonowi, mającemu problemy z własną tożsamością. Co będzie, jeśli mu coś odbije i odłączy liny albo zablokuje wejście do śluzy? Wtedy za dwie godziny skończy im się tlen. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak wdycha resztki powietrza, wiedząc, że to jego ostatnie chwile. A potem zacznie się dusić.

Na myśl o tym Hubert zaczął szybciej oddychać. Poczuł pot na skroni i walenie własnego serca, czujniki odnotowały objawy i przekazały do centralnego komputera.

– Komandorze, co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Meyer.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Głos astrofizyka, zamiast uspokoić, wywołał jeszcze większy lęk. Kto mi teraz pomoże? – myślał w panice. Angelika? Emocjonalnie rozchwiana osobowość. Sina? Pochłonięta analizą pierwszych danych dostarczonych przez sondy nawet nie wie, kiedy wyszli na zewnątrz.

Czuł, jak brakuje mu powietrza.

Zettenberg odetchnął kilka razy, próbując się uspokoić. Nie było to łatwe. Tłumaczył sobie, że to tylko nerwy. A może ktoś rzeczywiście zmniejszył mu limit tlenu? Nie! To tylko wyobraźnia – narzucił sobie dyscyplinę umysłową. Wreszcie po kilku sekundach oddech się

wyrównał.

– Wszystko w porządku – odrzekł zachrypłym głosem.

– Mam niepokojące odczyty pańskich funkcji życiowych...

– To nic – odburknął. Pragnął jednak jak najszybciej znaleźć się na pokładzie *Marka Aureliusza*. W słuchawkach Daniel nadal wesoło nucił jakąś dawno zapomnianą melodię.

– Poruczniku, wracamy! – rzucił w eter.

– Już?! – Czarnecki był zawiedziony.

Po powrocie Hubert sprawdził dokładnie stan pojemników z tlenem i oprzyrządowanie skafandra. Wszystko było w należytym porządku. Czyżby jego obawy były tylko wytworem wyobraźni? A może ogarniała go paranoja? Instynkt jednak podpowiadał, że gdzieś w pobliżu czai się zagrożenie.

ROZDZIAŁ 23

FLORA, FAUNA ORAZ LICZBA DRAKE'A

Teodor i Sina, pochyleni nad trójwymiarowym rzutnikiem w laboratorium, nie zauważyli wejścia komandora. Komentowali pierwsze zdjęcia i próbki dostarczone przez sondy.

– Spędziliście całą noc nad komputerem? – zagadnął.

– Mamy niezwykle ciekawe dane – powiedział Meyer. – Zechce pan, komandorze, rzucić okiem?

– Chętnie.

Usiadł przy nich.

– Odległość planety od gwiazdy centralnej wynosi około stu sześćdziesięciu pięciu milionów kilometrów, czyli nieco więcej niż Ziemi od Słońca, ale przy założeniu, że Toliman jest masywniejszy i jaśniejszy, jest to egzosfera sprzyjająca powstaniu życia. Jej obieg wokół gwiazdy to czterysta pięćdziesiąt cztery dni...

– Rzadziej będziemy tu świętować sylwestra – zaśmiał się beztrudnie Hubert. Czuł niewysłowioną ulgę i radość, że wreszcie ich wyprawa dotarła do celu.

– No to wygląda – odpowiedział z uśmiechem Teodor. – Doba trwa dziewiętnaście godzin i trzydzieści trzy minuty, promień planety to około dziesięć tysięcy kilometrów. Glob okrążają trzy niewielkie satelity, którym Daniel nadał wstępne nazwy: Perun, Swaróg i Jaryło.

– A cóż to takiego? – zdumiał się Zettenberg. – Tego nie idzie wymówić. Można sobie połamać język.

– Bogowie słowiańscy.

– Zazwyczaj ciałom niebieskim nadaje się imiona bogów greckich

lub rzymskich.

– Może tym razem zrobimy wyjątek od tradycji? – wtrąciła Sina.

Hubert teatralnie wzniosł oczy ku górze.

– Niech mu będzie, ale astronomowie na Ziemi szybko zmienią te nazwy na bardziej... – przez chwilę szukał odpowiedniego określenia – przyswajalne.

Roześmieli się.

– Co jeszcze macie?

– Przeanalizowałem dostarczone przez sondy próbki skał i gleby – rzekł Teodor, który po śmierci Mashari przejął wszystkie prace związane z badaniami chemicznymi. – Wychodzi na to, że Raj Utracony powstał w podobny sposób jak Ziemia. Bezpośrednio po narodzinach był globem bardzo gorącej, płynnej materii. Podczas gdy ciężkie pierwiastki opadały do środka, tworząc metaliczne jądro, lżejsze unosiły się ku powierzchni, tworząc skalny płaszcz i skorupę. Gorące gazy wydobywające się w postaci pęcherzyków utworzyły atmosferę. Planeta ostygła i zawarta w atmosferze para wodna zaczęła się skraplać. Padające przez wiele milionów lat deszcze utworzyły oceany...

– Rozumiem – przerwał Zettenberg, nie mając ochoty na kolejny wykład Meyera. – Jest tam czym oddychać?

– Jestem dobrej myśli – odezwała się Finderman. – Atmosfera planety posiada grubość około czterystu pięćdziesięciu dziewięciu kilometrów, mniejszą niż na Ziemi, ale proporcjonalną do wielkości globu. Składa się głównie z azotu i tlenu, mniej więcej w takich samych proporcjach jak na Ziemi. Jeszcze to badamy, ale prawdopodobnie będzie można obejść się bez filtrów i butli z tlenem, choć będzie ciężko.

– Dlaczego?

– Pierwsze analizy pokazują, że będzie tam duszno jak w tropiku.

– Co jeszcze?

– Strefy klimatyczne wahają się od największej, tropikalnej, po tundry i sawanny w okolicach biegunowych czap lodowych. Prawie osiemdziesiąt procent powierzchni planety zajmują oceany. Mamy pierwsze zdjęcia. Proszę spojrzeć.

Sina ustawiła ostrość i na hologramie pojawiły się niezwykle obrazy. Świat Raju Utraconego wyglądał bajecznie. Na seledynowo szkarłatnym niebie widniał żółtawy Toliman, oceany mieniły się błękitem i granatem, a zieleń dżungli była dziewicza. Jakże to wszystko przypominało Ziemię, choć zarazem było inne, obce.

– Flora i fauna?

– W oceanach dominują glony. Jest ich mnóstwo. Komputer sklasyfikował jak dotąd około dziesięciu tysięcy gatunków. Ale może być ich nawet sto razy więcej. Wiele ma budowę podobną do ziemskiej plechy, niektóre zaś są tworamami zupełnie fantastycznymi! Charakteryzują się różnorodnością barw, co czyni oceany niezwykle kolorystycznie. Na lądzie zaś dominują mchy i wątrobowce, zabezpieczające glebę przed erozją i zatrzymujące w niej wilgoć. Tutaj są o wiele większe niż na Ziemi. Ich gametofity oprócz łodygi i liści wykształciły jeszcze tkanki drzewne.

Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. Zettenberg jeszcze nigdy nie widział Siny tak rozentuzjasmowanej.

– W wyższej warstwie lasów królują trzydziestometrowe paprocie drzewiaste i piętnastometrowe widłaki.

Na Ziemi dawno wyginęły. Dla odmiany tutaj powstała cała grupa paproci wodnych, podobnych do ziemskiej *Salvinia auriculata*. Budowa i funkcje są bardziej urozmaicone niż ich ziemskich odpowiedników.

– Bardzo bogaty świat, jeśli chodzi o florę.

– Niestety, nie tak do końca. Jeśli chodzi o rośliny okrytonasienne, ich liczba jest o wiele mniejsza, niż przypuszczaliśmy – zafrasowała się i zmarszczyła czoło. – Ale, ale... znalazłam również rośliny

produkujące owoce. Niestety, jeszcze nie wiem, czy nadają się do spożycia. Do tego potrzebne są specjalistyczne badania laboratoryjne i czas.

– Myślicie, że odnajdziemy biblijne jabłko? – Meyer mrugnął. – Drzewo poznania dobrego i złego.

– À propos drzew – kontynuowała Sina – to przede wszystkim królują tu potężne paprocie, choć nie brakuje pasm drzew pseudoiglastych, szczególnie w rejonach podbiegunowych. Ogólnie dominują lasy typu tropikalnego z dużą liczbą szerokolistnych, wiecznie zielonych drzew oraz pnączy i epifitów...

– Epifitów? – spytał komandor.

– Roślin rosnących na innych roślinach.

– Nawet nie wiedziałem, że na Ziemi takie są.

– Prawdę mówiąc, tutejsza flora przypomina Ziemię.

– A fauna?

– Znowu niezwykła różnorodność. W oceanach żyją prymitywne koralce, szkarłupnie, gąbki, żachwy, rozgwiazdy. Rify koralowe są domem dla najróżniejszych żywych organizmów, których większości nie jestem w stanie sklasyfikować. Żeby przebadać i skatalogować całą grupę występujących tu jamochłonów, potrzeba sztabu biologów. Dla nich będzie to raj! Wyobraźcie sobie, że koralce z podgrupy *Hexacorallia* i *Octocorallia*, jak same nazwy wskazują, sześcioramienne i ośmioramiennie, na tej planecie utworzyły coś pośredniego. A tutejsze osłonice i lancetniki wykształciły wiele cech bardziej złożonych niż na Ziemi. Niesłychana różnorodność występuje także wśród mięczaków. Oprócz podstawowych gromad znanych na Ziemi odkryłam jeszcze coś w rodzaju amonito-belemnitów, ssawkonogów i binogów! Oczywiście to moje nazwy, określające ich morfologię.

– Nawet nie chcę wiedzieć, jak to wygląda – skrzywił się Hubert.

– Oceany na tej planecie to kopalnia wiedzy. Jedna z sond

zarejestrowała kałamarnicę o długości pół kilometra! W razie niebezpieczeństwa potrafi generować krótki błysk światła, który oślepia drapieżnika, i wówczas może uciec.

– Uciec?! – zdziwił się Hubert. – Przed czym takie wielkie stworzenie musi uciekać?

Sina wzruszyła ramionami.

– W przyrodzie każde stworzenie ma naturalnego wroga. Kolejna ciekawa istota żyje na dnie oceanu i jest to krab skrzyżowany z pajakiem. Nie odbiera bodźców wzrokowych ani dźwiękowych, ale za to generuje wokół siebie pole elektryczne, którego wielkość odpowiednio reguluje w zależności od potrzeb. Dzięki temu monitoruje najbliższą okolicę i gdy coś zakłóci pole, natychmiast to postrzega. Jeśli w okolicy pojawi się zdobycz, stworzenie wyczekuje, aż ofiara zbliży się na odpowiednią odległość, i wówczas atakuje, rażąc silnym impulsem elektrycznym. Następnie chwytą sparaliżowaną zdobycz i pożera.

Hubert skrzywił się. Brzydził się wszelkimi pajęczakami i stworami je przypominającymi. Stwierdził, że jeśli istnieje więcej tego typu istot, to wcale mu się na tej planecie nie spodoba.

– A na lądzie?

– Wszystko, co tylko pan chce, komandorze. Poczynając od niewielkich pareczników, dwuparców, pratchawców, skorupiaków, pajęczaków, prawie miliona gatunków owadów aż po olbrzymie węże i ptakogady.

Wyobraźcie sobie trzymetrowego niełota z rzędu *Casuariiformes*!

– Jaśniej proszę.

– No, coś w stylu naszego strusia z twardym nabłonkiem, jaki posiadają przedstawiciele rodzaju *Anolis*. Władcami powietrza natomiast są wielkie, dziwne istoty utrzymujące się w powietrzu cały czas.

– Nie lądują?

– Pikują tylko do niewielkich oczek wodnych, żeby się napić lub upolować zwierzę u wodopoju. Na pewno będzie miał pan okazję zobaczyć. Niebo roi się od nich jak na Ziemi od ptaków.

Zettenberg z niedowierzaniem pokręcił głową. Już nie mógł się doczekać lądowania, żeby to wszystko ujrzeć na własne oczy.

– Jednakże dominującą rolę w faunie Raju Utraconego pełnią olbrzymie gady.

– Dinozaury?

– Tylko do pewnego stopnia. Budowa tych stworzeń jest smuklejsza i bardziej krucha niż ziemskiego dinozaura. Są to raczej roślinożercy pokroju stegozaura lub triceratopsa niż krwiożerczego tyranozaura. Posiadają ptasią głowę i szpony zupełnie niepodobne do gadzich. Największym osobnikiem, jakiego zarejestrowała kamera, był przypominający pinakozaura pancernik mierzący dwa metry wzrostu. Nie powinny stanowić zagrożenia dla przyszłych kolonistów i osadników. Wszystko na tej planecie przypomina Ziemię, obecną lub z okresu mezozoiku, a jednak jest trochę inne. Tak jakby ewolucja lekko tylko zoczyła z ustalonego kursu.

– A ssaki?

– Głównie niewielkie gryzonie, lecz nie ma ich dużo. Największe i najwyżej rozwinięte są torbacze. Ciekawe są też przypominające ziemskie *Solenodontidae* almiki, posiadające jad w ślinie, i temreki, polujące na owady. Tych ostatnich sondy zarejestrowały bez liku. Małe ssaki podobne do swoich odpowiedników. Mamy tu więc *Talpidae*, *Lagomorpha*, *Rodentia*, *Muridae*...

– A po ludzku? – upomniał ją komandor.

– Przepraszam, zapędziłam się. Oczywiście chodzi o krety, zające, wiewiórki, zwykłe szczury i myszy. Trafiliśmy także na większe kolonie nieokreślonych futrzaków o wielkich fosforyzujących oczach. Jednakże najciekawszą formą życia, którą na obecną chwilę udało nam się zaobserwować, jest dziwne stworzenie potrafiące

przekształcać się niczym ziemską gąsienicę w motyla. Ale sposób, w jaki to robi, jest niesamowity.

Zaciekawiony Hubert uniósł brwi.

– Po przeprowadzonej przez komputer gruntownej analizie możemy ze stuprocentową pewnością stwierdzić, jak funkcjonuje. Najpierw żyje w wodzie i przypomina węgorza z dwiema parami płetw bocznych. Na pewnym etapie swojej egzystencji przyczepia się do podwodnych roślin i buduje z nich muszlę. Wewnątrz rozbija wodę na wodór oraz tlen. Kokon napęcza się gazem i później wznosi nad wodę, a bryza zabiera go na ląd. Tam już przeprowadzone stworzenie, bardziej przypominające robaka z odnóżami niż rybę, zakopuje się w ziemi, drążąc tunele i szukając pożywienia. Nie udało mi się go zakwalifikować jeszcze do żadnego z gatunków. Polują na nie ssaki, które, co ciekawe, mają oczy rozmieszczone dookoła głowy i dzięki temu obejmują polem widzenia trzysta sześćdziesiąt stopni.

– To rzeczywiście niezwykle. – Zettenberg naprawdę był pod wrażeniem bogactwa świata, na który przybyli.

Przez chwilę panowała cisza, podczas której wszyscy w zadumie spoglądali na trójwymiarowe zdjęcia wyświetlane na panelu holograficznym.

– Takie zróżnicowanie życia na planecie może potwierdzać hipotezę Gai – pierwsza odezwała się Finderman. Obaj mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Hipoteza Gai?

– Biosfera, atmosfera, hydrosfera, litosfera tworzą jeden żywy organizm nazywany Gają od imienia greckiej bogini, Matki Ziemi. Wszystko, co żyje na Ziemi, począwszy od wielorybów, a skończywszy na bakteriach, to jedność, żywa istota planetarna. Największym dowodem jest stabilność klimatu Ziemi.

– Równowaga klimatyczna nie jest skutkiem istnienia życia, a

przyczyną jego powstania – rzekł Teodor. – Dlaczego zatem powstaliśmy my?

– Dla ochrony.

Teodor roześmiał się.

– Zatem sugerujesz, że zarówno Ziemia, jak i Raj Utracony są organizmami żywymi, a my zaś jesteście zaledwie ich opiekunami?

– Martwi cię, że nie jesteśmy pępkiem wszechświata, jak uczy nas tego religia chrześcijańska?

Astrofizyk poczerwieniał z gniewu. Hubert, widząc, że szykuje się kłótnia, chciał szybko zmienić temat.

– Żadnych śladów cywilizacji sondy nie zarejestrowały?

– Nie – odparła Sina i za chwilę dodała: – Na razie nie.

– No nie! – zachnął się Meyer. – To byłoby już zaprzeczenie wszelkiego prawdopodobieństwa!

– O czym pan mówi? – spytał Zettenberg.

– Mam na myśli prawo Drake’a.

– Faktycznie – przypomniał sobie Hubert. – Pamiętam jeszcze ze studiów.

– Prawo Drake’a? – Sina uniosła brwi w zdziwieniu.

– W dwudziestym wieku pewien facet o nazwisku Drake opracował wzór określający liczbę cywilizacji rozumnych w naszej galaktyce – rozpoczął Meyer z miną mentora.

Wyciągnął dłoń i kreśląc palcem okrąg na wyświetlaczu, zamknął katalog ze zdjęciami, a następnie uruchomił edytor tekstu. Na hologramie pojawiła się błękitna luna, na której narysował palcem ciąg znaków:

$$D = RabcdeL$$

– „D” oznacza liczbę Drake’a, czyli liczbę pozaziemskich cywilizacji, z którymi można się skomunikować. Za „R”

podstawiamy tempo powstawania gwiazd w naszej galaktyce. Składową liczymy, dzieląc liczbę gwiazd w galaktyce przez jej wiek. I to potrafimy w miarę sensownie wyliczyć. Natomiast „a” to odsetek gwiazd posiadających planety, „b” – średnia liczba planet wokół gwiazdy, „c” – odsetek planet, na których może pojawić się życie, „d” – odsetek planet, na których to życie będzie inteligentne, „e” – odsetek powstałych cywilizacji, które wymyślą sposób komunikacji. No i wreszcie „L” to średni czas istnienia takiej cywilizacji.

Zamyślił się i podrapał po głowie.

– Jak widać, trudno dopasować do tego jakieś liczby, gdyż jedynym odnośnikiem jest Ziemia. Teraz dochodzi nam jeszcze Raj Utracony.

– Tak? – Sina wydawała się znużona. – I co z tego?

– Mamy już dwie planety, na których rozwinęło się życie – wyjaśnił cierpliwie Teodor. – Na jednej z nich na pewno ukształtowała się cywilizacja. Jeśli do wzoru Drake’a podstawimy nawet bardzo optymistyczne dane, w wyniku otrzymamy około pięciuset tysięcy cywilizacji w galaktyce. Dużo?

– No, nie wiem... – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Na czterysta miliardów gwiazd w naszej galaktyce to zaledwie jedna tysięczna procenta. Co oznacza, że na cztery miliony gwiazd, które odwiedzimy, tylko na jednej znajdziemy rozumne życie.

– Kiepsko.

– No – potwierdził Teodor. Zaraz jednak uśmiechnął się i puścił oko. – Ale to jeszcze nie wszystko. Ile z tych potencjalnych cywilizacji powstało w tym samym okresie trwania galaktyki niż my?

– Niewiele?

– Prawie zero! – Astrofizyk zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pomieszczeniu. – Przy takich wyliczeniach to cud, że przy dwóch sąsiadujących ze sobą gwiazdach znajdujemy życie oparte na tych samych schematach. Coś mi tu nie pasuje! Albo musimy zrewidować nasz pogląd na powstawanie życia we wszechświecie, albo się

poważnie zastanowić, co jest grane.

Zettenberg zmarszczył brwi. Wywód Meyera był całkiem logiczny. To faktycznie nieprawdopodobne, żeby życie powstało na dwóch planetach znajdujących się tak blisko siebie. Jeszcze jak odkryją tu rozumną cywilizację, to całą probabilistykę trafi szlag.

– A ja myślę, że ten twój wzór jest do dupy – odparła Sina, ziewając.
– Jak wspomniałeś, nic oprócz jednej składowej nie jest pewne, a i tę znamy tylko w przybliżeniu. Wychodzą więc same bzdury, bo do wzoru można wstawić, co się chce. A miałam cię, Teodor, za prawdziwego naukowca.

ROZDZIAŁ 24

TAJEMNICZY SYGNAŁ

Wykrył go Daniel Czarnecki. Odbierał najnowsze dane z sond i je katalogował, kiedy natrafił na niezwykley przekaz, ale pomyślał, że to jeden z licznych impulsów wysyłanych przez pulsary lub któryś z automatów wysyłanych na planetę uległ uszkodzeniu i nadaje bezsensowny sygnał. Dlatego też nie zwrócił na niego zbytnej uwagi.

Następnego dnia, a raczej dziewiętnaście i pół godziny później, gdyż tyle zajmuje obrót Raju Utraconego wokół własnej osi, sygnał pojawił się znowu. Tym razem zaintrygowany Daniel nie zlekceważył go i nagrał. Nie namyślając się długo, chwycił za interkom i poprosił komandora do sterówki.

Po kilku minutach zjawił się nie tylko Zettenberg, ale i cała załoga. W głośnikach wbudowanych w ściany pomieszczenia dudniły niezidentyfikowane dźwięki. Słuchali i usiłowali zrozumieć.

– Skąd to pochodzi? – spytał Meyer.

– Z planety. Z jednego, ściśle określonego miejsca.

– Pewnie sygnał z jakiejś zbłąkanej sondy.

– Na początku też tak myślałem – powiedział Czarnecki. – Sprawdziłem jednak i wszystkie są pod naszą kontrolą. Systemy diagnostyczne nie wykryły też żadnego uszkodzenia jakiegokolwiek sondy. Poza tym żadna nie nadaje na tych częstotliwościach.

– Może planeta odbija sygnał z jakiegoś innego źródła? – nie dawał za wygraną Teodor.

– Nie – odparł twardo Polak. – To na pewno pochodzi z Raju Utraconego.

– Co to może być? – zapytała Angelika.

Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy słuchali w milczeniu. Dźwięk wypełniał sterówkę, hipnotyzując basami. Sygnał nie był spójny, czasami dłuższa przerwa poprzedzała późniejszą ich większą częstotliwość, innym razem dźwięki zdawały się rozbrzmiewać w ściśle odmierzonych odstępach czasu. Po nich następowała pięciominutowa przerwa i cała sekwencja powtarzała się od nowa. Naliczyli dwadzieścia pięć jednosekundowych sygnałów w sekwencji trwającej sto sekund. Meyer i Zettenberg próbowali dopasować to do jakiegoś wzoru. Na próżno. Nie potrafili wyciągnąć żadnych konkretnych wniosków co do jego natury. Pozostali członkowie załogi po godzinie słuchania wrócili do swoich poprzednich zajęć.

Teodor zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Spojrzał na zegar. Siedzieli tu już bite pięć godzin. Lada chwila sygnał zaniknie, gdyż źródło znajdowało się po drugiej stronie planety. Spojrzał na Zettenberga zajętego analizą danych ukazujących się na wyświetlaczu.

– Ma pan coś, komandorze?

– Kompletnie nic. Przeskanowałem wszystkie częstotliwości. Nadaje tylko na tej. Nie mogą to też być żadne odbicia, gdyż inne fale magnetyczne dochodzące do *Marka Aureliusza* nie pasują. Ich charakterystyki, amplitudy i widma nie pokrywają się. Nie mam pojęcia, co to może być. Trzeba przyjąć, że tam na dole istnieje jakiś nadajnik.

– Może to sygnał pochodzenia naturalnego?

– Nie sądzę. – Hubert pokręcił głową. – Sina twierdzi, że to raczej niemożliwe, a ona na biologii się zna.

– Nie możemy zakładać, że na tej planecie przyroda ukształtowała się tak samo jak na Ziemi. Przecież już pierwsze dane pokazują, że mamy tutaj do czynienia z tworamami, o jakich nam się nie śniło. Być

może okaże się, że znajdziemy naturalną osobliwość emitującą tak mocny sygnał.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość...

– Że to wytwór obcej cywilizacji?

– Tak.

Teodor Meyer roześmiał się.

– Gdyby okazało się, że planeta jest zamieszkała przez inteligentne istoty, mielibyśmy nielichy problem. Przylecieliśmy szukać tu nowego domu, globu do kolonizacji, nie zakładając, że przyjdzie nam się dzielić.

– Wszystko wskazywało na to, że nie ma tu żadnej cywilizacji.

– Albo chcieliśmy w to wierzyć. – Meyer uśmiechnął się kącikami ust. – Co będzie, jeśli okaże się, że jednak jest? Jak zachowają się decydenci na Ziemi? Jakoś nie wierzę w to, że zrezygnują z kolonizacji planety. Zbyt dużo pieniędzy pochłonął projekt, zbyt duże są oczekiwania i nadzieje. Kolejna szansa na znalezienie planety z tak doskonałymi warunkami do życia może się nie powtórzyć. Rozpocznie się coś na kształt piętnastowiecznej konkwisty, gdy z Hiszpanii ruszą wyprawy zbrojne w celu podboju nowo odkrytych terytoriów zamorskich.

– Sugeruje pan, że po nas przyleci tu wojsko, żeby spacyfikować tubylców?!

– Kto wie czy oni nie spacyfikują nas. – Meyer mrugnął. – Nic o nich nie wiemy, nie znamy ich potencjału militarnego. Zresztą jak na razie są to rozważania czysto teoretyczne. Na razie mamy tylko tajemniczy przekaz.

Astrofizyk wstał z fotela i się przeciągnął.

– Sygnał zanikł. Zobaczymy, czy jutro też się powtórzy.

– Zobaczymy – mruknął Hubert. – Proszę iść spać. Dzisiaj już i tak nic nie wymyślimy.

Po wyjściu Meyera komandor przeniósł spojrzenie na iluminator,

wpatrując się w błękit planety i zastanawiając, z czym tak naprawdę mają do czynienia? Czyżby istniało tutaj inteligentne życie? Jeśli tak, to pomijając problemy, o jakich mówił Teodor, będzie to epokowe wydarzenie w dziejach ludzkości. Kto wie czy nie najważniejsze. A być może oni będą pierwszymi, którzy zetkną się z przedstawicielami obcej cywilizacji.

Przez chwilę bawił się swoimi myślami, zastanawiając się, jak będzie ten pierwszy kontakt wyglądał, a potem wydał komputerowi polecenie, żeby obudził go za sześć godzin, i poszedł do swojej kajuty.

Wszyscy w napięciu wpatrywali się w wyświetlacz komputera. Jeśli obliczenia były prawdziwe, za kilkanaście sekund powinien znowu pojawić się sygnał. Gdy Raj Utracony wykonywał powolny obrót wokół własnej osi, pięć par oczu nie spuszczało wzroku z wyświetlacza. Zaczęło się! Pierwszy dźwięk, za nim następny i jeszcze jeden. Trójwymiarowe słupki na hologramie drgnęły, pojawiły się setki liczb algebraicznej analizy. Komputer miał za zadanie przetworzyć sekwencję sygnałów na obraz graficzny, porównać długość i czas trwania. Mimo że dysponowali nagraniami z poprzedniego dnia, ważne było sprawdzenie, czy charakterystyki się pokrywają.

Sekunda przerwy i kolejny, sekunda przerwy, trzy sekundy przerwy, jedna... Najdłuższa przerwa trwała siedem sekund.

– Nie ma w tym żadnego schematu – stwierdził Daniel z ciężkim westchnieniem i odchylił głowę na oparcie fotela pierwszego pilota.

– To pewnie sygnał pochodzenia naturalnego. Może planeta wytwarza fale elektromagnetyczne, które kierunkowo emituje w przestrzeń kosmiczną?

– To mało prawdopodobne – rzekła Finderman, ale nie była już tak pewna swoich racji. Stała z rękoma założonymi na piersi, przygryzając dolną wargę i tępo wpatrując się we wskazania

czujników. Wyglądało na to, że coś ją dręczy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Hubert.

– Tak – odparła. – Po prostu nieprzespana noc.

Zettenberg skinął głową. Nie dociekał. – On też nie spał najlepiej. Jak tylko zmrużył oczy, śnił o planecie i o tajemniczym sygnale wysyłanym z jej powierzchni. Nie pamiętał szczegółów, ale każdy jego sen zmieniał się w koszmar. Odczuwał znowu niepokój, tak jak podczas podróży w kosmicznej pustce. Obawiał się, że może to mieć związek z pojawieniem się przekazu. Teraz jednak nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

– Wyślemy w to miejsce sondy! – zdecydował. – Proszę je przygotować.

– Już to zrobiłem – odparł Daniel. – Są gotowe i czekają na wystrzelenie.

– Doskonale! Proszę wykonać.

Czarnecki wprowadził namiary do komputera, nacisnął odpowiedni przycisk i ujrzeli, jak pięć sond pomknęło do celu.

– Kiedy dotrą do źródła? – zapytał Meyer.

– Za jakieś dwie godziny. Miejsce, z którego nadawany jest sygnał, znajduje się kilka stopni na północ od równika.

– Może stanowić dla nas zagrożenie? – odezwała się Angelika. – Promieniowanie...

– Nie bądź śmieszna – fuknął Daniel. – Przeskanowałem obszar i nic podejrzanego nie znalazłem. Żadnych instalacji, budynków ani aktywności istot rozumnych. To niemal środek dżungli...

– Nie znaczy to, że miejsce jest bezpieczne. Pamiętaj, że jestem odpowiedzialna za zdrowie i życie załogi.

Czarnecki roześmiał się.

– Szkoda, że tak o nie dbałaś w przypadku Yaki.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić! – Sorono mocno zacisnęła pięści. – Jakoś nic nie przeszkadzało ci bzykać mnie w czasie, gdy

ona umierała...

– Zamknijcie się! – Meyer przerwał kłótnie, zrywając się z fotela. Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni tak nagłym, niepodobnym do niego wybuchem.

– Jak mogłem na to nie wpaść?! – szeptał, chwytając się za głowę. – Dwadzieścia pięć w stusekundowym przekazie. To było takie proste, a my szukaliśmy jakichś skomplikowanych schematów i wzorów.

– O czym ty mówisz? – spytał Czarnecki.

– Przecież to są liczby pierwsze!

Astrofizyk chodził po pomieszczeniu, licząc coś na palcach.

– Na początku dwa następujące po sobie sygnały: dwa, trzy, przerwa i pięć, przerwa i siedem. Komputer!

Nałóż otrzymany przekaz na skalę w przedziale od jeden do sto, gdzie każdej sekundzie przekazu odpowiada liczba w tym przedziale. Wygeneruj liczby, którym odpowiada reakcja.

W sterówce zapanowała cisza. Wszyscy w napięciu oczekiwali na wynik analizy komputerowej.

– *Zadanie wykonane: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 17, 19, 23, 29, 31, 37, 41, 43, 47, 53, 59, 61, 67, 71, 73, 79, 83, 89, 97.*

– Jezu Przenajświętszy! – jęknął Meyer. – Zgadza się, to wszystkie liczby pierwsze w przedziale od jeden do sto. Sygnał pochodzi od istot inteligentnych!

– Powoli, powoli... – Angelika uniosła dłoń. – Co to są liczby pierwsze?

Kobieta kończyła medycynę i psychologię, a tam nie wykładano matematyki. Postępująca z każdym rokiem specjalizacja zawodów powodowała, że każdy znał się na gałęzi dyscypliny, w której się kształcił, jednak brakowało podstaw z innych dziedzin.

– Wszystkie liczby naturalne, które dzielą się tylko przez siebie i przez jeden – odpowiedział Meyer. – Oprócz zera i jedynki.

– Rozumiem – rzekła Sorono. – Ale dlaczego ktoś miałby się z nami

kontaktować, przysyłając ciąg liczb?

– A myślałaś, że obce istoty wyjdą do nas z wypisanym na tabliczkach: witajcie!? – ironizował Meyer. – Matematyka to uniwersalny klucz! Znana była ludzkości od samego jej początku. Proste obliczenia wykonywali prehistoryczni myśliwi, kobiety przewidujące datę miesiączki, pierwsi handlarze liczący zysk i wodzowie szacujący siłę bojową swoich ludzi. To język, który istoty rozumne przyswajają sobie na samym początku. Dlatego jedynym sposobem porozumienia się z istotą nieznaną naszej kultury, języka, sposobu zachowania jest właśnie matematyka.

– Wydaje mi się, że ponosi cię fantazja – powiedział Czarnecki. – Sygnał może być pochodzenia naturalnego.

– Bzdura! – prychnął Meyer. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, twarz przybrała kolor purpury. – Pokaż mi jakąkolwiek formę nieożywioną, roślinę lub prymitywne zwierzę, co zna sito Eratostenesa.

– Co to takiego?

– Najprostszy sposób wygenerowania liczb pierwszych. Komputer! Wyświetl raz jeszcze liczby od jeden do sto, następnie skreśl wszystkie liczby podzielne przez dwa, oprócz samej dwójki. Dobrze. Teraz usuń wszystkie podzielne przez trzy, oprócz trójki. Kontynuuj według powyższego schematu.

– *Zadanie wykonane* – oznajmił metalicznym głosem komputer i wyświetlił wynik.

Teodor wskazał na wyświetlacz.

– Jak widzicie, żeby znaleźć wszystkie liczby pierwsze w tym przedziale, wystarczy usunąć liczby podzielne przez dwa, trzy, pięć i siedem. Nie rządzą nimi żadne prawa, nie ma żadnego schematu. Może się jednak zdarzyć, że w bardzo długim ciągu, nawet miliona liczb, nie będzie liczby pierwszej lub wręcz przeciwnie, może być ich mnóstwo. Nie sądzicie, że to piękne?

Zebrani pokręcili głowami. Widocznie nie podzielali pasji astrofizyka.

– Powstała niezliczona liczba twierdzeń i metod mających na celu pełne ich zrozumienie, ale do teraz stanowią dla nas tajemnicę. Nierozwiązane jest choćby słynne twierdzenie Goldbacha, mające już trzysta lat. Według jego tezy każda liczba naturalna większa od dwa może być przedstawiona w postaci trzech liczb pierwszych. Twierdzenie to można uprościć, co uczynił Euler, zakładając, że każda liczba naturalna parzysta większa od dwa jest sumą dwóch liczb pierwszych. Największe umysły ludzkości głowią się nad tym zagadnieniem, zaprzęgając do tego moc obliczeniową komputerów. Nie chodzi tu jednak o liczenie, lecz o znalezienie wzoru. Podejrzewam, że ten, kto udowodni, że twierdzenie jest prawdziwe, dostanie Nobla. A wiecie, że duże liczby pierwsze służą wojsku do szyfrowania...

– Teodorze – przerwał Zettenberg – proszę nam lepiej powiedzieć, co to dla nas oznacza?

– Tylko tyle, a może aż tyle, że to istota rozumna, znająca podstawowe zasady matematyki i dysponująca technologią pozwalającą wygenerować fale elektromagnetyczne wysłała nam ten komunikat. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że ktoś próbuje się z nami porozumieć.

– Czyli można to porównać do komunikatów, jakie wysyłaliśmy z Ziemi z nadzieją, że ktoś je odbierze.

– To prawda – odparł astrofizyk. – W dwudziestym wieku za pomocą radioteleskopu w Arecibo nadano w kierunku gromady kulistej M13 sygnał, w którym zakodowano całkiem sporo danych: cyfry od jeden do dziesięć, liczby atomowe wodoru, węgla, azotu, tlenu i fosforu, które są składnikami naszego dna, schemat sylwetki człowieka, średni wzrost oraz wielkość ludzkiej populacji, a także schemat Układu Słonecznego...

– To na odpowiedź będziemy długo czekać – rzekł z przekąsem Daniel. – Odległość do M13 wynosi ponad dwadzieścia tysięcy lat świetlnych.

– Liczymy na to, że ktoś odkryje nasz sygnał wcześniej. Na wysłanych w kosmos sondach Pioneer 10 i Pioneer 11 umieszczono również nasze dane i przesłanie do innych cywilizacji.

– A ja słyszałam, że wysłano w kosmos piosenkę Beatlesów – wtrąciła Sina. – Nie wiem, czy kosmici przepadają za rockiem.

Wszyscy zaśmiali się, ale za chwilę spowaźnieli. Nastąpiła cisza, którą przerywały wyłącznie dźwięki tajemniczego sygnału.

Dwie godziny później sondy dotarły do źródła, z którego pochodził przekaz. Niestety, kiedy znalazły się u celu, nagle zgasły i z niewiadomych przyczyn spadły. Ostatnim obrazem, jaki przekazały, była mglista, pokryta gęstą zielenią góra stołowa.

ROZDZIAŁ 25

NA OBCYM GLOBIE

Lądownik miękko osiadł na polanie. Silniki zgasły. Właz odskoczył z trzaskiem i Zettenberg jako pierwszy człowiek dotknął stopami powierzchni planety w obcym układzie gwiazdnym. Poczł na twarzy powiew wiatru, odetchnął gęęboko, niemal zachłystując się tlenem. Ciężko było oddychać w tym parnym, dusznym powietrzu. Niepewnie postąpił krok do przodu. Zbyt długi! Zachwiał się i wydawało się, że zaraz runie na soczyście zieloną trawę. Wymachując rękoma, zdołał jednak zachować równowagę. Grawitacja Raju Utraconego była nieco mniejsza niż ziemska, sztucznie wygenerowana na statku.

Rozejrzał się dookoła. Stał pośrodku zieleni paproci, dziwnych mchów i porostów. Tuż obok otoczone liściami szyszkowate rośliny oblegane były przez niewielkie latające owady. Żółte dzwonowate kwiaty pochylały swoje łodygi w kierunku ciepła gwiazdy. Fioletowe kwiatostany o kształcie kuli falowały majestatycznie na wietrze. Gdzieś niedaleko kolonia różowych kwiatów wybuchła, wyrzucając w górę pył. Pewnie w ten sposób się rozmnażały.

Spojrzał w niebo, które tu przybierało turkusowy kolor, a chmury miały barwy czerwieni, granatu i bieli. Zza nich nieśmiało przebijał się Toliman, zmierzający już powoli ku horyzontowi. Nastawał wieczór. Dwa z trzech księżyców planety pojawiły się na niebie, swoimi nieregularnymi kształtami przypominając satelity Marsa: Deimosa i Fobosa. Wyglądały równie groźnie i posepnie. Hubert pomyślał, że nadane przez Czarneckiego nazwy bogów idealnie do nich pasują.

Nagle na niebie pojawiło się stado szarych, olbrzymich stworzeń przypominających płaszczki. Majestatycznie szybowały w powietrzu, niemal całkowicie przesłaniając gwiazdę i rzucając wielkie cienie. Zapewne to ci władcy przestworzy, o których wspominała Finderman, pomyślał komandor, odprowadzając je wzrokiem, aż całkiem zniknęły w chmurach.

Tuż za Hubertem z wjazdu wychyliła się Sina. Najpierw z trwogą rozejrzała się wokół, ale po chwili, ujrawszy otaczające ich zewsząd piękno, uśmiechnęła się, zapominając o strachu. Zauroczone krajobrazem szybko zeskoczyła z ładownika. Ostatni z pojazdu wydostał się Teodor Meyer, który bez specjalnego entuzjazmu omiótł wzrokiem okolicę.

– Nieźle – stwierdził tylko.

Zbudowanie prowizorycznego obozu zajęło im niecałe dwie godziny. Zettenberg żałował, że nie ma z nimi Era Yohmy, który powinien być odpowiedzialny za budowę bazy naziemnej. Na szczęście automatyczne roboty programowo wiedziały, co robić, a rola ludzi sprowadzała się do niewielkich korekt, więc bardzo szybko powstał kontenerowy przedsionek dla przyszłej bazy. Sina wyciągnęła podręczny ekwipunek i za pomocą czujników zaczęła badać okolicę. Meyer skrupulatnie sprawdzał konstrukcję budowli, nie ufając automatom. Hubert zajął się stawianiem ochronnego pola siłowego. Na pokładzie statku zostali Daniel Czarnecki i Angelika Sorono, którzy mieli monitorować ich poczynania.

Zettenberg po dwóch tygodniach badań, gdy analizy dostarczonych przez sondy materiałów nie wykryły poważniejszych zagrożeń dla zdrowia i życia ludzkiego, zdecydował wreszcie o lądowaniu. Czas ku temu był najwyższy, nie tylko ze względu na konieczność przeprowadzenia eksperymentów, które można było wykonać jedynie na planecie, ale również biorąc pod uwagę aspekt psychologiczny. Postawienie stopy na Raju Utraconym było

ukoronowaniem całej misji i spełnieniem marzenia ludzkości o dotarciu do innego układu gwiazdowego.

Jednakże lądowanie miało jeszcze jeden cel: zbadanie miejsca, skąd dochodziła tajemnicza transmisja. Jeśli rzeczywiście sygnał nadawany był przez przedstawicieli obcej cywilizacji, należało ich odnaleźć i spróbować się porozumieć. Hubert wiedział, że nie będzie to takie proste. Ludzie, choć to jeden gatunek, sami ze sobą nie potrafią dojść do porozumienia, wiecznie wszczynają wojny i konflikty, więc trudno marzyć o tym, że uda się dogadać z istotami mającymi zupełnie inny sposób myślenia. A co, jeśli okaże się, że ich wartości moralne również są odmienne?

Zettenberg miał cichą nadzieję, że sondy odkryją jakieś miasto lub choćby budowlę w miejscu, skąd był wysyłany sygnał. Na tej podstawie mogliby wysnuć jakieś wnioski – czy owe istoty są humanoidalne, jak funkcjonują, a może nawet domniemywać o ich sposobie myślenia i kulturze. Niestety, jedyne zdjęcia ukazywały skąpaną we mgle dżunglę i wielką, pokrytą zielenią górę przypominającą stół. Musieli to zbadać sami, bowiem żadna sonda nie wróciła. Prawdopodobnie wszystkie uległy zniszczeniu i Hubert obawiał się tego, co mogą tam znaleźć. Automaty mogło uszkodzić jakieś silne pole elektromagnetyczne lub były po prostu zestrzeliwane, ponieważ tubylcy nie życzyli sobie ich obecności. To komplikowało sytuację.

Zettenberg zastanawiał się, dlaczego zatem wysyłali do nich wiadomość? Podejrzewał, że przedstawiciele cywilizacji zamieszkującej Raj Utracony chcieli ich zwabić na planetę, w to właśnie miejsce, ale jednocześnie ukryć swoją tożsamość. Może to tylko zwykła ostrożność cechująca rozumne istoty? Musieli to zbadać.

Zdecydował, że na powierzchni planety wyląduje wraz z Siną i Teodorem, którzy mieli jeszcze wiele badań do przeprowadzenia w

dziedzinie biologii i geologii. Poza tym Finderman posiadała wiedzę o zwierzętach i roślinach Raju Utraconego, więc mogła ostrzec przed potencjalnym niebezpieczeństwem, natomiast doświadczenie Meyera przyda się podczas pierwszego kontaktu. Daniel Czarnecki miał czuwać nad *Markiem Aureliuszem* i gdyby im się coś stało, odlecieć na Ziemię. Angelika zaś cały czas pozostawała w gotowości na stanowisku medycznym w razie jakiegoś wypadku. Hubert miał nadzieję, że do żadnego nie dojdzie.

Zmierzchało. Toliman schował się już całkiem za krótszy niż na Ziemi horyzont, rozpalając niebo niezwykle szkarłatem. Wyglądało podobnie jak na Ziemi w czasie zachodu słońca, co oznaczało, że tutaj atmosfera identycznie rozprasza światło. Po drugiej stronie, nisko nad widnokrzem, wynurzył się jego błądy towarzyszy. Druga z gwiazd układu Alfa Centauri wydawała się zimna i obca.

Siedzieli na skrzyniach po materiałach budowlanych i wpatrywali się w nocne niebo. Hubert nie potrafił rozpoznać większości konstelacji. Mimo że Alfa Centauri znajdowała się stosunkowo niedaleko Słońca, odległość okazała się wystarczająca, aby gwiazdozbiory uległy zmianie. Dziwnie się czuł, patrząc na zniekształconego Oriona czy Syriusza widzianego na prawo od Wielkiego Psa. Jedyne Wielka Niedźwiedzica zachowała prawie niezmienny kształt. Różnicę stanowiła niezwykle jasno świecąca gwiazda u dyszla Wielkiego Wozu. To było Słońce. Spoglądał tęsknie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek tam wróci?

Półtora roku temu bez żalu opuszczał Ziemię. Wydawało mu się, że nie potrzebuje ludzi i tego całego cywilizacyjnego zgiełku. Myślał, że odnajdzie spokój wśród gwiazd, w niezmierzonej przestrzeni, podczas misji, o jakiej zawsze marzył. Mylił się. Międzygwiazdny lot pogłębił tylko jego cierpienie. Nie było dnia, żeby nie myślał o Miriam i żałował, że nie jest z nią. Tęsknił również do przepychu

miast, do setek ludzi spotykanych każdego dnia na ulicach, do hałasu, różnorodności, jaką oferował każdy kolejny dzień na Ziemi, a czego nie dawała monotonia kosmicznej pustki.

Teraz, gdy już dolecieli do Raju Utraconego, przyjemnie było grać się w blasku Tolimana, poczuć zapach powietrza, grunt pod nogami, ale to wszystko było namiastką domu, który znajdował się ponad cztery lata świetlne stąd. A czekała ich jeszcze droga powrotna.

Westchnął ciężko. Dotychczas odsuwał od siebie myśli o ponownym spędzeniu półtora roku na pokładzie *Marka Aureliusza*. W drodze do Alfy Centauri stracił trzech ludzi i martwił się, czy zdoła resztę załogi doprowadzić cało na Ziemię.

Nagle jego rozważania zakłócił potężny ryk dochodzący z dżungli. Finderman mimowolnie podskoczyła.

– To zapewne gady walczące o pożywienie – rzekła.

– Niech się pani nie boi, Sino. Pole siłowe nas skutecznie osłania – uspokajał Hubert.

Obóz otaczała sferyczna poświata. Nic tu nie wejdzie ani stąd nie wyjdzie. Czy to będzie dinozaur, mysz, czy zwykły wirus. Po chwili odgłosy z dżungli ucichły.

– Ale jutro, jak pójdziemy w teren, musimy pamiętać o środkach bezpieczeństwa – ostrzegwał Zettenberg. – Pamiętajcie o zabranii broni osobistej.

– Mam nadzieję, że nie będzie nam potrzebna – rzekła Finderman.

– Dinozaury w większości są roślinożerne i będą trzymać się od nas z daleka, a zagrożeń od innych zwierząt nie powinniśmy się obawiać.

– Nie chodzi o zwierzęta – odparł, spoglądając w stronę dżungli.

– Myśli pan, komandorze, że spotkamy istoty rozumne?

– Musimy być na to przygotowani. Jutro wyruszymy zbadać szczyt góry i wszystko się okaże.

– Ciekawe, jacy będą? – zaczęła zastanawiać się Sina. – Badania

planety wskazują, że powstało tu życie takie jak na Ziemi, więc śmiem twierdzić, że istoty rozumne będą humanoidalne.

– Wątpię – prychnął Meyer. – Prawdopodobieństwo...

– Przestań! Nie wyskakuj mi tu znowu z rachunkiem prawdopodobieństwa.

– Jestem po prostu sceptyczny.

– A ja po prostu patrzę i widzę, że życie we wszechświecie jest normą. Lecimy do najbliższego układu gwiazdowego i odnajdujemy życie oparte na białku. Super! Akceptuję to, a nie zastanawiam się, jak to możliwe. Odbieramy sygnał pochodzenia nienaturalnego. W porządku! Żyje tu inna cywilizacja, która chce się z nami porozumieć. Będziemy pierwszymi ludźmi nawiązującymi kontakt z obcą cywilizacją. Współpraca międzygatunkowa, wymiana informacji...

– Chciałbym, żeby tak było – przerwał jej obcesowo Teodor. – Mam jednak pewne obawy. Powiedz mi jako biolog, czemu istnieje tu tak wiele form życia, niesamowita różnorodność i co ważniejsze, współegzystują ze sobą bez większych zagrożeń? Wspomniałaś, że nie ma tu wielu drapieżników. To dziwne, gdyż według teorii Darwina w naturze przeżywa najsilniejszy. A tu proszę, przyroda pozwala na istnienie gatunkom nawet najgorzej przystosowanym.

– Ideał życia! To przecież Raj Utracony.

– Nie – pokręcił głową. – Coś tu nie gra. Tak idealna koegzystencja jest możliwa tylko w jednym wypadku.

– Jakim? – zapytali równocześnie Hubert i Sina.

– Podczas eksperymentu – odparł konspiracyjnym szeptem. – W sztucznym środowisku.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś stworzył tę planetę? To wszystko, co nas otacza, jest jednym wielkim eksperymentem, a my weszliśmy do probówki stojącej na szafce w laboratorium? – roześmiała się Finderman.

- Nie do końca.
- Więc o co ci chodzi?
- Supercywilizacja.
- Wspaniale! Tego jeszcze nie słyszałam. – Klasnęła w dłonie.
- Jeśli moja teoria się potwierdzi, to stracisz swoją szansę na spotkanie istot humanoidalnych. Wątpię również, że zdołamy się z nimi porozumieć.
- Bredzisz, Teodor.
- Myślę, że ktoś stworzył tę planetę i steruje procesami na niej zachodzącymi. A jeśli jakaś cywilizacja posiada zaawansowaną technologię pozwalającą na kreację światów, musi stać o niebo wyżej od nas. Istoty posiadające władzę nad materią już dawno pozbyły się ograniczającej je fizycznej powłoki i teraz są wszędzie i nigdzie.
- Jak Bóg? Do tego zmierzasz?
- Poniekąd – przytaknął. – Posiadają tylko świadomość i wolę tworzenia. Wyobraźcie sobie społeczeństwo istot podobnych do nas, dążące do uzyskania coraz to większej wiedzy. Zachłannie wzbogacają się o coraz to nowsze technologie, aż dochodzą do wniosku, że materia już ich nie ogranicza. Nauczyli się ją kształtować w dowolne formy i wielkości.
- Daje im to możliwość kreacji wszechświata – wtrącił się Hubert.
- Do tego zmierzam! Według naszych teorii i wiedzy, jaką posiadamy, wszechświat przestanie kiedyś istnieć. Będzie rozszerzał się w nieskończoność i zamrznie lub skurczy się w kolapsie. Nadistoty, żeby zachować swoją egzystencję, muszą przejąć pełną kontrolę nad wszechświatem i nie dopuścić do jego dezintegracji lub wydłużyć subiektywny czas swojego istnienia. Jest to tak zwana teoria punktu Omega.
- Oświeć nas, Teodorze – powiedziała z przekąsem Sina.
- Meyer uśmiechnął się i pogładził po brodzie.

– Teoria zakłada, że supercywilizacja, żeby przetrwać, powinna wyeliminować horyzont zdarzeń, zanim wszechświat przestanie istnieć. A żeby to osiągnąć, owe istoty muszą stać się wszechmocne.

– A granica Bekensteina? – spytał Hubert.

– Granica Bekensteina? – spytała zdumiona Sina.

– Tak – odparł Teodor. – Komandor ma rację. Granica Bekensteina mówi, że ilość informacji zawarta w określonym obszarze przestrzeni jest skończona i proporcjonalna do minimalnej powierzchni otaczającej ten obszar.

Meyer podrapał się w głowę.

– Jeśli owa cywilizacja nie przejmie pełnej kontroli nad całą przestrzenią, granica Bekensteina skaże ją na zagładę. Jeśli teoria wszechświata znikającego w kolapsie jest prawdziwa, ilość informacji zmniejszy się do zera. Każda forma życia ustanie.

– Przestańcie, bo już z tego nic nie rozumiem – zdenerwowała się Sina. – Lepiej powiedz, dlaczego nie będziemy mogli się z tymi tubylcami porozumieć?

– Każda istota zakłada, że zajmuje najwyższe piętro w gmachu ewolucji. A jednak brak odpowiednich zmysłów nie pozwala jej dostrzec nadistot. I tak jak minerały nie postrzegają roślin, rośliny zwierząt, zwierzęta ludzi, a my, ludzie... możemy jedynie zauważyć efekty działalności wyższej generacji. Spróbuj, Sina, zejść do poziomu rośliny i z nią porozmawiać.

– Ja często rozmawiam z roślinami – zachnęła się kobieta.

– Mam nadzieję, że one ci nie odpowiadają – zażartował Teodor.

– Ale przecież ktoś nam ten komunikat wysłał w formie dla nas zrozumiałej – rzekł Zettenberg. – Możemy zatem zakładać, że kimkolwiek są te istoty, pragną się z nami porozumieć.

– Albo zwabić nas w pułapkę – uciął rozmowę astrofizyk.

ROZDZIAŁ 26

MROCZNA KATEDRA

Nie wiedziała, co się z nią dzieje ani gdzie się znajduje. Poczła chłód poranka na odsłoniętych ramionach, z trudem łapała powietrze. Była przerażona, ale równocześnie czuła radość bliskiego spełnienia. Nie wiedziała, czy śni, a to, co widzi, jest jedynie sennym majakiem, czy też przebywa na jawie i jest jak najbardziej przytomna.

Sina Finderman stała przed wejściem do olbrzymiej świątyni. Trudno było ogarnąć budowlę wzrokiem, bo zdawała się nie mieć końca. Fasadę zamykały dwie strzeliste wieże, których wierzchołki niknęły w chmurach. Ściany zbudowane były z dziwnej, czarnej cegły, a rzeźbiarskie ornamenty elewacji odpychały szpetotą. Motywy zwierzęce zamienione zostały na demony z sennych koszmarów, a wzory winorośli, bluszczu, liści koniczyny czy najzwyczajszych polnych kwiatów przerodziły się w trudne do uchwycenia abstrakcje, których umysł człowieka nie był w stanie ogarnąć.

Kobieta obejrzała się za siebie. Znajdowała się na szczycie stołowej góry w samym centrum dżungli. Nie wiedziała, jak się tu znalazła, ale niewątpliwie musiała wymknąć się z obozu i przyjść tu sama. Czuła, jak świątynia ją przyzywa, słyszała szepty w swojej głowie kuszące obietnicami rozkoszy, potęgi i błęgiego szczęścia.

Jakaś mroczna siła przyciągała ją do siebie. Nie mogła się temu oprzeć. Ruszyła stromymi schodami w górę i zatrzymała się przed ozdobną, gotycką bramą. Strzelisty portal wydawał się być szyderstwem z kobiecych narządów płciowych. Boczne kolumny

przypominały wargi sromowe, a łukowate zwieńczenie łechtaczki. Profanacja seksualności, profanacja płodności. Coś pchało ją do wejścia. Pomimo strachu postąpiła krok do przodu, wyciągając przed siebie rękę, próbując uchwycić mrok. Poczowała przyjemne ciepło wypełniające jej ciało, umysł, duszę. Dała kolejny krok, wchodząc całkowicie w cień rzucany przez katedrę. Zadrżała z rozkoszy.

I nagle zrozumiała. Z podświadomości wychyły zablokowane wspomnienia i wszystko wskoczyło na właściwe miejsce. Teraz już wiedziała, kim jest i co ją tutaj przywiodło. Przypomniała sobie rozgoryczenie, jakie czuła po skończeniu studiów, gdy nie dostała etatu w sztokholmskim instytucie naukowym. A bez tego nie miała szans na karierę naukową ani na zdobycie uznania w środowisku. I wówczas z pomocą przyszedł jej przyjaciel, zaprowadził na tajne spotkanie, gdzie grupa ludzi praktykowała okultyzm, czarną magię i satanistyczne rytuały.

Z początku myślała, że to jakaś sekta próbująca przy pomocy manipulacji wyłudzić pieniądze bądź pozyskać bezwolnych akolitów do swoich wyrafinowanych praktyk seksualnych. Z czasem jednak okazało się, że Kościół Szatana to nie durne przebieranki i rytuały, ale coś prawdziwego, pierwotnego, dającego siłę.

Pilnie studiowała praktyki satanistyczne i dzięki mocy oraz wyuczonym technikom mentalnym udało jej się zdobyć wymarzony etat w instytucie. Co więcej, szybko wspinała się po drabinie kariery i stała się laureatką wielu prestiżowych nagród z dziedziny biologii. Również jej rola w Kościele znacznie wzrosła, została dostrzeżona przez Magistrę Templi Rex i trafiła pod jej skrzydła. Od tamtej pory swoje życie oddała Beliarowi.

Magistra przygotowywała ją do niezwykle ważnej roli – miała stać się Naczyniem Pana, który przez nią zstąpi na Ziemię. Nie pojmowała, jak się ma to odbyć i gdzie nastąpi zjednoczenie, ale

wypełniała wszystkie polecenia swojej opiekunki. A potem szczęśliwym zrzędzeniem losu Stefan Karpowski zaproponował jej udział w projekcie Raj Utracony i tego samego dnia Magistra zawiadzała ją do siebie. Powiedziała, że Sina już jest gotowa na przyjęcie Pana i dokona się to w systemie Alfa Centauri. On tu na nią czekał.

Jednakże wróg czuwał. Watykańscy szpiedzy trafili na trop wyznawców Szatana. Zgromadzenie Pięciu w obawie przed dekonspiracją zdecydowało się poddać Sinę rytuałowi, po którym zablokowana została jej pamięć dotycząca stowarzyszenia, prawd religijnych, w jakie wierzyła, dogmatów satanistycznego Kościoła oraz misji, z jaką została wysłana. Odzyskać ją miała dopiero w Jego bliskości. Teraz anamneza się dokonała.

Beliar ją tutaj sprowadził, a ona użyczy Mu swojej jaźni.

Z radością wypełniającą serce pchnęła drewniane drzwi.

Wtem poczuła śmiertelny ból.

Dwie godziny wcześniej Zettenberg obudził się z irracjonalnym uczuciem niepokoju. Przez chwilę leżał na prowizorycznej pryczy, próbując ustalić, co jest nie tak. I nagle zrozumiał! Nie słyszał towarzyszącego im przez całą noc buczenia pola siłowego.

W jednej chwili znalazł się na nogach i rzucił do wyjścia. Kątem oka dostrzegł, że prycza Siny jest pusta. Czyżby wyłączyła pole i sama wybrała się w teren? – pomyślał.

Gdy znalazł się na zewnątrz, okazało się, że jego podejrzenia były słuszne – pole siłowe zostało wyłączone.

– Co się dzieje? – spytał zaspany Meyer, który stanął za jego plecami.

– Finderman znikła – zakomunikował krótko.

Huberta ogarnęła złość. Zastanawiał się, dlaczego Sina opuściła bezpieczne obozowisko i nikogo o tym nie poinformowała. To było do niej niepodobne. Podbiegł do generatora i sprawdził odczyt.

– Nie może być daleko – rzekł. – Wyłączyła pole jakiś kwadrans temu. Meyer, niech pan przygotuje wszystko, co niezbędne, zaraz wyruszamy.

Teodor zaczął w pośpiechu pakować dwa plecaki, a Hubert w tym czasie wyciągnął nadajnik.

– Tu Łąd jeden, tu Łąd jeden... *Marek Aureliusz*, słyszysz mnie?

Cisza. Odczekał kilkanaście sekund.

– Tu Łąd jeden do bazy. Zgłoś się!

Tylko szum w eterze. Daniel powinien czuć przy konsoli, a nawet jeśli spał, komputer powinien zasygnalizować transmisję i go obudzić.

– Czarnecki, do cholery, odezwij się!

Nic, kompletna cisza. Ze złością rzucił komunikator na ziemię. Meyer, ubrany w wojskowy uniform khaki, stał gotowy do wymarszu. Podał Hubertowi plecak.

– Nie mogę połączyć się ze statkiem. Miałem nadzieję, że wyślą sonde, aby zlokalizowała Finderman.

– Szkoda czasu, komandorze – rzekł Meyer. – Obaj wiemy, dokąd poszła. Co jej odbiło?

– Pojęcia nie mam. – Hubert spojrział na wynurzającą z mgły górę. – Idziemy!

Ruszyli.

Hubert na przedzie, ubrany w termostatyczny, maskujący kombinezon wojskowy, dźwigał plecak zawierający prowiant, noktowizor, sygnalizator i przenośny zestaw analityczny. U pasa miał przytwierdzoną kaburę z automatycznym, nowoczesnym modelem lugera dziewięć milimetrów, będącego na wyposażeniu każdego członka załogi.

Toliman powoli wynurzał się zza horyzontu, rozpraszając promieniami mrok. Szli, rozglądając się uważnie na boki, obawiając się ataku zwierząt. W dali słychać było skrzek ptaków i

przyprawiający o gęsią skórkę ryk gadów.

Robiło się coraz bardziej parno i duszno. Hubert zdjął kurtkę, zostając w samej koszulce. Zaczął opędzać się od owadów. Pot oblepiał mu twarz, zalewał oczy. Nie zwolnił tempa marszu, mimo że słyszał za plecami ciężki oddech Meyera.

Szybko zbliżali się do góry, której szczyt niknął tajemniczo w kłębach chmur.

Wkroczyli do lasu i ogarnął ich zbawienny chłód, ale również mrok. Zostawili za sobą przyjazne światło Tolimana. Nad nimi wisiały olbrzymie liście paproci, przez które nieśmiało przebijały promienie, tworząc niezwykle mozaiki światłocieni. Mijali dziwne beczkowate drzewa, wysmukłe liściaste porosty i wielkie widłaki.

Nagle ujrzeli unoszące się w powietrzu na wysokości około pięciu metrów skórzane worki przypominające płuca. Zwisły z nich długie macki z parzydełkami. Całe chmary tych dziwnych tworów szybowały między drzewami i wyglądały jak meduzy z sennego koszmaru. Trudno było zgadnąć, czy to jest zwierzę, czy roślina. Może Finderman umiałaby to sklasyfikować, ale jej z nimi nie było.

W pewnej chwili pod jednym z worków znalazł się ssak przypominający ziemską nornicę. Macki błyskawicznie go chwyciły i wciągnęły do środka. Zabulgotało. Skórzany balon zaczął się kurczyć i rozszerzać, trawiąc pochwycone stworzenie. Mężczyźni, nie chcąc ryzykować, szerokim łukiem ominęli latającą kolonię.

Nieco dalej spostrzegli długie kije również unoszące się nad ziemią. Kołysały się na wietrze w jednym rytmie i od czasu do czasu wypuszczały w powietrze różowawy pył, zapewne zarodniki, które wszczepiały się w futra lub korpus innych stworzeń. Dzięki temu transportowały się w inne miejsca, a tam odczepiały, tworząc nową kolonię.

Ten świat urzekał swoją dziewiczością i niepokojącym pięknem. Mijali rośliny przypominające ziemskie zwierzęta i zwierzęta

przypominające ziemskie rośliny.

Przedzierali się przez olbrzymie paprocie i oplatające nogi liany i w pewnym momencie musieli użyć maczet, żeby utworować sobie drogę w gęstwinie. Nawet się nie spostrzegli, jak pokonali wzniesienie i znaleźli się na szczycie. Stali chwilę w milczeniu, ciężko dysząc. Gęsta mgła znacznie ograniczała widoczność. Hubert zdjął plecak i wyciągnął urządzenie namierzające.

– Prosto – zakomunikował.

Powoli, pełni obaw, weszli w duszne opary mgły, nie wiedząc, co ich czeka. Poruszali się jak ślepcy. Wokół słyszeli złowrogie dźwięki, dziwne porykiwania, buczenia i ćwierkania. Nie mogli dojrzeć ich źródła. Zieleń pod stopami ustąpiła miejsca brązowej glebie. Las się przerzedził. Czuli, że zbliżają się do celu.

Nagle Meyer stanął jak wryty, a idący za nim Hubert prawie na niego wpadł. Już chciał go zrugać, kiedy spojrzał przed siebie i oniemiał. Przez mgłę przebijała się olbrzymia budowla wykonana z niezwykle czarnego materiału. Upiornie strzeliste wieże sterczały wysoko w niebo. Zettenberg zastanawiał się, jak to możliwe, że przy jej ogromie nie dostrzegli jej wcześniej.

Mgła zaczęła powoli opadać, odsłaniając budowlę w całej okazałości. System szkieletowy, łuki przyporowe, strzeliste witraże, to wszystko przywodziło na myśl gotycką katedrę. Powoli wyłaniały się ozdobne ornamenty, gzymsy, freski i rzeźby. Wszystkie przedstawiały ohydne skrzydlate gorgony, szczerzące zęby harpie lub sceny rytualnej masakry. Dziwne demony wpatrywały się w dal pustymi czarnymi oczodołami, w drapieżnym uśmiechu odsłaniały kły, emanowały dzikością. W szponach zazdrośnie trzymały rozerwane szczątki ofiar.

Katedra epatowała mroczną aurą, z jej szczelin sączył się odór archaicznej zgnilizny, starożytniej profanacji życia. Kwintesencja wszelkiej makabry, obłędu, zepsucia i choroby. Skomasowane

okrucieństwo wypełzające z każdego elementu konstrukcji, wyczołgujące się z fundamentów, wylewające się mdłą falą ze strzelistych iglic.

Okna wydawały się przedsionkiem piekła, więzieniem dla dusz. Witraże ukazywały sceny rzezi, gwałtów i mordów.

Jeśli istnieje miejsce, w którym mieszka zło, właśnie je odnaleźliśmy, pomyślał Hubert, nie wiedząc którym zmysłem wyczuwając czeluści piekła. Stał sparaliżowany strachem, a zarazem pełen podziwu dla tego monumentalnego dzieła. Jakim mrocznym bogom została poświęcona ta świątynia? Kto odważył się coś takiego stworzyć? Takie i inne pytania tłoczyły się w głowie Zettenberga.

Wtem spostrzegł, że Teodor padł na kolana, zaczął się trząść, szepcząc z twarzą ukrytą w dłoniach:

– Zawiedzie Twoja nadzieja, bo już sam Jego widok przeraża. Kto się ośmieli Go zbudzić? Któż Mu wystąpi naprzeciw? Kto się odważy Go dotknąć bezkarnie? Nikt zgoła pod całym niebem.

– Meyer, co z tobą?!

– Obudziliśmy Go – rzekł przerażony.

– Kogo?

– Mrocznego Starca, Beliara, Lewiatana, Wielkiego Adwersarza... przeciwnika Boga.

– Co ty bredzisz?

– Zabraliśmy w kosmos wszystkie nasze żądze, podłości i nienawiść. A On się tym karmi, dzięki naszym mrocznym emocjom rośnie w siłę. On powstał i wdarł się do naszej rzeczywistości.

Meyer podniósł głowę i spojrzał na Huberta. W oczach astrofizyka można było dostrzec bezgraniczne przerażenie.

– Odnaleźliśmy piekło!

Zettenberg chciał coś odpowiedzieć, zaprzeczyć, ale sąsiedztwo tej ohydnej budowli nappełniło go depresją, odbierając nagle całą energię. Pokręcił tylko głową. Tylko na to było go w tej chwili stać.

Pragnął jedynie opuścić to miejsce, wrócić na *Marka Aureliusza* i odlecieć na Ziemię. Był jednak dowódcą wyprawy odpowiedzialnym za członków swojej załogi. Musiał przełamać oplatające go zniechęcenie i smutek.

– Wstawaj, Meyer – rzekł. – Idziemy.

Astrofizyk jednak nie ruszył się z miejsca.

W jednej chwili mgła opadła całkowicie, odsłaniając cały majestat świątyni. Ciemnoszare chmury zebrały się nad ich głowami, nie przepuszczając promieni światła. Nagle Hubert usłyszał stłumiony wystrzał z pistoletu.

– Sina!

Nie oglądając się za siebie, pobiegł wzdłuż ściany budowli w kierunku, z którego dobiegł strzał. Mijając rzeźbione skrzydlate wywerny, miał wrażenie, że otwierają oczy i się w niego wpatrują. Słyszał ich szyderczy śmiech. Ale on wciąż biegł. Czas i przestrzeń zlały się w jedno. Ściana świątyni wydawała się nie mieć końca. Przez chwilę był pewien, że kręci się w kółko w magicznym labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Świat dookoła przesuwał się w zwolnionym tempie, żeby znów za chwilę przyspieszyć. W końcu ściana skończyła się, skręcił za róg i zobaczył schody piętrzące się przed wejściem do budowli. Na samym ich szczycie leżała Sina. Szybko, przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na górę. Ukląkł przy kobiecie i spostrzegł krew sączącą się z otwartej rany na piersi. Nie żyła, lecz ciało było jeszcze ciepłe.

Nagle zrozumiał.

Za późno.

Spojrzał w lufę lugera.

ROZDZIAŁ 27

MORDERCA

– Gdzie Meyer? – zapytał Daniel Czarnecki, trzymając na muszce Zettenberga.

Polak kombinezon miał w strzępach, twarz umazaną we krwi, w jego oczach tliło się szaleństwo. Hubert obejrzał się za siebie.

Teodor za nim nie pobiegł.

– Zgubiłem go – odparł zgodnie z prawdą. Nie rozumiał intencji pilota, nie wiedział, skąd się tutaj wziął ani dlaczego do niego celuje. Wiedział tylko, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, zginie.

– Jak dostałeś się na planetę? – zapytał.

– Odepnij pas i odrzuć daleko – rozkazał Daniel.

Hubert zawahał się, jednak spojrzawszy w zimne oczy napastnika, wykonał polecenie, pozbywając się tym samym pistoletu i maczety. Czuł, że Polak nie będzie miał wyrzutów sumienia i zabije go, jak tylko zrobi choćby jeden fałszywy ruch. Cały czas klęcząc obok ciała Siny, uniósł ręce nad głowę.

– Kapsuła ratunkowa – Czarnecki raczył odpowiedzieć na pytanie.

– Po kilku modyfikacjach dało się tym sterować. Co prawda lot nie był w najlepszym wykonaniu i miałem w swoim życiu bardziej udane lądowania, ale cóż...

Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby kontrastujące z czerwienią krwi na jego twarzy. Wyglądał upiornie. W jednej chwili z sympatycznego astronauty, zawsze skorego do żartów młodego mężczyzny, dobrego ducha wyprawy, Daniel przeistoczył się w bezlitosnego zabójcę.

– Dlaczego? – spytał Hubert.

– Nie zrozumiesz.

– To ty zabiłeś Łuszczaka, Yohmę i Sinę – komandor stwierdził raczej, niż zapytał.

– Przyznaję się tylko do dwóch trzecich zarzucanych mi czynów. – Czarnecki roześmiał się. – No i jeszcze Sorono...

– Angelika – wyszeptał poblady Hubert.

– Musiała umrzeć. Zresztą jak wy wszyscy. Tak naprawdę tylko dzięki mojej interwencji nie zginęliście wcześniej. Wiedziałem, że papiści wkręcili do załogi swojego człowieka, tylko nie wiedziałem, kto nim jest. Podejrzywałem Meyera, ale on jest tylko zwykłym, żalonym fanatykiem religijnym. Niestety, mój błąd mógł drogo kosztować.

Przełożył pistolet do drugiej ręki.

– Na szczęście sabotażysta też popełnił błąd i podczas próby wysadzenia *Marka Aureliusza* zginął tylko Łuszczak. Prędzej czy później musiał spróbować raz jeszcze. Na szczęście tym razem byłem przygotowany. Obserwowałem każdego z członków załogi, sprawdzałem ich i w końcu drogą dedukcji doszedłem, że zamachu dokonał Er Yohma.

Zettenberg był w szoku.

– Er Yohma?!

– Zgadza się – odparł spokojnie Daniel. – Często pracował w sekcji czternastej i jego obecność tam nie budziła podejrzeń. Mógł zatem swobodnie podłożyć ładunek. Po wypadku widziałem go przy panelu centralnego komputera, wówczas jednak nie zwróciłem na to uwagi, uznając, że sprawdza ogrom zniszczeń. Kiedy jednak okazało się, że zapis z kamer został wymazany, byłem już niemal pewny, że to jego sprawka. Jako programista z łatwością obszedł wszystkie zabezpieczenia.

Czarnecki otarł krew spływającą mu po twarzy.

– Od tej chwili miałem go cały czas na oku. Gdy próbował po raz

drugi wysadzić gwiazdolit, zabiłem go i upozorowałem wypadek. Nawet Sorono dała się nabrać, chociaż wykonywała sekcję zwłok. Trzeba jednak przyznać, że Watykan wyznaczył prawdziwego asa.

– Watykan? – wyszeptał Hubert. – O co tutaj chodzi?

Dlaczego Er chciał naszej śmierci?

– Nasze życie lub śmierć były mu obojętne. Yohma miał za zadanie nie dopuścić do lądowania ekspedycji na powierzchnię planety. Takie były wytyczne Kościoła.

Zettenberg poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Nie mógł w to uwierzyć. Er Yohma papieskim agentem. Wiedział, że Watykan nie popiera projektu i nie chciał dopuścić do powodzenia misji, ale nie sądził, że posunie się do takiego czynu. Nie mieściło mu się w głowie, że jego podkomendni tracili życie w rozgrywkach między Kościołem katolickim a... No właśnie, kim?

– A ty dla kogo pracujesz?

– Jeszcze nie rozumiałeś?! – roześmiał się Daniel, a z jego rozbitych ust pociekła krew. – Jestem generałem Najdoskonalszego, sługą Mrocznej Kohorty, poddanym Szatana. Zostałem wyznaczony na Naczynie Pana. To przeze mnie dostanie się do naszego świata, by objąć go w posiadanie.

Jego spojrzenie zaszklilo się, a Hubert zrozumiał, że ma do czynienia z szaleńcem.

– Nadchodzi czas, gdy słabi ugną się pod jarzmem Beliara. Pan skręci im karki i zادةpcze swoim majestatem. Tak jak stoi w przepowiedniach Sybilli.

– Przepowiedniach? – zdziwił się komandor.

– Nie tylko Kościół jest w ich posiadaniu. Od czasów starożytnego Rzymu diaboliści posiadają własny egzemplarz i przepowiednia przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Teraz *maśsa* się wreszcie wypełni. Szatan nawiedzi świat, zniszczy ludzkość i zapanuje nowy porządek...

– Jesteś szalony!

– Szalony? – Polak uniósł lekko brew. – Większość ludzi na Ziemi w coś wierzy: w Boga, Jahwe, Allacha, i jak deklarują się jako ich wyznawcy, wszyscy to akceptują. A jak ktoś twierdzi, że służy Szatanowi, pukają się w głowę, twierdząc: szaleniec, bo przecież personifikowane zło nie istnieje. Czyż to nie obłuda?

– Jak można wyznawać coś, co jest sprzeczne z podstawowymi wartościami życia? Co jest sprzeczne z ludzką naturą?

– Niewiele wiesz o ludziach, komandorze. – Daniel skrzywił się. – Światem już teraz rządzi mrok, ziarna złego zostały zasiane, nadszedł czas na zebranie plonów. Niestety, aniołowie otoczyli Ziemię polem swojej mocy i uniemożliwili tym samym Władcy Mrocznych Dusz zebranie należnego Mu żniwa. Ale On znalazł na to sposób. Tak jak Bóg wysłał na Ziemię część siebie w ciele człowieka, tak Beliar uczyni to teraz. To ja zaniósę w sobie Jego jaźń, aby wypełniły się dni rodzaju ludzkiego. Czara została przelana. Świata nic już nie uratuje.

– A miłość?

– A czy miłość gości w twoim sercu, komandorze? Dawno ją w sobie zabiłeś, a pozostawioną pustkę wypełniłeś nienawiścią. Do kobiety, którą kochałeś, do świata, do ludzi...

– Zamknij się! – krzyknął Hubert ze złością i gotów był rzucić się na Polaka, uderzać go raz za razem za to, że wspomniał o Miriam, ale wycelowana w niego zimna lufa lugera ostudziła zapał. Opanował się i spokojnie zapytał: – Chcesz jako awatar Szatana zapanować nad ludzkością?

– Nadal nic nie rozumiesz – westchnął Czarnecki i pokręcił głową. – Będę Jego Naczyniem. Tylko w ludzkim ciele i ludzkiej jaźni może przejść przez strefę mocy oddzielającą Go od Ziemi. Tysiące lat na to czekaliśmy. Tyle przygotowań i ofiar. A teraz stoję przed świątynią mroku. Wystarczy wejść i przyjąć komunie Jego świadomości. Mój

mentor widział to w swoich wizjach, jak tutaj stoję, przed świątynią Beliara.

– Kto był twoim mentorem? – Zettenberg zaczynał rozumieć.

– Rudolf Weinstein.

Fragmenty układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce.

– A więc to on stał na czele diabolistów. – Komandor skrzywił usta w ponurym uśmiechu. – Wraz z żoną Karpowskiego.

Czarnecki uniósł w zdziwieniu brew i nagle się roześmiał.

– Zatem to ona była Magistra Templi Rex. No proszę, proszę...

– Danielu, posłuchaj mnie – rozpoczął Hubert pojednawczym tonem. – Oni nie żyją, zostali zamordowani. To był jeden z ostatnich komunikatów, jakie otrzymałem, gdy opuszczaliśmy Układ Słoneczny.

– Wygląda na to, że kardynał Canton odkrył ich tożsamość. – Polak nie wydawał się przejęty. – Trudno.

– Wasza tajna organizacja została zdekonspirowana, przywódcy zabici, więc to, co robisz, nie ma znaczenia.

– Mylisz się. Oni nie byli mi do niczego potrzebni.

Czarnecki potarł kantem dłoni przekrwione oczy. Podróż ładownikiem na planetę była wyczerpująca i zmęczenie oraz rany dawały o sobie znać. Hubert wyczuł szansę, musiał ciągnąć rozmowę tak długo, aż Polak popełni błąd, a wówczas zaatakuje.

– Pragniesz zagłady ludzkości?

– Nie – odparł Czarnecki. – Ja ją wyzwolę. Wyzwolę z objęć tego, co ją ogranicza.

– Z uczuć?

– Zgadłeś. – Daniel mrugnął. – Miłość jest dla słabych, zakuwa w kajdany bezradności, czyni człowieka niezdolnym do pojmowania logicznych osądów. Ale przecież ty o tym dobrze wiesz, prawda?

Hubert zacisnął mocno usta.

– Odrzucając zbędny balast, jesteśmy w stanie osiągnąć więcej –

Czarnecki mówił dalej. – Niepotrzebna nam miłość, litość, empatia. To słabości, które nas hamują...

– To niedorzeczne! – przerwał Zettenberg. – To właśnie emocje określają nasz gatunek. Czynią nas tym, czym jesteśmy. Owszem, powodują, że popełniamy błędy i cierpimy, ale dzięki temu zdobywamy doświadczenie. A ono pozwala nam się rozwijać.

W oczach mężczyzny pojawił się niebezpieczny błysk, dłoń trzymająca pistolet zadrżała.

– Pora kończyć rozmowę.

Hubert poczuł zimny pot na czole.

– Czemu zabiłeś Sinę? – próbował zyskać kolejne kilka sekund życia.

– Chciała mnie uprzedzić.

– Uprzedzić?

Czarnecki skrzywił się.

– Powiedzmy, że nie uzyskałem akceptacji przywódców i wysłali kogoś innego.

Zettenberg wybałuszył oczy.

– To Finderman była wysłannikiem diabolistów?

– Tak. Protegowaną żony Karpowskiego.

– Jesteś renegatem wśród odszczepieńców – stwierdził Hubert.

– Można tak powiedzieć.

– Co będziesz z tego miał?

– Potęgę i władzę nad światem materialnym. Będę Jego ziemskim namiestnikiem. On zabierze ludzkie dusze, ja ich ciała, umysły, a wreszcie życie. Rozumiesz? Spełnienie wszelkich marzeń, obietnica potęgi, jaka nie była dana żadnemu człowiekowi.

– Nie boisz się, że cię wykorzysta i zabije? Przecież to zło w czystej postaci, z którym nie można się układać.

– Jesteś głupcem, komandorze. Będę teofania. On to ja, ja to On.

– A jeśli cię zdominuje? Wtedy stracisz świadomość siebie.

Polakowi spełził uśmiech z twarzy, a ręka, w której trzymał broń, zadrżała.

– Na ciebie już czas. – Postąpił krok naprzód, żeby mieć pewność, że trafi.

To koniec, pomyślał Hubert i przymknął oczy. A więc tak wyglądają ostatnie chwile życia? Żadnych retrospekcji, przekroju całego życia, paraliżującego żalu, gniewu i nienawiści. Tylko obojętność i pogodzenie z losem.

Czekał, aż pocisk rozerwie mu głowę.

– Neeee! – usłyszał przeciągły krzyk i odgłos upadających ciał.

Otworzył oczy. To Teodor, który musiał już dojść do siebie, rzucił się na Czarneckiego. Polak stracił równowagę, upadł, pociągając za sobą astrofizyka. Starli się na ziemi w niemej przepychance. Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu i zanim Zettenberg zdążył cokolwiek zrobić, usłyszał głuchy strzał. Z przerażeniem stwierdził, że Meyer znieruchomiał. Daniel zrzucił z siebie bezwładne ciało Teodora i podnosił się wolno, ale Hubert był już przy nim. Oszłołomił potężnym ciosem w szczękę, kopnięciem wytrącił broń. Kolejne uderzenie trafiło jednak w pustkę, gdyż Czarnecki wykonał błyskawiczny unik, a następnie grzmotnął swojego dowódcę łokciem w twarz. Hubert poczuł ból i usłyszał glucho chrupnięcie łamanego nosa. Krew spłynęła mu na usta.

Kolejny cios napastnika trafił w brzuch. Komandor zgiął się wpół. Miał dosyć, ból pozbawił go chęci do walki. Chciał paść na ziemię i tam pozostać. Wiedział jednak, że wtedy umrze. Rozpaczliwie natarł bykiem, ale przeciwnik był świetnie wyszkolony, zwinniejszy i młodszy. Wykonał unik i uderzył dłonią z góry, w kark. Hubert upadł. Zaczął się czołgać. Poczuł kopnięcie w żebra. Jedno, drugie, trzecie. Jęczał z bólu. Przeturlał się na plecy i leżał teraz obolały, bezsilny, pozbawiony nadziei.

Tymczasem jego oprawca przestał kopać i sięgnął po leżący na

ziemi pistolet. Hubert nie miał siły, żeby przeciwstawić się temu, co nieuniknione. Nagle wyczuł, że na czymś leży. Jakiś obły kształt uwierał go w plecy. To była maczeta, która musiała odpiąć się od pasa. Namacał rękojęść, poczuł wzbierającą w nim nową siłę. Siłę do walki o własne życie.

Uniósł się, najpierw na kolana, a następnie z wysiłkiem stanął chwiejnie na nogach. Czuł chłód stali schowanej za plecami.

Czarnecki zbliżył się do Huberta i przystawił mu lufę do głowy. Od Polaka wprost biła zwierzęca wściekłość. Jego usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

– Umieraj! – wyszeptał.

– Idź do diabła!

Podobno w ekstremalnych sytuacjach człowiek zdolny jest do niezwykłych czynów. Ruchy Zettenberga posiadały chirurgiczną precyzję. Dłoń nakreśliła idealny półokrąg, odpowiednio zbalansował ciało i nie minęła sekunda, a głowa Daniela Czarneckiego potoczyła się po ziemi. Wyłupiaste oczy tępo i w niedowierzaniu spoglądały w turkusowe niebo Raju Utraconego.

Hubert zachwiał się na nogach ze zmęczenia. Przymknął na chwilę powieki, aż czarne plamy ustąpiły. Następnie podszedł do Meyera, który, o dziwo, jeszcze żył. Uklęknął przy nim, dłonią przytrzymał ranę na piersi, z której obficie ciekła krew. Wzrok astrofizyka stawał się coraz bardziej mglisty, usta ledwo się poruszały. Zettenberg musiał się pochylić, żeby zrozumieć, co Teodor mówi.

– Widzę światło...

Na bladej twarzy Meyera pojawił się uśmiech, ale jego oczy były zamglone, jakby wpatrywał się w coś znajdującego się poza ich rzeczywistością.

– Światło?

– Tak bardzo się bałem, że nie dopuści mnie do siebie. Przecież nie jestem człowiekiem.

– Teodorze – komandor poczuł ściskanie w gardle – jesteś najwspanialszym z ludzi.

– Ale przecież nie jestem Jego dziełem.

– Cicho, nic nie mów. Leż spokojnie, wszystko będzie dobrze.

Nie mógł jednak go uratować. Nawet gdyby posiadał tutaj pełen zestaw medyczny.

– Nie, komandorze. – Meyer uśmiechnął się blado. – Wiem, że to koniec. Ale nie lękam się, bo wiem, że On mnie przyjmie.

Zettenberg w milczeniu pokiwał głową.

– Ty utkałeś mnie w łonie mej matki – astrofizyk zaczął recytować psalm. – Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie, godne podziwu są Twoje dzieła. I dobrze znasz moją duszę, nietajna Ci moja istota...

Jego głos był coraz słabszy. Nagle spojrzał na Huberta, a wzrok na chwilę odzyskał ostrość.

– Słuchaj... – wyszeptał. – Nie wchodź tam! Odleć. Nie pozwól Mu dostać się do naszego świata...

Umarł.

Zettenberg pozostał sam. Łzy nie chciały płynąć. Wiedział już, co musi zrobić.

Wstał i ruszył w stronę katedry, zostawiając za sobą trzy martwe ciała, a także całe swoje życie. Wszedł po schodach i stanął przed bramą. Coś przyciągało go do środka, mamilo, niszczyło wolną wolę.

Nie wahał się, pchnął drzwi do piekła.

ROZDZIAŁ 28

CZARNE OBRAZY FRANCISCA DE GOI

Szedł niepewnie.

Otaczał go półmrok, cienie niebezpiecznie przesuwwały się na granicy poznania.

Nierealne kształty, uchwycone kątem oka, przerażały swoją deformacją. Służki dźwigające żebra sklepienia ciągnęły się w nieskończoność, przybierając dziwaczne kształty i zachodząc na siebie w niemożliwym schemacie.

Ścieśnione arkady i gęsto ustawione podpory o równomiernym kształcie kolumn nadawały zniewalający rytm marszowi Huberta.

Zgubił się.

Czasami mijał kilka razy to samo miejsce w drodze przez główną nawę katedry, innym razem znajdował się kilka metrów dalej, nie wiedząc, jak to się stało. Trudno było powiedzieć, czy szedł zaledwie minutę, czy całe tysiąclecia, bo zupełnie stracił poczucie upływającego czasu. Wiedział jednak, że w tym miejscu nie ma to najmniejszego znaczenia. Dostał się w pułapkę, z której nie było ucieczki.

Brnął w mrok.

Otulały go barwy niczym z sennego koszmaru: ochra, umbra, ziemiasta zieleń. Gęsta czarna mgła unosiła się nad posadzką do wysokości kolan i nie sposób było dostrzec, co znajduje się niżej. Hubertowi wydawało się, że postępuje po jakiejś ohydnej, śliskiej mazi. Mgła epatowała cuchnącą magią starożytności, eonami zła. Spojrzał w górę na sklepienie świątyni. Po żebach między przeszłowych poruszały się obrzydliwe robaki, tworząc zwarty

organizm.

Bał się.

Stąpał bardzo ostrożnie, jego ciężki oddech rozlegał się echem w, zdawałoby się, nieskończonej przestrzeni katedry. W cieniu kolumn usłyszał szyderczy śmiech. Miniaturowy demon, będący elementem maswerku, ożył, zatrzepotał skrzydłami i odleciał w głąb świątyni. Freski zdawały się żyć własnym, tajemniczym życiem. Co jakiś czas dziwne zdeformowane głowy wychylały się zza kolumn, aby za chwilę zniknąć.

Nagle zaczął dostrzegać ludzi. Wynurzali się z mgły, wyciągając ręce w błagalnym geście prośby o ratunek. Zbliżali się do niego, powłócząc przetrąconymi nogami, i dopiero wówczas mógł przyjrzeć im się dokładnie. Przeraził się, widząc zdeformowane oblicza, owrzodzone kończyny, zmasakrowane twarze wyjęte wprost z sennego koszmaru. Ale to była rzeczywistość.

Szedł jednak dalej.

Wisielec z siną twarzą zdawał się patrzeć w niebo, oczekując zbawienia. Przebity bagnietem napoleoński żołnierz w niemym geście rozpaczki zasłaniał się rękoma. Inny wojak leżał na posadzce, przytrzymując wylewające się z otwartego brzucha wnętrzności, które zamieniały się w pełzające węże. Hubert minął stos straszliwie poskręcanych, wychudzonych ciał w pasiakach. Ślepiec wyciągał do niego dłoń po jałmużnę. Zamiast oczu miał dwie ziejące czerwienią rany, w których poruszały się białe robaki.

Przeszedł nad ciałem kobiety wyglądającej jak hybryda. Nie mógł rozpoznać poszczególnych, zdeformowanych części ciała. Prawdopodobnie efekt eksperymentów genetycznych. Wnętrze skóry było częściowo na zewnątrz, głowa wyrastała z łona, kończyny były tylko zbędnymi kikutami. Usta, umieszczone na brzuchu, w miejscu, gdzie powinien widnieć pępek, poruszały się bezgłośnie, jakby szepcząc modlitwy. Obłąd i szaleństwo w tonacji surrealizmu.

Widział szczątki niemowląt roztrzaskanych o kolumny katedry. Mózgi mieszały się z posoką, spływając po gładkiej powierzchni słuzek. Otoczyły go starsze dzieci, milczące, o spalonych twarzach, noszące okropne blizny. Ofiary bomby atomowej. Odwrócił wzrok, nie sposób było na nie patrzeć. Nagie kobiety snuły się między kolumnami z obłędem w oczach. Z ich kroczy ciekła krew. Okropności wojny, okropności ludzkich namiętności i żądz. Obrazy majaczące na granicy snu, karykaturalno-oniryczna scenografia niczym z obrazów Goi.

Huberta ogarnął paniczny strach. Nie bał się śmierci, ale tego, co może się z nim stać później. Obawiał się, że jego nieśmiertelna dusza nie zazna spokoju. Będzie przez wieki błąkać się tu, w świątyni makabry, bezkresie deprawacji i niewyobrażalnego cierpienia. W murach, w których zostało zawarte ekstremum zła. Wszelkie zbrodnie, jakich dopuściła się ludzka rasa. Katedra była zwierciadłem jej żądz i pragnień. Pragnień zrodzonych z okrucieństwa i nienawiści.

Poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie, po plecach przebiega dreszcz. Nie mógł iść dalej. Stał pośrodku nawy i uświadomił sobie swoją bezradność. Zapragnął stąd wyjść, uciec jak najdalej i na zawsze zapomnieć to, co tu ujrzał. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Czekał go bezkres trwania w tej świątyni ohydy. Tak wygląda piekło! Tak wygląda plugawa dusza Beliara!

Nagle go dostrzegł. Kolosa! Zdawał się sięgać do żebrowego sklepienia katedry. Był całkiem nagi, karykaturalny i dziwnie malarski. Długie siwe włosy opadły mu w nieładzie na chude ramiona, kościste kończyny sprawiały wrażenie nieskoordynowanych. Miał oczy szaleńca, w których tliła się jakaś niezdrowa fascynacja. Pograżony w obłąkańczych poszukiwaniach nie dostrzegł Zettenberga. Sięgnął dłońmi w mgłę i po chwili wyjął z niej człowieka. Długo się nie namyślając, odgryzł wierzgającej

istocie rękę na wysokości łokcia, a następnie głowę. Człowiek przestał się więc w mocarnym uścisku. Przerażony Hubert krzyknął i wtedy kolos go dostrzegł. Spojrzał na niego z ustami otwartymi do następnego kęsa i wtem zastygł jakby zamrożony w czasie, pozując do jakiegoś upiornego aktu.

Hubert przypomniał sobie, gdzie widział tę scenę.

Kiedyś, dawno, gdy jeszcze był z Miriam, wybrali się do Muzeum Prado, gdzie oglądali czarne obrazy Francisca de Goi. Pamiętał, że zachwyił go ponury klimat i mroczna paleta barw tej kolekcji. Oczywiście Miriam była zniesmaczona, wystawa ani trochę jej się nie podobała.

W pamięć zapadł mu zwłaszcza obraz Saturna. Teraz stał tu i wspomnienia się urzeczywistniły. Wyglądało na to, że ktoś grzebał w jego mózgu. Obraz nawiązywał do mitu o Kronosie. Według przepowiedni potomstwo miało pozbawić go władzy i dlatego postanowił je zgładzić. Bezдушny tytan. Ale Saturn Goi był inny. Dziecko, które pożerał, miało postać zdrowego, wypasionego, dorosłego człowieka. Współczucie widza kierowało się w stronę obłąkanego boga. Obserwator zastanawiał się, kto tu jest naprawdę ofiarą, a kto katem? Saturn Goi, aby uniknąć przeznaczenia, dokonuje aktu pożarcia własnych dzieci, tym samym sprowadzając na siebie zagładę – szaleństwo.

Kolos poruszył się. Upuścił ofiarę, odwrócił się i uciekł zawstydzony w otaczającą go czerń. Może zdał sobie sprawę z własnej słabości, ułomności i groteskowości? Hubert zastanawiał się, dlaczego ktoś lub coś wygrzebało w jego umyśle akurat to wspomnienie? Jaką alegorię miało obrazować? Opuścił go strach. Zaczął powoli rozumieć, z czym, a raczej z kim ma do czynienia. Ruszył przed siebie teraz już bez trwogi, bez lęku. Chciał wiedzieć, odkryć do końca tajemnicę. Upiory i maskary odsunęły się, rozpoznając nową, niezwykłą siłę. Determinację człowieka.

Dotarł do transeptu. Mgła powoli opadała, odsłaniając posadzkę zdobną w najdziwniejsze wzory, wyjęte wprost z umysłu geniusza lub szaleńca. Hubert stanął na środku narysowanego czerwoną farbą pentagramu. To tu tkwiło źródło zła.

Wiedział, że jego wędrówka dobiegła kresu. A może kresu dobiegła również historia rodzaju ludzkiego? – pomyślał, rozglądając się wokół. Zaraz okaże się, po co został tutaj sprowadzony, i pozna moc, która za tym wszystkim stoi. Teraz już nie wątpił, że projekt Raj Utracony, lot do Alfy Centauri były misternie ułożoną intrygą, żeby ściągnąć tutaj ludzi. Czas poznać prawdę.

Zettenberg nie zdziwił się, kiedy pojawiły się przed nim trzy postacie, przewyższające go kilkukrotnie. Zawisły w powietrzu jakiś metr nad ziemią. Mojry z obrazu Goi. Groteskowe i karykaturalnie ludzkie twarze spowite w żółć i szarość. Zbyt duże nosy, zaciśnięte usta, chore oczy, trudno było jednak określić ich płeć. Epatowały brzydota, starością i Hubert poczuł bijący od nich zapach rozkładu. Zajęte odwiecznym zadaniem nie zwróciły na niego uwagi.

Mojry – siostry, boginie losu z greckiej mitologii. Lachesis, rządząca narodzinami człowieka, trzymając w ręku kądziel, zwrócona była w lewą stronę. Pośrodku nad posadzką unosiła się Kloto, której atrybutem jest wrzeciono. To ona rozwija nici ludzkiego życia. Ostatnia z nich, mroczna Atropos, dzierżyła w ręku nożyce, aby przeciąć nici piśszcotliwie wyprowadzane przez jej siostry. Jej domenę stanowiła śmierć. Mojry były jednocześnie stwórcykiem, opiekunem i katem. Nic nie pozostawiały przypadkowi, od początku do końca kontrolowały ludzkie życie.

Zdawały się nie zwracać uwagi na przybysza, pochłonięte odwiecznym zajęciem. Nici ludzkich żywotów przesuwwały się w ich starczych dłoniach. Hubert uświadomił sobie, że na płótnie Goi były cztery Mojry. Wkrótce miał się przekonać, co oznacza brak czwartej lub co artysta chciał dać do zrozumienia, malując na obrazie

dodatkową.

Zbliżył się do nich na wyciągnięcie ręki, a one, nie przerywając zajęcia, skierowały w jego stronę swoje olbrzymie twarze.

– Czekałem na ciebie! – odezwały się wszystkie trzy równocześnie.

ROZDZIAŁ 29

MUSI SIĘ WYPEŁNIĆ

– Czym jesteś? – zapytał Hubert.

– Jestem – odparły Mojry, a ich głosy odbiły się echem po katedrze.

– Jesteś jeden czy jest was wielu?

Zawahały się. Przerwały pracę i spojrzały zamyślane w dal.

– Nie wiem. Na tym poziomie świadomości nie potrafię ci na to pytanie wyczerpująco odpowiedzieć. – Po dłuższej chwili jakby coś sobie przypomniały i rzekły: – Wspólnota. Zwą mnie Legion, bo jest nas wielu.

– Rozumiem. Wspólna świadomość.

– Jednia – rzekły, wracając do swoich zajęć. – Nasze świadomości są połączone, nie tylko ze sobą, ale z całym wszechświatem.

– Jesteś Bogiem?

– A czymże jest Bóg? – odparły pytaniem. – To wy, ludzie, stworzyliście mitologie. Jestem wszystkim, co cię otacza. Posiadam władzę nad materią, energią i duchem.

Dysponuję mocą zapalania i gaszenia gwiazd, przestawiania galaktyk, wprawiania w ruch planet. Definiuję fizykę. Potrafię kontrolować czas i przestrzeń. Mogę być w każdym punkcie wszechświata i mogę być nigdzie. Potrafię przybrać dowolną formę i mogę nie posiadać formy. Mój umysł rozciąga się od jednego krańca kosmosu do drugiego.

– Przymioty Boga czy Szatana?

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyły ramionami. – Nie ma to żadnego znaczenia. To tylko definicje nadane przez ludzi mocom, których nie potrafią ogarnąć rozumem.

- Dlaczego tu jestem?
- Stworzyłem tę planetę, żeby was na nią zwabić. Chciałem, żebyście opuścili strefę ochrony, jaką Ono was otoczyło.
- Jakie Ono?
- Ono – odezwała się Lachesis.
- Ona – odezwała się Kloto.
- On – odezwała się Atropos.
- Nie ma żadnej różnicy – znowu mówiły wszystkie razem. – To znowu tylko definicja wynikająca z subiektywizmu postrzegania.
- Wspólnota tak jak wy?
- Stwórca!
- Nasz Stwórca?
- Nie! – zaprzeczyły gwałtownie. – Mój. Waszym Stwórcą jestem ja. To, co usłyszał, wstrząsnęło Hubertem i zdołał jedynie wykrztusić:
- Co?!
- Dawno temu, przed miliardami lat, gdy wszechświat był jeszcze bardzo młody, kiedy ledwo ostygł, byłem takimi istotami jak wy. Formami indywidualnymi, posiadającymi oddzielne jaźnie. Stwórca powołał nas do życia, wyciągnął z mroku nieistnienia, a potem kierował naszą ewolucją, uczył i przyglądał się postępom. Stwarzał również innych, podobnych do siebie, bo nie chciał być sam. Wielu się wtedy narodziło, tysiące ras zamieszkujących galaktyki. Eksplorowaliśmy wszechświat i pod nadzorem naszego Stwórcy odkrywaliśmy wszystkie tajemnice. Dążyliśmy do doskonałości, przekraczaliśmy bariery ciała, materii i umysłu. Aż nadszedł czas, że wszystkie jaźnie mojej rasy połączyły się w jedno. Porzuciliśmy nasze ciała. Jakże dawno to było...
- Zmarły nagle, a na ich obliczach pojawiła się zaduma.
- Nie pamiętam nawet swojej pierwotnej materialnej formy. Teraz jednakże jest to nieistotne.
- Mojry powróciły do pracy.

– Ale wszystkie rasy najbardziej pragnęły zespolenia ze Stwórcą. Ewoluwaliśmy, pokonując czas i przestrzeń, aż nie było dla nas już żadnych ograniczeń. Czekало nas złączenie z Ojcem, zatopienie się w Jego blasku. To było nasze przeznaczenie. Wszyscy dostąpili tego zaszczytu oprócz mnie...

– Zrodził się we mnie zamysł – powiedziała Lachesis.

– Zły zamysł – powiedziała Kloto.

– Zamysł tworzenia! – ryknęła w żalu Atropos.

Zettenberg cofnął się o krok, czując namacalną wściekłość bijącą od Mojr.

– Byłem najzdolniejszym dzieckiem Stwórcy – ich dudniący głos wypełniał wnętrze katedry. – W swojej pysze starałem się Mu dorównać i również powołać do życia istoty. Ale On nie chciał nauczyć mnie aktu tworzenia. Zabronił czynić to na własną rękę. A mnie wypełniała potencja i choć mogłem stwarzać całe galaktyki, zmieniać prawa fizyki, kształtować czasoprzestrzeń, nie wolno mi było kreować istot żywych. Niemożność spełnienia napawała mnie bólem, wściekłością i zazdrością. Dlaczego miało to być zarezerwowane tylko dla Niego? Kusilo jak zakazany owoc i w końcu pragnienie wzięło górę nad surowym zakazem...

Mojry zamilkły na chwilę.

– Błąd – westchnęła Lachesis.

– Błąd – westchnęła Kloto.

– Błąd – westchnęła Atropos.

– Powołałem do życia kruche, białkowe istoty – znowu mówiły wszystkie razem. – To wy, ludzie, jesteście moimi dziećmi.

Mojry roześmiały się gorzko. Zaraz jednak spoważniały.

– Niestety, nie wyszło mi. Wasza rasa posiadała skazę. Dając życie, stwórzyciel dzieli się ułamkiem siebie ze swoimi dziećmi. Wraz z życiem tchnąłem w was cząstkę czegoś, co zawsze było głęboko we mnie. A nie było to dobre. Gdy Ojciec zobaczył, co uczyniłem,

zaplakał nad waszym i moim losem, bo każdy rodzic odpowiada za swoje dzieci. Spotkała mnie za to...

– Kara – szepnęła Lachesis.

– Kara – szepnęła Kloto.

– Kara – szepnęła Atropos.

– Stwórca odszedł z tego wszechświata, bowiem tak musiało być, a wraz z Nim zespolone w Nim Jego dzieci. Wszystkie oprócz mnie. Pozostałem sam w tej pustce wypełniającej wszechświat, pustce wypełniającej mnie, nie odczuwając obecności istot mi podobnych ani radości świadomego życia. Odbywam karę wiecznej samotności. Przed odejściem Stwórca otoczył was strefą mocy, abym nie mógł do was dotrzeć i ponownie się zespolić. Pragnął, żeby zło zostało odizolowane i zgniło we własnym brudzie.

– Zło – wyszeptała Lachesis.

– Zło – wyszeptała Kloto.

– Zło – wyszeptała Atropos.

– Cierpiełem podwójnie. Z powodu odrzucenia i samotności oraz z powodu straty części siebie, którą wam oddałem.

– Jesteśmy dziećmi Demiurga – stwierdził raczej, niż zapytał Hubert. Nie mógł uwierzyć w to wszystko, co usłyszał, podświadomie jednak wiedział, że to prawda. Stał twarzą w twarz ze stwórcą ludzkości, rozmawiał z nim niczym biblijni patriarchowie z Jahwe i dowiadywał się, że jego gatunek jest owocem nieudanego, zakazanego eksperymentu.

Absurdalność tej sytuacji spowodowała, że Zettenberg zaczął się opętańczo śmiać. Mojry nie przerywały, cierpliwie mu się przyglądając. Z ich karykaturalnych twarzy nie sposób było wyczytać jakichkolwiek emocji. Wreszcie, gdy się opanował, trzy postacie z obrazu Goi przemówiły ponownie:

– Tak. Jesteście trzecią generacją. Najpierw był On, Stwórca, najmłodsze dziecko gwiazd. Narodził się z pierwszym krzykiem

wszehświata, pierwszym promieniem światła, z którym rozkwitł blask Jego mocy. Później stworzył nas, a początkiem było Słowo. Narodziła się druga generacja wśród młodych jeszcze galaktyk, formujących się dopiero układów planetarnych i mnóstwa mgławic. Ale nam już nie zezwolił na tworzenie. Grzech nieposłuszeństwa kosztował mnie wieczne potępienie.

Hubert poczuł wzbierającą w nim złość.

– Stworzyłeś nas jako istoty złe i ułomne!

– Nie! To wasz gatunek stworzył zło, okrucieństwo, nienawiść, gwałt, zazdrość i chęć zdobywania za wszelką cenę. Waszym wynalazkiem jest wojna. To prawda, że rozwinęło się to z ułamka mojej jaźni, bo gdzieś we mnie tkwiła zawiść o Stwórcę, o Jego dzieła. Zło było jak rak, z szybkością gangreny rozwinęło się w waszych...

– Duszach – syknęła Lachesis.

– Sercach – syknęła Kloto.

– Umysłach – syknęła Atropos.

– Świątynia! Ona jest we mnie. To, co tu widzisz, to nie ja, to efekt waszych poczynań. Promienie, które przenikają przez szczeliny w strefie, by mnie ranić swoimi obrazami, przynoszą zabłąkane, ludzkie dusze, szukające spokoju i ukojenia. Nie znajdują tu jednak zapomnienia. Ofiary zbrodni, wojen, gwałtów, bomb atomowych, eksperymentów genetycznych, aborcji, wszyscy oni błąkają się po katedrze w jeszcze większym bólu i obłędzie.

– To piekło – wyszeptał Zettenberg, rozglądając się po świątyni.

– Miejsce, na jakie zasługujecie.

– Nie – zaprzeczył komandor. – Ludzkość nie może odpowiadać za twoje błędy, tak jak dzieci nie mogą odpowiadać za grzechy rodziców. Nawet jeśli owocem tego grzechu są one same.

– Cóż ja uczyniłem? – westchnęła Lachesis.

– Cóż ja uczyniłem? – westchnęła Kloto.

– Cóż ja uczyniłem? – westchnęła Atropos.

– Wymyśliliście sobie Szatana, Beliara, Lucyfera, aby na nich zwalić winę. Urojona przyczyna waszych szaleństw. Fikcyjni bogowie, którzy oczyszczą was z grzechu i usprawiedliwią deprawację. Próbowałem skierować *maśśa* w inną stronę. Poprzez szczeliny w strefie napełniałem naczynia mojej wiedzy i mocy.

– Jezus Chrystus – załkała Lachesis.

– Mahomet – załkała Kloto.

– Budda – załkała Atropos.

– Nie udało się – rzekły ze smutkiem. – Ludzkość z ich nauk uczyniła oręż do zabijania. Wzniecaliście wojny religijne, składaliście krwawe ofiary na ołtarzach inkwizycji. Z ich imieniem na wykrzywionych w grymasie nienawiści ustach mordowaliście. Swoim postępowaniem zaprzeczaliście własnej religii i głoszonym ideałom.

– Co chcesz uczynić?

Mojry spojrzały na niego wielkimi brązowymi oczami. Zadrżał, czując na sobie przenikliwy wzrok surowego rodzica.

– Muszę to przerwać. Zgładzę waszą rasę. To coś, co było w moim tchnieniu, uczyniło was zbyt potężnymi. Pochłonę ludzkość, bo w przeciwnym razie ludzkość pochłonie mnie. Przejmiecie moją potęgę i moc, ale nie po to, żeby się doskonalić. Będziecie chcieli osiąść i ujarzmić wszechświat. Zniszczyć jego kruchą równowagę. Zbyt długo czekałem, bo już zaczynacie sięgać swoimi spojrzeniami w stronę nieskalanych gwiazd. Jesteście jak epidemia, szarańcza niszcząca wszystko na swojej drodze. Wreszcie to zakończę. Skumuluję całą swoją jaźń w tobie i dostanę się na Ziemię. Będziesz moim Naczyniem i narzędziem...

– Narzędziem zagłady – rzekł sucho Zettenberg. Nie miał siły, żeby zaprzeczać, stawać w obronie ludzkości, bo sam będąc człowiekiem, zdawał sobie sprawę ze wszystkich ułomności. Nawet jego miłość do

Miriam była destruktywna. Zamiast o nią walczyć, uciekł w kosmos, zabierając swój gniew i żal.

– A co potem?

– Zgładzę was i wchłonę. Stanę się kompletny. Przywrócę swoją pełną boskość. Sam bez Stwórcy osiągnę wyższy poziom.

– I co wtedy?

– Rozbiję ograniczenie wszechświata i wreszcie będę spełniony.

Milczeli dłuższą chwilę. Zettenberg wpatrywał się, jak pokryte starczymi plamami dłonie Mojr plotą nici rasy ludzkiej. Niedługo miało się to skończyć.

– Staniesz się Saturnem pożerającym własne dzieci.

– Nie zasługujecie na życie. Jesteście błędem.

– A jeśli przejmiesz nasze szaleństwo? Żądze i namiętności, którymi się kierujemy? Zło, które było tylko drobnym elementem konstrukcji twojej jaźni, teraz wzmocnione przez miliardy zdegenerowanych istnień ludzkich może tobą zawładnąć.

– To możliwe.

– Pochłonie cię obłęd.

Na wąskich ustach Mojr równocześnie pojawił się lekki uśmiech.

– Tak czy inaczej, przestanę cierpieć. Połączę się ze Stwórcą lub pograżę się w szaleństwie. Nadejdzie zapomnienie...

Hubert pogodził się z losem, wiedział, że *masza* musi się wypełnić. To, co usłyszał i zobaczył, przekonało go o słuszności decyzji tej dziwnej istoty. Zdziwiło go to, że przyznał rację komuś, kto chciał zniszczyć jego świat, doprowadzając do zagłady gatunku, do którego należał. Nie miał siły ani ochoty na walkę. Zresztą i tak nie było szans zmienić tego, co nieuniknione. Byt, który mienił się być stwórcą całej ludzkości, był zbyt potężny.

Wkrótce dojdzie do zagłady dwóch gatunków, jedynych w całym kosmosie. Jednego posiadającego przymioty Boga, drugiego będącego dopiero na starcie swojej ewolucji. Nie będzie dane

ludzkości rozwinąć się do punktu Omega, posiadać nieograniczoną wiedzę, osiągnąć doskonałość, zostać inżynierem galaktyk.

Kiedy przekroczył wrota katedry, coś się zmieniło. Zettenberg zyskał nową wiedzę na temat funkcjonowania wszechświata, wszedł na wyższy próg zrozumienia. Wiedział, że ich dalsza egzystencja może doprowadzić do poważnych komplikacji. Może dlatego tak łatwo pogodził się z tym, co nieuniknione.

Stwórca tej żalosalnej istoty musiał o tym wiedzieć, być może nawet taki scenariusz przewidział. Jeśli był Bogiem lub posiadał boskie przymioty, to nie było w tym nic dziwnego. Uwięził w pustym wszechświecie i skazał na siebie dwie rasy, żeby pochłonęło je zło, które nosiły w sobie.

A może w samym Stwórcy też istniała jakaś skaza, skoro powołał do życia istotę, w której zakwitło ziarno zawiści? Czy to możliwe, żeby zło pojawiło się już na początku wszelkiego istnienia? Może było elementarnym składnikiem każdego bytu, tworząc nierozzerwalną harmonię wszystkiego?

Beliar wyciągnął z jego umysłu wspomnienia obrazów Goi, aby pełniej przedstawić alegorie ich zależności. Trzy Mojry, symbolizujące narodziny, życie i śmierć, symbolizowały również jego jako stwórcy ludzkości. Lecz na obrazie Goi były cztery. Wielu krytyków sztuki zastanawiało się, dlaczego malarz zmienił mit i dodał jeszcze jedną postać? Hubert znał już odpowiedź. Czwarta Mojra reprezentowała ludzkość, drobną cząstkę jaźni utraconą przez Demiurga. Teraz jednak wszystko się dopełni, znowu będą jednością.

Pomyślał o Teodorze, który mógł być czwartą generacją. Stworzony przez człowieka, na jego obraz i podobieństwo. Ludzie zabrali się do kreacji, podobnie jak istota, którą Zettenberg miał przed sobą. A to zarezerwowane jest tylko dla Boga. Czy czwartej generacji przekazałoby to samo zło, które tkwiło w nich? Ale przecież

z namiętności życia rodzi się także dobro. Przecież Teodor, umierając, dostrzegł światło, będąc w miejscu, gdzie esencja zła przekroczyła najśmielsze poziomy.

Może była nadzieja...

Za późno. Atropos zdecydowała o losie ludzkości.

– Jesteś gotów? – spytały Mojry.

– Tak – odrzekł ponuro. – Jeśli moja rasa zostanie zgładzona, a ty odejdiesz z tego wszechświata, będzie tu cholernie pusto.

– *Silentium universi.*

ROZDZIAŁ 30

NARODZINY I ŚMIERĆ

Cykl narodzin i śmierci. Jedyna pewna rzecz we wszechświecie. W każdym bycie, najdrobniejszej cząstce istnienia drzemie tajemnicza moc dająca życie i je odbierająca. Każda osoba i rzecz z góry skazane są na zagładę, gdy ich czas się wypełni. Ulegną rozkładowi, zgniliźnie i prędzej czy później rozpadną się w pył. Nic tego nie powstrzyma. To *masśa* – przeznaczenie, którego nie można uniknąć. Wszystko ma swój początek i koniec, zapisany u zarania dziejów. Narodziny i śmierć – odwieczne, najważniejsze prawo.

Wszechświat – maszyna wprowadzona w ruch i funkcjonująca od trzynastu miliardów lat. Genialnie uporządkowany chaos, ciągle rozszerzający swoje granice. Narodziny – w ułamek sekundy po Wielkim Wybuchu wyłoniła się gęsta, gorąca osobliwość zawierająca przestrzeń, czas, energię, materię i oddziaływanie. Błyskawicznie rozszerzyła się i po czterystu milionach lat utworzyła zarodniki pierwszych galaktyk, które cały czas będą się od siebie oddalać. Wreszcie wszechświat osiągnie takie rozmiary, że wszystko w nim zamarznie. I to będzie koniec. Nadejdzie jego kres. A potem może w innym miejscu znowu nastąpi Wielki Wybuch i kolejne, gwałtowne narodziny. Cykl się powtarza.

Gwiazdy – niewielkie, świecące niczym lampki choinkowe punkty na nocnym niebie. W rzeczywistości olbrzymie kule gazowe, w których wnętrzu zachodzą potężne procesy termojądrowe. Na czarnym firmamencie kosmosu, niczym stalagmity z dna jaskini, wyłaniają się ciemne kolumny zimnego wodoru. W ogromnych kroplach gęstego gazu rodzą się nowe gwiazdy. Po oderwaniu od

kolumn te „gwiazdne embriony” przechodzą pod opiekę pobliskich gwiazd, które swoim światłem ukoją, ukołyszają i ostatecznie rozproszą nadmiar gazu je otaczający. Wówczas nastąpi odcięcie pępowiny, czyli przerwanie procesu koncentracji gazu w owej kropli. Od tego momentu młoda gwiazda zaczyna żyć własnym życiem.

Co dalej?

Po pięciu miliardach lat będzie w połowie swojej egzystencji, utworzy własne satelity, zwane planetami. Być może na jednej z nich powstanie życie. A ona będzie świeciła, ogrzewając i chroniąc ten niezwykły cud.

Po następnych pięciu miliardach lat zacznie się starzeć. Zwiększy swoją objętość i stanie się czerwonym olbrzymem. Zniszczy to, co wcześniej stworzyła i tak pieczołowicie chroniła. Później stanie się gorącym białym karłem. Ogrzeje swoim ciepłem sąsiadujący z nią żłobek młodych gwiazd. Cykl się zamknie.

Powtarzać się będzie przez eony.

Do czasu...

Lachesis nawinęła ostatnią nić na kądziel, Kloto przesunęła ją w palcach i delikatnie przepuściła przez wrzeciono. Atropos zamknęła oczy i dokonała cięcia nożycami.

Dokonało się.

Hubert spodziewał się, że gdy ta niewidzialna siła wdrze się do umysłu, poczuje w sobie miliardy istnień, jego ciało będzie drgało w spazmach, może nawet ulegnie fizycznej przemianie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Mojry znikły tak samo nagle, jak się pojawiły, i mogło się wydawać, że to wszystko było tylko sennym koszmarem. Ale to w nim było. Drzemało w najgłębszym zakamarku jego jaźni. Anamneza nastąpi po przekroczeniu strefy. Dopiero wówczas dostąpi pełnego objawienia, uaktywni się w nim cała moc. Przeznaczenie się wypełni.

Działał automatycznie. Wrócił do ładownika, odpalił silniki i po kilkudziesięciu minutach wylądował w doku *Marka Aureliusza*. Tu natknął się na martwe ciało Angeliki Sorono. Zginęła od strzału z pistoletu. Białą uniformę na piersi pokrywała gruba warstwa zaschniętej krwi, martwe oczy spoglądały w przestrzeń z niedowierzaniem.

Hubert nie poczuł nic. Pojedyncza śmierć nie miała żadnego znaczenia w obliczu zagłady całej ludzkości. Nie trudił się nawet, żeby zamknąć jej powieki, minął martwe ciało i wolno ruszył korytarzem. Nie spieszył się. To, co ma się dokonać, to się dokona. Nic już nie zmieni przeznaczenia.

Wszedł do sterówki, ustawił koordynaty lotu i uruchomił silniki. Czekala go daleka podróż. Nie był sam. W jego jaźni czaiły się miliardy obcych istnień, czaiła się istota będąca władcą wszechświata. Spojrzał w iluminator. Planeta powoli znikala, rozplywała się w kosmicznym pyłu. Iluzja spełniła swoją rolę i mogła przestać istnieć. Świątynia była teraz w nim.

W iluminatorze zobaczył swoje odbicie. Włosy miał białe jak śnieg, na twarzy przybyło kilka nowych zmarszczek, widocznie jego system nerwowy nie wytrzymał. Nie miało to jednak znaczenia. To tylko powłoka materialna, Naczynie przechowujące potężny byt.

Nagle uświadomił sobie, że to on jest tym widmem, które kątem oka zauważał podczas podróży do Alfego Centauri. Dzięki jakiemś temporalnemu przebiciu ujrzał przyszłość: samotnego mężczyznę snującego się pustymi korytarzami gwiazdolotu. Roześmiał się. Być może po raz ostatni.

Statek nabierał prędkości. Ostatnim zrywem ludzkiej świadomości Zettenberg uruchomił komunikator tachionowy, którego wcześniej nie używali. Nie wiedział, czy chciał ostrzec, czy też przygotować Ziemię na swoje, a raczej Jego nadejście.

– Mówi komandor Hubert Zettenberg, dowódca *Marka Aureliusza*.

Reszta załogi nie żyje... wracam do domu. Bez odbioru.

Marcus Brandini wyszedł na taras watykańskiej rezydencji w Castel Gandolfo. Oparł swoje starcze dłonie o balustradę balkonu. Papieski bibliotekarz spojrział w nocne niebo, na którym mozaiką światła lśniły gwiazdy. Wiedział, że jednym z tych jasnych punktów może być powracający z wyprawy *Marek Aureliusz*. Ile to już lat minęło? Nie pamiętał, umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Na pewno była to cała dekada. Ile czasu im pozostało? Miesiąc, może dwa. Później nastąpi koniec. Mimo starczej sklerozy pamiętał ostatni, tysięczny wers przepowiedni Sybilli:

*I pojawi się Antychryst
A jego włosy będą białe jak śnieg
A jego oczy ziać będą szkarłatnym ogniem piekła
Dysponował będzie mocą niszczenia
Świat ukorzy się pod jego jarzmem
Zniszczy ludzkość
I sam pozostanie na zgliszczach i ruinach
Zmęczony i szalony starzec
Samotny pośród miliardów pustych słońc.*

KONIEC